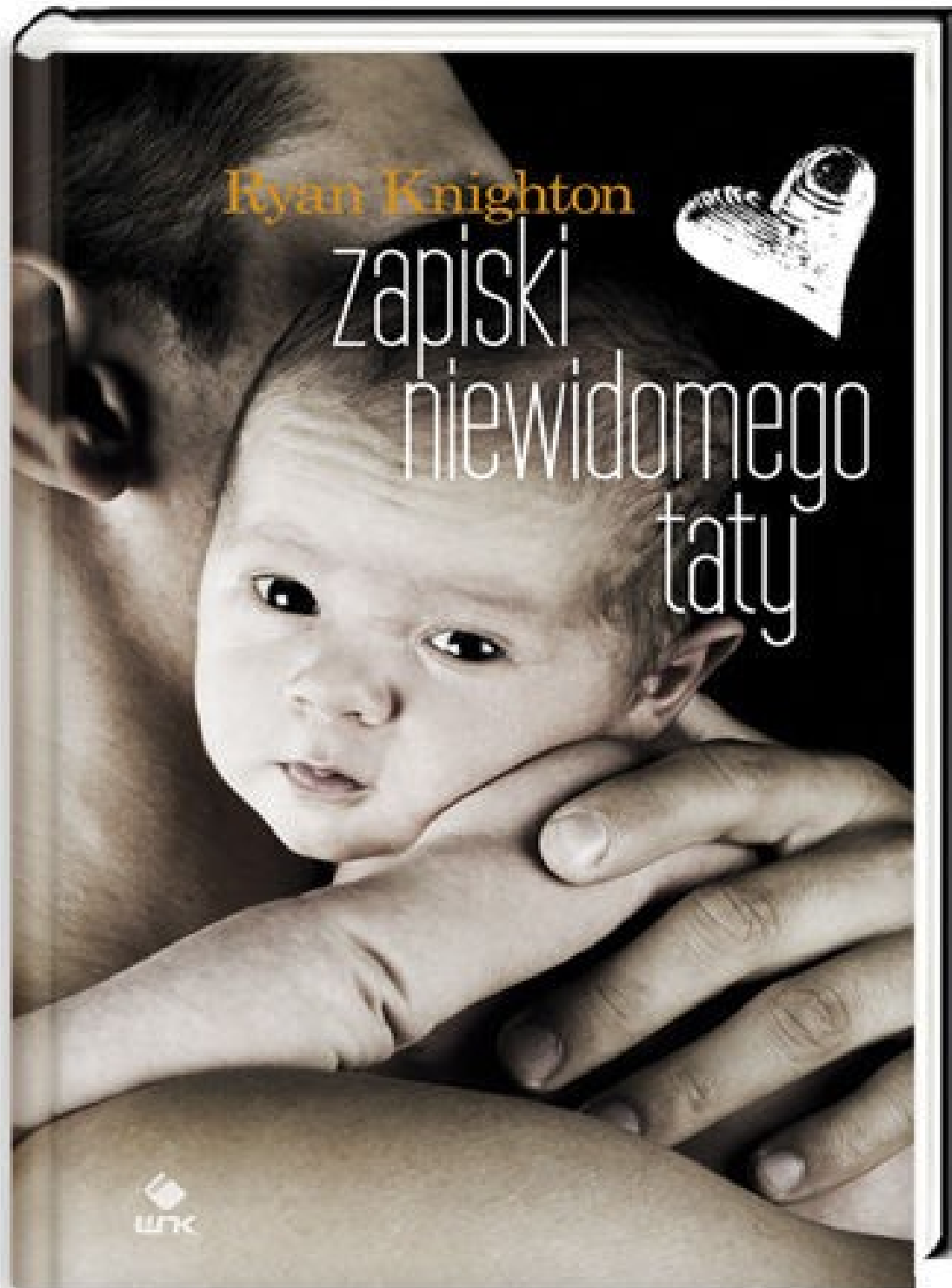


**Ryan Knighton**  
**Zapiski niewidomego taty**



## PROLOG

### Wicie gniazda

Nasze pierwsze mieszkanie było szkaradne. Sama kuchnia przypominała zbiór próbek pastelowego różu, brzoskwini, żółci i miętovej zieleni. Kiedy dostaliśmy klucze, moja żona Tracy zasłoniła oczy i zaczęła malować. Ja nie. Podobnie jak w wielu innych sytuacjach, stałem z boku i się przyglądałem. Tak jakby.

W tamtym momencie naszego życia byłem ślepy - z powodów niezwiązanych z kolorystyką kuchni - już od ponad dziesięciu lat. Moja choroba nazywa się retinopatia barwnikowa. Niesforne geny zaprogramowały moje spojówki na bezbolesne samozniszczenie, bardzo, bardzo powolne. Jakby same siebie zanudzały na śmierć. Pamiętajcie, że Tracy musiała mi opisać setki odcieni farb, zanim wybraliśmy ten właściwy. Kochałem ją za próby włączenia mnie w to wszystko, ale czułem się jeszcze bardziej ślepy.

Udział jest bardzo ważny. I dlatego, nie mogąc malować kuchni, zająłem się czymś mniej frywolnym. Ze ściany musiał zniknąć rząd kafli. Pewnego ranka postanowiłem im w tym pomóc. Miała to być niespodzianka dla Tracy, kupującej właśnie kolejne narzędzia, których nie będzie mi wolno dotykać.

Przegrzebałem pudło w poszukiwaniu młotka. Kiedy go wreszcie znalazłem - tak mi się przynajmniej wydawało - wepchnąłem czubek pod pierwszy kafel i szarpnąłem. Kafel ani drgnął. Napiąłem mięśnie i sapnąłem, tak jak zrobiłby to mój ojciec. Kafel nie ustąpił.

Kilka minut później i o krok od śmierci odkryłem, że kafel jest przykręcony do ściany. Wyszarpywałem gniazdko elektryczne. Jakimś cudem nadal oddychałem.

Nigdy nie przyznałem się do tego Tracy. Cichutko odłożyłem młotek i wróciłem na swoje miejsce. To znaczy starałem się nie przeszkadzać i nie potykać o puszki z farbą, kiedy moja żona kończyła pracę. Czasem to wszystko, co mogę zrobić. Przykra nauka dla ślepego faceta. Kiedy zacząłem tracić wzrok, nikt nie usadził mnie na tyłku i nie nauczył, jak schodzić z drogi albo jak się domyślać, że w ten sposób pomogę najbardziej. Nadal muszę jeszcze sporo się nauczyć o swoim ciele, choć już od dziesięciu lat chodzę po ciemku. Jestem niepełnosprawny i nieprzystosowany.

Kuchnia może i była brzydka, ale ja wreszcie miałem dom. To zagracone i zniszczone mieszkanie należało do nas, a budynek nie przeciekał, w przeciwieństwie do połowy domów zbudowanych w Vancouver w latach dziewięćdziesiątych, szczególnie tych ze stiukami. Stiuki to zaraza w świecie nieruchomości. Projekt naszego domu uwzględniał przynajmniej fakt, że Vancouver jest deszczowym miastem na mokrym Zachodnim Wybrzeżu, a my się do tego dostosowaliśmy. Na froncie domowym wszystko było w porządku.

Potem pojawiła się woda. Nie deszcz ciekący z dachu, tylko woda z węża ogrodowego, wetkniętego w ścianę przez naszą sąsiadkę z góry, święcie przekonaną, że w ścianie klują się pająki czarne wdowy i trzeba je zatopić. Lampa nad naszym stołem kuchennym zamieniła się w prysznic. Sąsiadka przeprowadzała dezynsekcję już trzeci raz w tym miesiącu, ponieważ uparła się zgładzić insekty, których nikt inny

nie widział. Nasz nowy dom miał patologiczny problem z wodą i istniało tylko jedno rozwiązanie.

- A może strych? - zaproponowałem Tracy przeglądającej oferty nieruchomości.

Od zawsze marzył mi się przestronny, artystyczny strych na terenie parku przemysłowego. Obijanie się po zaułkach z białą laską, czadowa akustyka betonu i aluminium, schyłanie głowy, żeby przejść pod odsłoniętymi rurami w kuchni, lekki odór benzyny i smaru w windzie towarowej - to wszystko brzmiało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Zamiast kosiarek o poranku moglibyśmy słyszeć wózki widłowe. Uwielbiam wózki widłowe.

- Ale na jak długo? - spytała Tracy. - Strych nie nadaje się dla rodziny.

Temat dzieci - ludzkich, nie pajęczych - wisiał w powietrzu, ale nie mieliśmy jeszcze żadnego konkretnego planu. Był koniec lata 2003 roku. Tracy i ja pobraliśmy się raptem trzy miesiące wcześniej. Moim zdaniem było jeszcze za wcześnie na dziecko, ale z drugiej strony mieszkaliśmy razem mniej więcej od ośmiu lat. Okoliczności nam sprzyjały. Byliśmy po trzydziestce, mieliśmy kredyt hipoteczny do spłacenia, wrednego psa i samochód, który kradziono nam co drugi piątek. Już dawno wymieszaliśmy swoje książki na półkach - moje pokryły się kurzem, odkąd odstawiłem druk. Mieliśmy nawet łóżko z prawdziwym materacem. Dla mojego pokolenia pożegnanie z wersalką oznacza wstęp do dorosłości.

Wiele więc przemawiało za małym Ryanem albo Tracy. Abstrahując od naszej wzajemnej miłości i oddania, byliśmy odpowiednio uwikłani w typowe życie rodzinne klasy średniej. Nie przypominaliśmy już tych młodych par, które wciąż rozliczają się z zakupów albo oddają sobie pieniądze za rozmowy międzymiastowe. W wyniku typowego życia rodzinnego powstało gniazdo, a teraz potrzebny był już tylko dom. Niedługo później syn albo córka - czemu nie, jeśli znajdzie się miejsce. Dom dla rodziny.

- Nie wiem, czemu nie moglibyśmy być rodziną na strychu - stwierdziłem. - Albo mieszkać tam, dopóki nie zrobi się ciasno.

Wizja mieszkania we trójkę w jednym pokoju nie wywoływała u mnie klaustrofobii. Do trzynastego roku życia dzieliłem maleńką sypialnię z dwoma

młodszy braćmi, Rorym i Mykolem (jego własna pisownia, mnie nie pytajcie). Co wieczór byłem sędzią w ich kłótniach, dopóki nie zasnęli albo się nie poddali, rytmicznie waląc przy tym głowami w poduszki. To mnie usypiało. Nadal mam problemy z zaśnięciem, jeśli jest zbyt cicho, i nadal nie lubię nocy w samotności.

Poza tym doświadczenia z dzieciństwa przekonały mnie, że najlepsze dla młodej rodziny jest miejsce, w którym nie można przed sobą uciec. Młodość spędziłem w pomieszczeniach pełnych ludzi. Rodzice kupili pierwszy dom, kiedy miałem trzy lata. Był to parterowy budynek z płaskim dachem i trzema sypialniami. Ostatecznie pomieścił nas sześcioro, psa, królika, żółwie, kolekcję myszokoczków i rybki oraz gabinet. Rodzice mieszkali w nim, na przedmieściach Langley, prawie do mojej trzydziestki. Rozbudowali go stopniowo, ale przez większość dzieciństwa moi bracia, siostra i ja mogliśmy się bawić głównie pod zlewem, kiedy mama przygotowywała pieczeń wołową. Zresztą nie chcieliśmy się bawić gdzie indziej. Ciągłe plątałyśmy się mamie pod nogami albo budowaliśmy przy niej forty z poduszek i koców -w ten sposób na zabawę zostawało jeszcze mniej miejsca. Przez wiele lat nasz dom stał na końcu ślepej uliczki, obok nowego osiedla. Mieliśmy małe podwórko. Za płotem znajdowało się pastwisko. Rzadko przeskakiwałem przez płot. Otwarta przestrzeń wydawała się taka niepotrzebna. Krowy po prostu tam sobie stały. To mnie niepokoiło.

Dlatego uważałem, że znam zalety bycia razem i ciągłego włożenia sobie nawzajem na głowę. Nie musiałem przekonywać żony. Tracy też zapaliła się do idei strychu i zaczęliśmy polowanie. Znaleźliśmy kilka fajnych miejsc, ale każde z nich sprzedano błyskawicznie i dosyć drogo. Nagle się okazało, że został nam tylko jeden strych, którego, nie wiedzieć czemu, nikt jeszcze nie kupił. Przygotowaliśmy się na najgorsze.

Budynek - odremontowany magazyn - znajdował się we wschodniej, przemysłowej części Vancouver, w samym środku cyberpunkowego pustkowie, o którym tak marzyłem. Jednak, w przeciwieństwie do warsztatu samochodowego po drugiej stronie ulicy albo niewielkich magazynów na tyłach, pomalowano go w jaskrawe czerwono-zielone plamy. Hol był niebiesko-pomarańczowy. Ja oczywiście

prawie nic nie widziałem, ale i tak wystarczyło, żebym przypomniał sobie programy dla dzieci i rozpoznał w tym decyzję estetyczną zwołanego na gwałt komitetu.

- Ktoś tu ma zasłony z kanadyjskiej flagi - powiedziała Tracy, dzwoniąc do drzwi.

- O nie.

Lecz wcale nie kolorystyka była największym problemem. Kiedy właścicielka strychu otwarła największe i najbardziej złowrogie metalowe drzwi, do jakich kiedykolwiek miałem przyjemność zastukać, wydobył się zza nich toksyczny obłok dymu. Znałem tę duszącą woń. Pasowałaby do poczekalni u weterynarza naszego mopsa Kaira.

- Witam, proszę wchodzić - powiedziała kobieta. -Właśnie skończyłam sprzątać.

Złapałem Tracy za łokieć i weszliśmy nieśmiało do środka. Sufit znajdował się wysoko i nie było ścian działowych, ale i tak ciągle wpadałem na pudła i stosy czasopism albo obijałem się o liczne szafy i szafki. Wyglądało na to, że jedyne drzwi prowadzą do łazienki. Światło wpadało do środka przez ścianę okien, z których roztaczał się widok na niewyraźne kontury magazynów i fabryk oraz na zamazany cień Gór Nadbrzeżnych. Podczas gdy właścicielka opowiadała o mieszkaniu, usłyszałem gdzieś w pobliżu łoskot kolejki jednoszynowej. Mimo dezorientacji i paskudnej woni, od której rozboleła mnie głowa, przepadłem na amen.

Jako dziecko, kiedy moi bracia już posnęli, najbardziej na świecie lubiłem nasłuchiwać dźwięków pociągów przejeżdżających przez moje miasteczko. Gdybyśmy mieli tu dziecko, kolejka jednoszynowa byłby dla niego wersją mojej przeszłości. Rymujące się dźwięki dzieciństwa ojca i dziecka. Dziedzictwo to nie tylko kwestia pokrewieństwa, a ja chciałem, żeby mój syn albo córka doświadczyli przyjemności, które mnie ukształtowały.

Stojąc przy oknie, uświadomiłem też sobie, jak bardzo zależało mi na zgiełku miasta. Woląłem go od wyciszonej, skromnej ścieżki dźwiękowej dzielnicy mieszkaniowej czy, o zgrozo, osiedla przy centrum handlowym. Rywalizujące z sobą odgłosy świata za szybą tworzyły w mojej głowie nowe obrazy. Wyobraziłem sobie przejazd pociągu, ruch uliczny, mężczyzn rozładujących furgonetki i

opowiadających kawały, gumowy młot wyklepujący maski w warsztacie samochodowym Gorda, kogoś piłującego w mieszkaniu obok. Tyle dźwięków, tyle obrazów do obejrzenia oczyma wyobraźni. Jako ślepiec miałbym tu widok. A co miałem w naszym bloku? Kroki na chodniku. Czasem dmuchawę do liści. Albo fantazję, że proszę gościa z dmuchawą, żeby wsadził sobie jej końcówkę do nosa.

Pośrodku strychu znajdowała się przestrzeń sypialna, otoczona łukami z czerwonej cegły, połączonymi czymś, co przypominało rozsypujący się średniowieczny mur. Przechadzając się wzdłuż niego, przesunąłem palcami po zaprawie murarskiej. Za cenę z pięcioprocentowym rabatem mogliśmy mieć windę towarową prowadzącą do hobbicznej norki. Przepadłem po raz drugi.

Stałem przy oknie, upajając się wyobrażeniem domu z moich marzeń i walcząc o oddech. Tracy wzięła mnie za ramię.

- Straszny bajzel - szepnęła. - Między deskami podłogi jest piasek z kuwety. Sporo piasku, całe mnóstwo. I kto wie, co jeszcze.

- Wystarczy odkurzacz - powiedziałem, starając się nie kaszleć.

- Na ścianach są obłoczki. I wypukłości. Jakby odsłonięto warstwę średniowiecznej polichromii.

Obraz w mojej głowie trochę się skomplikował.

- Chodzi ci o wzór z chmurek? Jak tapeta? Taka do pokoju dziecięcego?

- Ściana to błękitne niebo - wyjaśniła Tracy. - Jesteśmy w chmurach.

- To chyba fajnie, co nie?

Tracy uważała inaczej. Pejzaż z niebem uraził jej prosty gust i wzmógł lęk wysokości.

- Za zasłonami jest pralka i suszarka - poinformowała kobieta.

Oczy mojej wyobraźni zgłupiały. Pralnia otoczona zasłonami?

- Co jest tam na górze? - spytała Tracy.

- Schowek nad pralnią - powiedziała kobieta.

- Rany, schowek! - ucieszyłem się. Chciałem nocą słyszeć kolejkę jednoszynową, chciałem posadzić dzieciaka na ceglanej ścianie, żeby zawiązać mu sznurowadła. -Schowek to superpomysł. Nie ma nic lepszego.

- To taka wnęka nad łazienką, wysoka na metr - ciągnęła kobieta. - Jest tam też parę rur.

- Czym jest oklejona tamta rura? - chciała wiedzieć Tracy. - Przecieka?

- Nie - odparła kobieta. - To tylko pianka na rurze z gazem. Mąż ją okleił. Kiedy dzieci wstają w nocy, to czasem walą w nią głowami.

Obraz w mojej głowie eksplodował.

- Walą głowami w rurę? - spytałem. - Nad łazienką?

- Aha. Sypiają tam.

Z perspektywy czasu jakaś część mnie zazdrości tym dzieciakom. Gdyby moi rodzice kiedykolwiek spytali nas, gdzie najbardziej chcielibyśmy spać, wybuchłaby walka o to, kto położy się w kanale prowadzącym do rur, a kto za piecem albo na dachu.

W drodze do domu byliśmy zbyt oszołomieni stylem życia tamtej rodziny, żeby podjąć jakąś decyzję.

- Jak oni uprawiają seks? - zastanawiała się Tracy.

- No wiesz, najpierw facet wkłada...

- Przecież tam nie ma drzwi. Jak to robią przy dzieciach?

- Może chowają się za tą ścianą z cegieł. Rodzice.

- A najpierw wysyłają dzieci do łóżek w schowku?

- I chowają drabinę na noc.

Zaczynałem przyznawać, że mój wymarzony dom nie był raczej wymarzonym domem rodzinnym. Strych nie nadawał się dla młodej rodziny. A jednak wróciliśmy tam i kupiliśmy go.

Tracy uwielbia remonty i jest w nich dobra, więc razem z nami wprowadziła się na strych ekipa gości z młotami i innymi narzędziami lokalnej zagłady. Kiedy Tracy skończyła, po starym strychu pozostały jedynie podłogi, ściany i sypialnia czarownika. Pachniało nowością, wszystko było czyste i nowe albo zużyte i naturalne. Kiedy Tracy umieściła rzeczy na półkach i schowała świat do jednego czy dwóch koszy, zmieniła się akustyka pomieszczenia, a światło dotarło dalej.



Poczułem, jak wraca powietrze. Reszta moich zmysłów podskoczyła z radości i polubiła nasz nowy dom. Może jednak uda się spełnić tu marzenia.

Gigantyczna decyzja o założeniu rodziny wymaga perswazji, rozważań, pozwoleń, arkuszy kalkulacyjnych i badań naukowych. Tak mi się wydawało aż do pewnej nocy, kiedy leżeliśmy w łóżku, a ja, o ile dobrze pamiętam, spytałem Tracy, czy jest gotowa na to, żeby mieć już rodzinę. Powiedziała, że tak. I tyle. Nie sprawdzaliśmy kalendarzy, nie zastanawialiśmy się nad ryzykiem i zagrożeniami, nie użyliśmy nawet mojej ślepoty jako argumentu przeciwko rodzicielstwu albo czynnika wpływającego na genetyczną loterię. Po prostu tamtej nocy, leżąc w bezpiecznych ciemnościach, po pracy, we własnym domu, chyba zupełnie niezależnie poczuliśmy potrzebę wyrażenia siebie jako jedności. Dziecko to odpowiedź na pytanie, czemu leżymy po ciemku w tym miłym pokoju i dlaczego spędziliśmy tyle lat w tylu innych pokojach.

Po tamtej nocy Tracy przestała brać pigułkę i każdy dzień zamienił się w Gwiazdkę.

## AKT I

Na początek

Koniec

Dzielnice dysponują własnym ekosystemem. Ten, który otaczał nasz cyberpunkowy strych, miał sens. Ludzie byli równie ekscentryczni jak połączenie kolorów w naszym budynku i ruchliwi jak nasze przemysłowe środowisko. Panowała różnorodność, urozmaicenie i pluralizm. Poza jednym, oczywistym i podstawowym wyjątkiem: nikt nie miał dzieci.

Jasne, u faceta z czwartego piętra przez dwa dni w tygodniu nocowała jego córka, ale to wszystko. Mieszkało tam mnóstwo par, lecz w naszym wesołym miasteczku brakowało dzieci. Graffiti w windzie było dziełem dorosłych. Inna sprawa, jaki dorosły wyrzyłby na ścianie słowo „łeb”. Może więc zdarzały się wyjątki, choć

mieszkaliśmy w strefie wolnej od dzieci. W naszym budynku pobłazaliśmy sobie z dumą i poczuciem misji, puszczaaliśmy muzykę na cały regulator, kładliśmy wiertarki koło kanapy, urządzaaliśmy kłótnie trwające od środy do piątku, spaliśmy w łóżach rodem ze snów o średniowieczu, a przede wszystkim tkwiliśmy w epoce popularności zespołu Judas Priest. Plac pełen Piotrusiów Panów. Ja byłem jednym z nich.

Znakiem rozpoznawczym mojej młodości zawsze była lekkomyślność. Ślepotą w znacznej mierze mnie z tego wyleczyła i kontrolę przejęła poważniejsza część mojej osobowości. Nie zawsze zgadzałem się z regułami, ale moje ciało i potrzeba bezpieczeństwa domagały się, żebym żył wolniej, z większym rozmysłem czy nawet pewną dozą rutyny. I dlatego okolica, w której mieszkaliśmy, zanim zdecydowaliśmy się założyć rodzinę, stanowiła w pewnym sensie przedłużenie mojej białej laski. Przez dziesięć lat dreptania po tych samych sześciu ulicach i mieszkania w rozmaitych suterrenach mój umysł wpadł już we własne koleiny, zapamiętując i tworząc mapę strefy, w której mieszkałem. W razie potrzeby, i pod warunkiem że nie wydarzyłoby się nic szczególnie zaskakującego, mógłbym chodzić po mojej starej okolicy bez laski. Oczywiście powoli i z obawą, że wpadnę na słup, ale mógłbym. Moje życie chroniła siatka bezpieczeństwa opartego na sprawdzonych procedurach i wszyscy mnie znali. Tu, w magazynowej Nibylandii, było jednak zupełnie inaczej.

Parki przemysłowe powstały z myślą o samochodach i ciężarówkach, a nie o niewidomych. Sklepów spożywczych nie buduje się w pobliżu warsztatów samochodowych. Tutaj byłem niczym dzieciak śpiący w schowku miasta. Za każdym razem, kiedy wracałem do domu posiniaczony i ledwo żywy, stawało się oczywiste, że potrzebuję pianki. Pianki na każdej skrzynce na listy, słupie, drucianej siatce, krawężniku, pękniętej płytce chodnikowej, kubie na śmieci i porzuconej palecie. Poznanie tej okolicy tak dobrze jak poprzedniej zajęłoby mi całe lata. Pewnego dnia musiałbym też owinać pianką moje dziecko, dla jego własnego dobra. Zacząłem to rozumieć dzięki każdemu strupowi i upadkowi, każdej ucieczce spod kół trąbiącej furgonetki. Raz przytrafiła mi się jeszcze boleśniejsza niespodzianka.

Ruchliwe skrzyżowanie Main Street i Great Northern Way stanowiło chroniczny problem. Musiałem je pokonywać przy wyprawach na siłownię albo do miasta. Przejście dla pieszych jest tam chyba najdłuższe w całym mieście i przecina pod kątem cztery pasy jezdni. Pod kątem. Ludziom widzącym nie sprawiłoby to kłopotu, ale kiedy jest się ślepy, trudno iść prosto, a szczególnie trudno iść prosto pod kątem.

Któregoś popołudnia wszedłem na pasy i usłyszałem nadjeżdżające szybko auto. Błotnik zahaczył o moje kolana i upadłem na jezdnię. Prawdziwą niespodzianką był jednak fakt, że oberwałem tylnym błotnikiem. Ktoś stuknął mnie podczas cofania na skrzyżowaniu. Wyjeżdżając zza rogu.

Wstałem, obolały i zaniepokojony. Tymczasem z samochodu wyskoczył kierowca. O dziwo, nie szedł tyłem.

- Kurna - odezwał się. - Patrz pan, jak idziesz.

Czasami brakuje mi cierpliwości, żeby objaśniać. Dlatego wziąłem zamach i kopnąłem w tylny reflektor. Nie rozbiłem go. Gumowa podeszwa zaskrzypiała cicho na szkle. Wkurzyłem się na swoje wygodne tenisówki.

- Ej, koleś - ostrzegawczo powiedział kierowca - przestań.

Inni kierowcy zaczęli już trąbić i dopingować ślepego gościa, który brał się do demolki samochodu. Potrącenie niewidomego podczas cofania musiało robić złe wrażenie. Pewnie dlatego kierowca bez słowa wskoczył z powrotem do samochodu i odjechał. Przed siebie.

Wróciłem na strych, powłóczęgając nogami. Czuję się pokonany i upokorzony. Dotarłem wprawdzie do mieszkania, ale to nie było już bezpieczne i przytulne miejsce. Stałem się mieszkańcem bastionu. Chciałem wrócić do domu, do miejsca, które znałem. Moja stara okolica dawała nadzieję. Była znajoma. Idealna dla rodziny.

Dom z moich marzeń był cudowny i właśnie dlatego niepraktyczny. Zachwycał z tych samych powodów, dzięki którym portret Doriana Graya jawił się jako świetny pomysł. Nie przeprowadziłem się tu, by założyć rodzinę, tylko by zrealizować marzenie z dzieciństwa. Lecz wijąc gniazdko, trzeba się pozbyć takich słodkich snów. Trzeba je zabić, żeby zrobić trochę miejsca.

Pewnego ranka Tracy zbierała się do pracy. Nagle otworzyła drzwi do łazienki i zawołała mnie. Jej głos brzmiał ostro i stanowczo. Ton sugerował, że coś się stało. Już dwa razy mieliśmy problem z pękniętą rurą w kuchni. Kiedy byliśmy w pracy, woda zalała cały strych i przedostała się nawet do szaf sąsiadów. Okrzyk Tracy zwiastował kolejne kłopoty w raju. Kolejne przykre niespodzianki.

- Chyba jestem w ciąży - powiedziała Tracy.

- Na pewno?

- Zrobiłam test dwa razy.

- A kolor się zmienił?

- Tutaj pokazuje się kółko albo krzyżyk.

Byłem ojcem dopiero od niecałych trzydziestu sekund i już dowiadywałem się ciekawych rzeczy.

- I wynik jest dobry? - spytałem. Usłyszałem uśmiech na jej twarzy.

Przytulając Tracy, poczułem ulgę w całym ciele, jakbyśmy wrócili wreszcie do domu po długiej podróży. Było we mnie coś nowego. Byłem jednocześnie starszy i młodszy niż wcześniej.

Przeprowadzka stała się koniecznością.

Ciało Tracy od samego początku dobrze znosiło ciężę. W ósmym tygodniu wciąż ani śladu porannych wymiotów, czasem tylko lekkie mdłości. Ale nie było łatwo. Jej zmęczenie przypominało objawy narkolepsji. Potrafiła zasnąć o każdej porze, w każdym miejscu i każdej pozycji. Nie przesadzam. Czasami siedzieliśmy przy kolacji i nagle, w połowie zdania, wyczuwałem nowy, dziwny rodzaj ciszy w pokoju. Uszami niewidomego odgadywałem, że nikt mnie nie słucha. Jadłem dalej w nadziei, że mojej żonie udało się dotrzeć do łóżka.

Senność wcale nie ograniczała aktywności Tracy. Zaczęło się nowe wicie gniazda. Kiedy tylko zabraliśmy się do poszukiwania bardziej odpowiedniego lokum, szczęśliwym trafem znaleźliśmy mieszkanie w naszej starej dzielnicy. Były tam dwie sypialnie, prawdziwe ściany, żadnych chmur i żadnej potrzeby pokrywania wszystkiego pianką. Kamienica stała przy ulicy, którą dobrze jeszcze pamiętałem, jawiła się jako pomocne i bezpieczne miejsce dla początkującego ojca, miejsce, gdzie

Tracy spokojnie powierzy mi dziecięcy wózek. Aczkolwiek nie byłem pewien, czy wózek w ogóle wchodzi w grę. Niepokoila mnie myśl o pchaniu wózka i jednoczesnym wywijaniu białą laską. Trzeba by było panować nad sobą, dzieckiem i pojazdem. Nie jestem w tym dobry.

Tracy, niezależnie od tego, czy jest w ciąży, uwielbia przeprowadzki, więc narzuciła sobie tempo i codziennie pakowała kilka pudeł, owijała gazetami delikatne sprzęty, naklejała etykiety, segregowała i ustawiała. Nie za dużo naraz. W przerwach łykała witaminy albo kładła się i zasypiała koło pistoletu do taśmy klejącej. Ja tymczasem gadałem. A raczej wyrzucałem z siebie obawy.

Ojcostwo - pociąg, który już słyszałem w oddali - obudziło we mnie nowe lęki. Nic konkretnego. Na szczęście przeprowadzka dostarczyła mi tematów do przemyśleń i mogłem się czymś zamartwiać w sposób produktywny. Generalnie moje ojcowskie obawy przejawiały się w obsesji na tle rzeczy bez znaczenia. Sfiksowałem. Bałem się, że coś pominiemy. Nie zapomnij o ubijaczce do jajek. Nie zapomnij o łyżce do butów. Takie tam. Myślę, że ta obsesja miała też związek z moją ślepotą. Nic już nie leżało na swoim miejscu. Znany mi świat znowu zniknął. Miałem nadzieję, że pojawi się na nowo w kolejnym mieszkaniu, że będzie bezpieczny i nietknięty, więc oczyma wyobraźni widziałem najmniejsze przedmioty i czepiałem się ich jak tonący brzytwy. Jeśli zatyczki do uszu trafią do następnego etapu naszego życia, to wszystko ważne i wartościowe na pewno też. Włącznie z nami.

I dlatego często leżałem w nocy z otwartymi oczami, inwentaryzując nasz dobytek, a potem budziłem Tracy, żeby omówić z nią, co może zniknąć bez usprawiedliwienia.

- Skarbie? Nie śpisz? Spakowałaś moją skakankę? Tracy przeważnie mruzczała coś pod nosem, niezbyt zachwycona moją drobiazgowością. Ale nie odpuszczałem.

- Położę ją na blacie w kuchni, okej?

- Jak chcesz - mówiła ona, ledwo się poruszając.

- Obok wiertarki bezprzewodowej.

- Mhm.

- I koło termometru do pieczenia mięsa. Nie możemy o nim zapomnieć.

W ten właśnie sposób spędziłem miesiąc poprzedzający przeprowadzkę. A kiedy nie starałem się myśleć o wszystkim, wykładałem na uczelni.

Któregoś ranka podczas golenia powtarzałem w myślach plan ćwiczeń ze studentami. Uczę ich, jak konstruować eseje albo przynajmniej jak docenić zgrabne zdanie, nadal jednak nie wierzę w streszczenia. Są zupełnie nienaturalne, a ja jeszcze nigdy nie napisałem czegoś, co kazałoby mi zawołać: „Tracy, chodź szybko! Zobacz, jakie streszczenie! Chyba całkiem nieźle mi wyszło!”.

Zastanawiałem się właśnie, co mógłbym powiedzieć na ten temat, kiedy w drzwiach do łazienki stanęła Tracy. Pachniała perfumami, gotowa do wyjścia. Wypowiedziała pierwsze zdanie tego dnia. Jego streszczenie.

- Zaczęłam krwawić.

Była przestraszona i zdezorientowana. Jej słowa zabrzmiały prawie jak pytanie.

- To na pewno normalne. Czy nie?

W ciele Tracy zachodziło tyle zmian, że sam już nie wiedziałem, czego się spodziewać.

- Nie - powiedziała. - W tej chwili krwawienie nie jest normalne. Zdecydowanie nie. W książkach nie piszą o tym dobrze.

- Na pewno wszystko w porządku - stwierdziłem. - Po prostu zadzwońmy do lekarza i umówmy się na wizytę, tak na wszelki wypadek. Ale jestem pewien, że...

Palce Tracy wystukiwały numer.

Wczesnym popołudniem spotkaliśmy się z lekarzem, poszliśmy na USG i dowiedzieliśmy się, że dziecka już nie ma. Nie dało się znaleźć bicia serca. Szybka i brutalna diagnoza. Koniec. Być może serce nigdy nie biło. To był dopiero ósmy tydzień. Większość ludzi - naszych przyjaciół i współpracowników - o niczym jeszcze nie wiedziała.

Poronienie nie jest ostatnim rozdziałem historii naszej rodziny, ale stanowi kontekst, w którym narodziło się nasze rodzicielstwo. Zaczęliśmy od wygnania i zwątpienia. Bolesna, nerwowa niepewność tłumiała uczucie radości towarzyszące kolejnej fazie naszego życia. Czy mogę być ojcem? Czy nim będę? Czy powinienem? Czy nasze ciała chcą nam coś powiedzieć? Wkroczyliśmy w rodzicielstwo i

zostaliśmy z niego wypędzeni. Teraz żyliśmy między jednym a drugim domem, między smutkiem a nadzieją, między życiem a śmiercią. Niespokojni i w pewnym sensie zagubieni.

Po powrocie ze szpitala do domu dawne życie próbowało na nowo wejść w stare koleiny. W chwilach największej bezbronności rzeczywistość karze nas swoją banalnością. Jesteś głodna? Nie. A możesz podkręcić radio? Jasne. Załatwiłeś ubezpieczenie przeprowadzki?

Jednego dnia ciąża stała się nawiasem. Wtrąconym zdaniem. Teraz już zamkniętym. A jednak kiedy wieczorem wsunęliśmy się do łóżka, nawet we śnie towarzyszyło nam pytanie: Jak mamy zacząć od nowa?

Chyba faktycznie trzeba oczyścić gniazdo. Pozbyć się słodkich marzeń. Niektóre spoczną w ziemi.

Przed jakimś zatłoczonym sklepem spożywczym w Vancouver Tracy popchnęła mnie na stojak dla rowerów. Jakim cudem facet ma zostać ojcem, jeśli ciągle kastruje się za pomocą takich rzeczy? O tym właśnie myślałem, kiedy zadzwonił telefon. Na pewno z tuzin ludzi sięgnęło do kieszeni, ale tym razem to była komórka Tracy. Nie wiedziałem, kto dzwoni, zrozumiałem jednak, że ktoś chce się z nami spotkać. Im szybciej, tym lepiej. Kiedy Tracy skończyła rozmawiać, umilkła na moment, a potem chrząknęła z zakłopotaniem.

- Dzwonili z gabinetu - powiedziała. - Chcą, żebyśmy tam przyszli dziś po południu.

- Po co?

- Wizyta kontrolna. Żeby sprawdzić, jak się czuję. Chyba. Jak my się czujemy.

Miało to sens i było miłe, ale brzmiało mało prawdopodobnie. Z mojego doświadczenia wynika, że lekarze nie mają czasu ani środków, żeby osobiście obdzwaniać pacjentów. A już na pewno nie z zaproszeniem na kolejną pogawędkę o poronieniu. Mowy nie ma. Milczenie Tracy i jej zakłopotanie sugerowały, że moja żona myśli tak samo. Nie minął nawet miesiąc. Wiedzieliśmy, że nie powinniśmy jeszcze zaczynać starań o kolejną ciążę. O czym tu dyskutować? Nie potrzebowaliśmy przecież lekarskich wskazówek na temat planowania rodziny.

Po dziś dzień, kiedy słyszę szelest przewracanej kartki czasopisma, myślę o badaniu przezpochwowym. Siedzieliśmy w poczekalni i czekaliśmy na takie właśnie badanie. Słyszałem, jak palec Tracy kartkuje „Marie Claire” i podsłuchiwałam jednocześnie recepcjonistki oraz inne pacjentki, które też przeglądały gazety, przygotowując się być może do swoich badań. To samo słyszałem w dniu, kiedy potwierdzono nasze przypuszczenia o ciąży, oraz w dniu, kiedy czekaliśmy w szpitalu na usunięcie pozostałości po poronieniu.

Takie doświadczenia zmieniają podejście do prasy i jej czytelników.

Kiedy w końcu przysłała nasza kolej, lekarka była szybka i rzeczowa. Badanie trwało bardzo krótko. Lekarka obróciła się na stołku. Mówiąc do nas, przeglądała teczkę Tracy. Słyszałem szelest odwracanych kartek. Może przy okazji rzucała też okiem na najnowsze trendy w wiosennej modzie. Może sama czekała na badanie przezpochwowe.

- Dobrze się pani czuje? - spytała.

- Na tyle, na ile to możliwe - odparła Tracy.

- A pan?

- Ja? Jeśli moja żona czuje się dobrze, to ja też. Szelest kartek. Milczenie lekarki.

Nie podobała mi się

jej reakcja. Ustawiłbym ją do pionu, ale nie zapewniła mnie, że mogę czuć się dobrze, bo z Tracy wszystko w porządku.

- Tkanka usunięta podczas łyżeczkowania została poddana biopsji - powiedziała lekarka. - To rutynowe postępowanie. Wyniki wskazują, że była to ciąża zaśniadowa. Zazwyczaj widać to już na USG, ale... Wiedzą państwo, co to jest ciąża zaśniadowa?

Nie wiedzieliśmy.

- Powinam wyjaśnić, że w państwa przypadku mieliśmy do czynienia z ciążą częściowo zaśniadowa - dodała lekarka.

Pomyślałem, że to dobrze. Tylko w połowie tak źle, jak by się mogło wydawać. Albo częściowo tak źle.

- Generalnie chodzi o to - ciągnęła lekarka - że w państwa przypadku komórka jajowa została zapłodniona przez dwa plemniki.



Tracy i ja pomyśleliśmy o tym samym, ale tylko jedno z nas zapytało o bliźnięta.

- Nie - odparła lekarka. - Niestety chromosomy się dublują i to powoduje problem. Powstaje tak zwany zaśniad groniasty. W przypadku pani poronienia interwencja była bardzo szybka. Prawdopodobnie dlatego nie stwierdzono obecności zaśniadu podczas badania USG.

- Dlaczego zaśniad groniasty? - spytałem. - Chodzi o to, że wygląda jak winogrona?

Lekarka się roześmiała. A ja wcale nie zamierzałem jej rozbawić.

- Trochę tak - powiedziała.

Medyczne terminy zbijają mnie z tropu. Często nie dają jasnego wyobrażenia o problemie. Jak chyba większość ludzi, lubię mieć w głowie jasny obraz. Zazwyczaj. Czy ktoś opowiadał wam kiedyś odcinek Pełnej chaty? Poddaję się.

- A dlaczego zaśniad? - spytałem. - Skąd taka nazwa?

- Wie pan co? - powiedziała lekarka. - Szczerze mówiąc, nie wiem. Myślę, że... nie, nie wiem skąd. To dobre pytanie.

Lubię mieć jasność w takich sprawach, więc nie odpuszczałem.

- To powinno się z czymś kojarzyć. A może nie? Może to przypadkowe określenie?

- Być może.

Nie powiedziała tego z przekonaniem, raczej miała pewność, że trafił się pacjent skrzywiony na punkcie języka i doboru słów.

- Ale przecież musi być jakiś powód, dla którego tak to się właśnie nazywa. Po co ktoś miałby używać określenia...

Poczułem, że Tracy kopie mnie w myślach ciężkim buciorem i każe mi stulić pysk. Dałem spokój porównaniom. Cokolwiek oznaczała nazwa ciąży, Tracy raczej nie była tym zainteresowana.

I właśnie wtedy moja żona przeszła od semantyki do sedna sprawy.

- Co to właściwie znaczy?

Lekarka najwyraźniej się ucieszyła z pożegnania z językiem i powrotu na grunt naukowy.

- Więc tak - powiedziała, zatrzasując kartotekę Tracy. - W ciągu najbliższych kilku tygodni musimy pani zrobić kilka badań krwi. To wszystko. Sprawdzimy poziom hormonów wzrostu w pani ciele. Ponieważ nie jest pani już w ciąży, ten poziom powinien spaść.

- A jeśli nie spadnie? - spytała Tracy beznamiętnym tonem.

- Jeśli w macicy zostały jeszcze komórki zaśniadowe i jeśli ulegają podziałowi, to poziom hormonów będzie wyższy. Tak to działa.

Dla mnie to było jasne. Lekarka mówiła o inwazji komórek.

Tracy siedziała na krześle naprzeciwko mnie, za daleko, żebym mógł chwycić ją za rękę, pogłaskać po udzie albo wykonać jakiś inny, dyskretny gest. Moja żona jest dumna i powściągliwa. Postanowiłem to uszanować, ochronić ją przynajmniej w taki sposób.

- Musimy dziś pobrać pani krew i powtórzyć badanie w przyszłym tygodniu, żeby sprawdzić, czy poziom hormonów opada. Zwykle opada.

- A jeśli nie? - spytała Tracy. Jej kamienny głos zadrżał lekko. Trzęsienie ziemi.

- Nie ma powodu do obaw - powiedziała lekarka, błyskając przy tym zębami. - Istnieje szereg możliwości. Zastanowimy się nad nimi, jeśli, co bardzo wątpliwe, będzie trzeba. To można leczyć. A poza tym to naprawdę bardzo mało prawdopodobne.

- Jak mało? - spytałem.

- Prawdopodobieństwo jest znikome. Jakieś pięć procent.

- A jak często się zdarza ciąża zaśniadowa? - pytałem dalej.

- Och, może raz na tysiąc.

Takie liczby mają na ogół pocieszać, ale ja nie czułem ulgi. Lekarka powiedziała nam już, że nie tylko zdarzyło się nam poronienie (jedna szansa na piętnaście), ale i jedno na tysiąc zaburzenie komórkowe. Teraz okazało się, że być może, z dwuprocentowym prawdopodobieństwem, wylosujemy coś jeszcze. Wyglądało na to, że kiedy tylko przytrafiało się nam coś rzadkiego, nasze szanse na jeszcze rzadsze problemy rosły.

Lubię się pocieszać liczbami, ale to trudne. Powiem tak: jeśli prawdopodobieństwo śmierci w wypadku lotniczym wynosi jeden do miliona, to można podnieść swoją szansę przeżycia, przebierając się za niedźwiedzia i wjeżdżając na pokład unicyklem. To lepsze niż spadochron, prawda? Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś przebrany za niedźwiedzia, z unicyklem w schowku nad głową, zginie w wypadku lotniczym? Baaardzo niewielkie.

Gdyby właśnie tak to działało, nie czekalibyśmy na bankowo pewną epidemię głodu wśród tych podstępnych małych komórek, tylko natychmiast po wyjściu od lekarza zaczęlibyśmy sprawdzać ceny unicykli. Można by to nazwać jeszcze jedną polisą ubezpieczeniową.

Po dwóch badaniach krwi okazało się, że poziom hormonów Tracy nie maleje, tylko rośnie. Moja żona nie była w ciąży, ale jej ciało myślało inaczej. Komórki się dzieliły. Mieliśmy do czynienia z sytuacją alarmową. Przypadek Tracy teraz już oficjalnie przerastał kompetencje naszej lekarki rodzinnej. Umówiono nas ze specjalistą. Tracy opisała go jako schludnego i czarującego młodego człowieka, który gestykulował równie starannie, jak mówił.

Nie pamiętam, od czego zaczęła się rozmowa ani w jaki sposób przeszliśmy od pogawędki do poważnych informacji. Pamiętam jednak, że bardzo szybko wybór opcji zawęził się do jednej jedynej możliwości.

- Chemioterapia - powiedział lekarz. - Musi ją pani zacząć natychmiast.

Łożysko to cudowny i przedziwny twór. Zasadniczo zachowuje się jak łagodny nowotwór: przyczepia się do organizmu kobiety, czerpie z niego pokarm i rośnie. Ale jak przystało na nowotwór łagodny, jest zaprogramowane tak, żeby się odłączyć. Ulec autodestrukcji, w przeciwieństwie do raka. Komórki zaśniadowe miały związek z łożyskiem. Tylko że nie wiedziały, kiedy się odłączyć, więc rosły, żywiły się i rosły dalej, a pozostawione same sobie mogły zaatakować mózg i płuca. Niby nie rak, ale coś podobnego. Zabójcze, choć niewinne.

- Moim zdaniem potrzebna będzie jedna kuracja, może dwie - powiedział ginekolog. - Im szybciej, tym lepiej. Im mniej jest do leczenia, tym krócej trzeba leczyć.

Dwa tygodnie później, w dniu pierwszej kuracji Tracy, zadzwoniliśmy po taksówkę. Kiedy żółta plama zahamowała pod naszym domem, poczułem nagle przygnębienie i frustrację. Nie mogłem sam zawieźć żony do kliniki onkologicznej, a ona nie byłaby w stanie sama wrócić do domu, więc oto musieliśmy zaprosić kogoś obcego, choć nie było to miejsce dla obcych ludzi. Tamtego dnia chętnie oddałbym słuch za możliwość prowadzenia samochodu.

Siedzieliśmy z tyłu, otoczeni torbami. W ramionach trzymaliśmy poduszki Tracy, trochę domowego jedzenia, książki, robótkę ręczną, zestawy sudoku i przenośny odtwarzacz DVD oraz inne rzeczy. Tracy jechała tam tylko na jedną noc, ale tak intensywne doświadczenie wymagało więcej rozrywki i wsparcia niż tydzień spędzony poza domem w innych okolicznościach. Zatrzasnąłem drzwiczki i wydałem kierowcy polecenie:

- Jedziemy do kliniki onkologicznej. Wie pan, gdzie to jest?

Kierowca wiedział, kiedyś oddawał tam krew. Jechaliśmy w milczeniu. Tracy zauważyła, że gość zerka w lusterko wsteczne. Patrzył na mnie. Jego oczy były pełne współczucia. Tracy powiedziała, że inni też będą tak patrzeć. Na przykład ludzie w poczekalni kliniki onkologicznej oraz rodziny i przyjaciele innych pacjentów, mijający nas na korytarzu, kiedy szukaliśmy dyżurki pielęgniarek. Wszyscy widzieli niewidomego łysego faceta i zakładali, że ta fryzura jest wynikiem raka. Być może ślepotą też.

Ale ja się ucieszyłem, kiedy Tracy powiedziała mi o tych spojrzeniach. Odwracałem cudzą uwagę od niej. Przynajmniej tyle mogłem zrobić dla swojej żony, więc chętnie przystałem na rolę niby-pacjenta. Zbierałem litość w jej imieniu. Może będzie trochę mniej toksycznie.

W wąskim pokoju, na końcu długiego, zdezynfekowanego korytarza, rześka i energiczna pielęgniarka zaprowadziła nas do łóżka. Tracy miała współlokatorkę, Chinę, która zajmowała drugie łóżko, częściowo oddzielone zasłoną. Pielęgniarka tej kobiety i jej spanikowani krewni otoczyli łóżko. Nad ich głowami dudnił telewizor. Tracy włożyła piżamę i wspięła się na łóżko, a potem zaczęła układać swoje rzeczy.

Po chwili sytuacja za parawanem nieco się wyjaśniła. Kiedy Tracy rozpakowywała bagaże, ja przysłuchałem się rozmowie krewnych Chinki, którzy z wysiłkiem próbowali przetłumaczyć pytania i polecenia pielęgniarki. Kobieta co pewien czas wykrzykiwała coś po chińsku, a w przerwach wyła z bólu. Powietrze w pokoju było stęchłe i ciężkie. Kwaśne i rozgrzane. Z czasem miało jeszcze zgęstnieć. Była dopiero pora śniadania. Nowy początek.

Nasza rześka pielęgniarka zmierzyła puls Tracy i zaczęła wbijać jej w nadgarstek igłę do kroplówki. Stamtąd miały popłynąć leki służące chemioterapii. Pojawił się jednak jakiś problem z igłą. Najpierw drobny, potem poważny. Pielęgniarka po raz trzeci próbowała znaleźć żyłę, kiedy sytuacja za parawanem osiągnęła punkt krytyczny. Wszyscy byli podenerwowani. Pielęgniarka Chinki pytała powoli i głośno:

- Czy wystąpiły wymioty albo biegunka? Krewni Chinki zaczęli rozmawiać. Kobieta jęknęła.

- Wymioty? - powtórzyła pielęgniarka. - Bolał brzuch?

- Chyba muszę się wkłuć w drugie ramię - powiedziała pielęgniarka Tracy. - Tu się nie uda.

Ale ponownie ukłuła moją żonę w miejscu, gdzie puchły już cztery inne, porzucone rany.

Rodzina przy sąsiednim łóżku wpadła w popłoch.

- Nie! - krzyknęła pielęgniarka Chinki. - Nie wolno wstawać! Proszę jej powiedzieć, żeby leżała! Poprzedniej nocy ciągle wstawała i... nie, nie, proszę wracać do łóżka!

- Ona iść do łazienka - wyjaśnił jeden z krewnych. - Ona była w łazienka. Poszła.

Zaczęły się nerwowe poszukiwania basenu. Tracy starała się skupić na czymś innym. Jej własna część pokoju nie stanowiła zachęcającej alternatywy. Pielęgniarka właśnie po raz szósty usiłowała znaleźć żyłę.

- Musimy panią zrelaksować - powiedziała sfrustrowanym i jednocześnie przepraszającym tonem. - Kiedy ciało odczuwa stres, zaczyna się bronić. Żyły chowają się głębiej pod skórą. To taki rodzaj samoobrony. Pani się broni.

Za parawanem trwały chaotyczne próby zebrania krewnych wokół łóżka, by przenieść Chinkę na wózek i zawieźć do łazienki. Szło to jednak jak po grudzie, bo kobieta była zbyt słaba, a może zbyt zdenerwowana. Tracy też się denerwowała. Jej posiniaczone, krwawiące ramiona owinięto grubą warstwą gorących ręczników, żeby skłonić żyły do powrotu na powierzchnię. Mówiła, że czuje się jak chora wersja ludzika Michelina.

Kiedy wreszcie udało się podłączyć kroplówkę, do łóżka Tracy podeszła jakaś kobieta. Miała silny szkocki akcent, krzepiący niczym dobra whisky. Na jej piersiach zauważyłem coś mocno błyszczącego. Pomyślałem, że to być może nie stetoskop, tylko amulet. Kobieta była onkologiem Tracy. Sporządziła koktajl dnia i przyszła przygotować moją żonę do dwunastogodzinnej kuracji.

Od samego początku byłem wobec niej nieufny, choć nie miałem żadnego powodu. Moje lęki wiązały się z jej wisiorkiem. Dlaczego nosiła amulet? Nie chciałem, żeby osoba odpowiedzialna za leczenie mojej żony parała się również wiarą w symbole i magiczne przedmioty. Tak samo się czułem, kiedy pewien mechanik z linii lotniczych powiedział mi, że Wielki Wybuch nigdy nie miał miejsca, bo nie piszą o nim w Biblii. Kto chciałby lecieć samolotem, którym zajmuje się facet zaprzeczający prawom fizyki? Miałem złe przeczucie. Obronne złe przeczucie.

Chinka płakała. Krewni ją pocieszali. Podobnie jak ja byli tu, ale nie mieli dostępu do czegoś, co działo się wewnątrz ukochanej osoby. Nasze ciała wymuszają wzajemny dystans, tworzą barierę, którą przez całe życie staramy się na różne sposoby przełamać. Posyłamy na drugi koniec pokoju głosy. Spojrzenia. Prosimy o długi uścisk. Fizyczną intymność dotyku, smaku i zapachu zachowujemy dla wybranych. Jeśli dwoje ludzi ma prawdziwe szczęście, dziecko spina tę przepaść między nimi. Zbliżamy się do siebie. Z oddzielnych atomów stajemy się cząsteczką.

Być może pani onkolog, świadoma rozpacz i cierpienia w drugim łóżku, zrozumiała, jak bardzo nie chcemy tam widzieć odbicia swojej historii i jak staramy się nie myśleć o końcu tego rozdziału. Cokolwiek ją natchnęło, mogę z całą pewnością stwierdzić, że wyraziła najlepszą i najtrudniejszą do spełnienia

(aczkolwiek zupełnie nie-intuicyjną) prośbę, jaką kiedykolwiek usłyszeliśmy od lekarza.

- Chciałabym prosić państwa o jedno. Zróbcie to dla mnie i dla siebie - powiedziała. - Proszę się nie identyfikować z żadnym innym pacjentem tej kliniki.

Pozwoliła, żeby jej napomnienie rozbrzmiało w naszych uszach, po czym wyjaśniła:

- Nie jest pani jednym z nich. Nie ma pani raka. Tak się po prostu składa, że chemioterapia dobrze działa na komórki zaściadowe. Leczenie podziała, na pewno. Nie straci pani włosów, nie będzie pani potrzebowała radioterapii ani operacji, a kiedy będzie już po wszystkim i wróci pani do zdrowia, będziecie mieli zdrową rodzinę. Jeśli państwo chcą, powiem to raz jeszcze: wszystko będzie dobrze, nie ma żadnych wątpliwości.

Pamiętam, że po tych słowach, jeszcze zanim Tracy dostała lekarstwo, kamień spadł mi z serca. Pierwszy raz, odkąd to wszystko się zaczęło, jakiś lekarz dał nam trochę pewności i związanej z nią ulgi. Jasne, chemia da Tracy popalić, ale moja żona wyzdrowieje. To niewiele, ale wystarczy. Mało kto mógł nam tyle dać.

Lekarka emanowała pogodą podczas każdej wizyty. Zachowywała się swobodnie i pewnie. Blask jej amuletu przebijał mgłę na moich oczach. Cieszyłem się na jego widok.

W chwilach bólu i zwątpienia przypominaliśmy sobie słowa lekarki. Możemy mieć dziecko. Trzeba odczekać rok i upewnić się, że nie ma nawrotu, ale to wszystko. Raptem rok. Chwilowa przerwa. W tym ujęciu wyglądało to jak obietnica.

Po dwóch zalecanych dawkach konieczna okazała się trzecia, a potem czwarta, ponieważ poziom hormonów nadal rósł. Amulet jednak wciąż błyszczał, kiedy jego właścicielka przychodziła sprawdzać, jak się czuje Tracy. Wtedy się wydawało, że pięć dawek to magiczna liczba. Potem liczba ta wyniosła sześć. Wtedy poziom hormonów zaczął opadać. Kurczowo trzymaliśmy się nauki, pewności, jasności słów. „Wyzdrowiejesz - powtarzałem swojej dziewczynie. - Wytrzymaj jeszcze trochę”.

Pierwszego dnia terapii usiadłem koło Tracy. Rozmawialiśmy, oglądaliśmy filmy, a kiedy zmęczona zasnęła, słuchałem, jak oddycha. Czasami prosiła o sok, więc

rozkładałem laskę i dreptałem w poszukiwaniu pielęgniarki, która zaprowadziłaby mnie do automatu z napojami albo próbowałem po omacku znaleźć automat na drugim piętrze, albo dla odmiany podążałem tropem odgłosów do stołówki. Jeśli zostałem sam w windzie, byłem zdenerwowany i zniecierpliwiony. Musiałem wracać, szybko, jak najszybciej. Być z nią. Nie zgubić się.

Przemierzywszy niekończący się labirynt korytarzy, schowków i niewłaściwych drzwi, podawałem sok Tracy. Mój własny mały amulet. Symbol skruchy za to, co jej zrobiłem. Potem Tracy ponownie włączała DVD, opowiadała mi, co się dzieje, i popijała sok, chroniąc przestrzeń między nami. Nas i naszą wymarzoną rodzinę.

Kretyn, kurczak, tata

Dom, do którego się przeprowadziliśmy, przypominał labirynt, szczególnie w porównaniu z kawalerką na strychu. Musiałem zapamiętać nową, skomplikowaną przestrzeń, więc przez parę ładnych dni dreptałem z pokoju do pokoju, macając ściany w poszukiwaniu przełączników, licząc schody, obrysowując kształty i próbując wcisnąć palce do kontaktów. Do kupna domu zachęciły nas głównie dwie duże sypialnie. Ta przeznaczona dla dziecka była zdecydowanie większa i przyjemniejsza. Znajdowała się na piętrze, jej wykuszowe okna wychodziły na wschód i wypełniały cały pokój porannym światłem. Była cudowna, pusta i okrutna.

Nie wiedzieliśmy, co z nią zrobić. Musiałem gdzieś postawić swoje biurko i - jak to określamy - brajlotkę, ale wolałem się zagrzebać w piwnicy. Tracy to zrozumiała. Urządziłem sobie gabinet koło pralki. W pokoju dzieciennym ustawiliśmy dodatkowe łóżko, szafę zappełniły zimowe ubrania. W kącie zalegały sfatygowane psie zabawki, a pod oknem stał podniszczony fotel. Wszystko nieużywane.

Zaczęliśmy od nowa na innych polach. Tracy zmieniła stanowisko w firmie - teraz układała przemówienia dla nowego prezesa zarządu. Ja siedziałem na kanapie i grałem (kiepsko) na gitarze, czasami spacerowaliśmy po nowych dzielnicach i jedliśmy egzotyczne żarcie z zagranicznych miast, ponieważ doszliśmy do wniosku, że kiedy urodzi się dziecko, trudno nam będzie swobodnie podróżować po świecie. Zrozumcie, tu nie chodziło o samą rozrywkę. To była strategia. Psychologiczna wojna z czasem. Takie przyjemności -którymi każdy świeżo upieczony, sterany



życiem rodzic każe się cieszyć na zapas - umacniały naszą nadzieję na dziecko. Powinniśmy to zrobić, zanim pojawią się dzieci, no nie? Bo za rok, kiedy znowu będziemy mogli próbować, wszystko się zmieni, prawda? Trzeba oglądać filmy i czytać gazety, póki mamy jeszcze jakąś siłę poznawczą. Dziecko - nasze dziecko - na długo pozbawi nas snu. Kiedyś się urodzi. Wiedzieliśmy to. Wierzyliśmy w to i zachowywaliśmy się, jakby to założenie miało określić nasze życie, jakby dziecko leciało już samolotem z własnych zagranicznych wakacji.

Rok. Potwornie długa i trudna próba dla moich oczu. Resztką zdolności widzenia zachowana w prawym oku w każdej chwili mogła zniknąć. Tracę wzrok skokowo. Nie po odrobinie każdego dnia. To nie tak, jakby ktoś powoli przytłumiał światło. Jest inaczej: czasami w sklepie patrzę na jabłko i wtem mam wrażenie, że zepsuło się kilka lamp nad moją głową i jakby (to naprawdę niezłe!) część konturu jabłka po prostu zniknęła, niczym wyspa tonąca w oceanie. Takie radykalne zmiany są nagłe, a potem całymi miesiącami, nawet przez rok czy dwa, nic się nie dzieje. Trudno przewidywać, ale kiedy przychodzi odpływ, fragment linii brzegowej wokół ostatniej wyspy wzroku rozplywa się w morzu wazeliny. Choć tracę niewiele, każda zmiana robi wielką różnicę. Wielką. Na tym polega ironia. Im mniej mamy, tym więcej mamy do stracenia.

Najbardziej martwiło mnie to, że przez rok oczekiwania stracę resztkę zdolności widzenia i nie zdążę zobaczyć nawet kawałeczka mojego syna albo córki. Chciałem zobaczyć i zapamiętać, ile się da, dopóki na dobre nie straciłem tej możliwości. Dwanaście miesięcy mogło sprawić, że moje dziecko zniknie, nim się w ogóle pojawi.

No ale co miałem zrobić? Przez rok obserwowałem kalendarz, po pół liczby i pół litery naraz, ciesząc się zawsze, że widzę przynajmniej tyle. Uczepiłem się tej obietnicy. Kalendarz mówił, że będzie jakaś przyszłość.

Były też inne, bardziej produktywne zajęcia. Przygotowania do bycia tatą szły niezłe. Często gapilem się na najnowsze podręczniki dla młodych ojców - po pół litery naraz. Reszta okładki, moja dłoń, nadgarstek i pokój przypominały ożywioną plataninę światła i linii. Jasne, mogłem kupić kilka skróconych wersji w postaci

audiobooków, ale wydawało mi się, że to byłby kiepski początek. Jakie świadectwo wystawia sobie facet czytający streszczenia podręczników dla ojców? Nie za dobre, zwłaszcza jeśli ma na to rok.

Generalnie musiałem radzić sobie z drukiem. Żaden problem. Znajdę kogoś do pomocy, może jakiś kumpel będzie mi czytał na głos. Niestety Tracy miała dostatecznie dużo własnych lektur, głównie autorstwa różnych nawiedzonych, ujadających o tym, co robią, a czego nie robią dobre matki. Niektórzy doradzali popijanie wina podczas ciąży, inni spaliliby cię za to na stosie. Każdy produkt spożywczy lądował na czyjejs liście rzeczy zakazanych, nawet sałatka. Przypominało to bardziej pozwody sądowe niż popołudnia z książką.

Pewnego dnia mój kumpel Brian pomógł mi dowiedzieć się czegoś o ojcostwie. Wszystkie rozdziały w pierwszym podręczniku miały formę wykładów przetykanych metaforami sportowymi. „Podanie piłki” mówiło o tym, jak trzymać dziecko i przekazywać je matce. „Taktyka” - o tym, jak komunikować się z nią na temat dziecka.

W końcu dałem szansę audiobookom. Wybór był niewielki, więc zacząłem od czegoś, co łatwo znaleźć i kupić. Złote myśli i anegdoty Billa Cosby'ego przyszły pocztą. Pełen dobrej woli wysłuchania ich, jeśli tylko się nie okaże, że muszę zainwestować w sweter z geometrycznym wzorem, wytrzymałem jakieś dziesięć minut i odpuściłem po rozdziale, w którym Cosby opowiada, jak dał synowi nauczkę, spuszczając mu lanie w stodole. Te metody wychowawcze były równie przestarzałe jak kasety, na których doktor Huxtable nagrał swoje porady.

W sumie większość podręczników dla ojców nie wzbudziła we mnie tęsknoty za wzrokiem. Widzący ojcowie są najwyraźniej niebezpieczną bandą, którą należy trzymać z daleka od kleju, stodoł i nici dentystycznych.

Czas płynął, a ja nie tylko traciłem wzrok, ale też coraz bardziej gubiłem się w swoich badaniach na temat roli ojca i mojego do niej przygotowania.

Pewnego popołudnia siedzieliśmy w tureckiej restauracji. Popijałem właśnie piwo, łykałem jagnięcinę i rozważałem możliwość pogrzebienia się żywcem na użytek artykułu do czasopisma, kiedy Tracy przerwała moje upiorne rozważania.

- Chyba jestem w ciąży - powiedziała.

Minął dokładnie rok i miesiąc, odkąd kazano nam odczekać. Tracy dopiero od miesiąca nie brała pigułki, a ja byłem tak zajęty wyjazdami w ramach promocji moich wspomnień, że udało się nam znaleźć czas raptem na jedno zbliżenie. Jestem w gorącej wodzie kąpany, ale to przekraczało nawet moją wyśrubowaną normę.

Łyknąłem powoli piwa, czekając, aż opadnie mój poziom adrenaliny.

- Chyba jesteś w ciąży? - powtórzyłem. - Chyba jesteś czy, no wiesz, jesteś?

- Jestem.

Coś zagrzechotało mi w czaszce. Mój mózg, a raczej to, co kiedyś nim było, co z niego zostało. Teraz był to kurczak bez głowy. Nie wiedziałem, co powiedzieć, nie mogłem nadażyć ze słowami, a już na pewno z reakcjami na nie. Musiałem złapać kurczaka.

- Ale możesz nie być? - spróbowałem.

- Nie, na pewno jestem.

- Na pewno?

- Na pewno.

Radość Tracy była oczywista. Moja radość tkwiła gdzieś w środku, ale zagłuszał ją hałas i trzepot kurczaka. Czuję tylko jego. I dlatego wyraziłem swoje uczucie najlepiej jak umiałem.

- Nie, nie jesteś.

Te słowa zaskoczyły mnie tak samo jak Tracy.

Dziecko, jako projekt i realizacja, jest zawsze niespodzianką. Można je planować, można realizować plan, przygotowywać się, dbać o swoje ciało, tworzyć przyjazne środowisko, próbować przy pełni, mierzyć temperaturę, stosować kalendarzyk, próbować znowu i jeszcze raz, mówić sobie, że to już za chwilę, że ma się przecucie, że zaraz się wydarzy. Ale wszystkie te starania, planowanie i próby zajścia w ciążę nie zmieniają faktu, że kiedy pewnego dnia człowiek odkrywa, iż wraz z ukochaną osobą faktycznie tworzy rodzinę, zaskoczenie jest nieuniknione. A potem, o ironio, przez dziewięć miesięcy po tym zaskoczeniu mówi, że „spodziewa

się" dziecka. To, na co czeka, zaskoczy go oczywiście jeszcze bardziej, aczkolwiek tego właśnie podobno się spodziewa.

Ludzie, również ci, którzy planują rodzinę, reagują na tę niespodziankę na różne interesujące, czasem niewytłumaczalne sposoby. Ja na pewno nie byłem wyjątkiem od reguły i nie mogłem zrozumieć swojej kretyńskiej odpowiedzi. Skoro od tak dawna marzyliśmy o dziecku, to skąd wziął się ten sprzeciw, kiedy wreszcie stanąłem u progu ojcostwa?

Może jest to, do pewnego stopnia, uwarunkowanie genetyczne. Kiedy miałem siedem lat, mój młodszy brat Rory dwa, a najmłodszy Mykol spędził na tym dziwnym świecie dokładnie rok, mama uznała, że już wystarczy. Dwoje dzieci wciąż w pieluchach, trójka płątała się pod nogami. Tyle właśnie było pasów bezpieczeństwa w samochodzie. Rodzice byli usatysfakcjonowani liczbą potomstwa i cześć.

I dlatego pewnego popołudnia mama zapakowała nas wszystkich na swój rower - czy macierzyństwo automatycznie generuje takie talenty inżynieryjne? - i pojechaliśmy do naszego lekarza rodzinnego, zabawnego, skrzypiącego dżentelmena, który na widok mojego dreptania stwierdził kiedyś, że mam stopy przymocowane tyłem do przodu. Mama pojechała do niego na zabieg podwiązania jajowodów. Wcześniej zrobiono jej badania krwi. Doktor Gillam miał przy sobie wyniki badań i na początku wizyty pogratulował mamie. Była w ciąży.

Oczywiście bardzo się ucieszyła, ale dopiero po chwili poczuła i wyraziła swoją radość. Najpierw trzasnęła doktora Gillama w twarz. Mimo że po tym ciosie kilka razy stanowczo powtórzyła „Nie!", jakieś osiem miesięcy później urodziła moją siostrę Erin. Rodzice zawsze marzyli o córeczce, więc płeć dziecka była dodatkowym zaskoczeniem. Czasem wciąż zwracam się do Erin jej pieszczotliwym, choć może kiepskim przezwiskiem: Wpadka.

Jak widać po jej pięściach, mama jest bardzo bezpośrednia. Ja też, na swój własny sposób. Zaprzeczanie jest dosyć bezpośrednie.

Tracy spróbowała jeszcze raz.

- Jestem w ciąży - powiedziała. - Naprawdę. Głos zabrał kurczak.

- Nie, nie jesteś - przemówił pogodnie i pewnie. Zapadła wymowna cisza.

Tracy uznała chyba, że to naiwna i głupia reakcja. I miała rację. Odrobinę ją to nawet bawiło, zupełnie jak obserwowanie dziwnego zwierzęcia w jego naturalnym środowisku.

Ja nadal się uśmiechałem, pewny swego, wręcz spokojny, jak gdybym poprawiał kogoś, kto właśnie mi powiedział, że zespół The Eagles poważnie przyczynił się do muzycznego rozwoju zachodniej cywilizacji i że powinienem go jeszcze raz posłuchać. Wróciłem do pysznej jagnięciny.

- A skąd wiesz, czy jestem w ciąży, czy nie? - spytała Tracy.

- Nie jesteś, bo... - wytężyłem umysł, żeby rzucić okiem na koniec tego równania. - Bo nie możesz być.

Kurczak i ja ponownie się uśmiechnęliśmy z satysfakcją i triumfalnie łyknęliśmy piwa. W tym tempie mogliśmy napisać własny podręcznik dla ojców.

Jak na ironię, Tracy i ja toczyliśmy bitwę z czasem i wiekiem na różnych frontach, ale stając twarzą w twarz z perspektywą ojcostwa, w potrzasku tej zmiany, odrzuciłem taką możliwość jeszcze kilka razy. I kilka następnych. Żeby odwlec moment prawdy. A przecież tego właśnie tak bardzo nie chcieliśmy. Z łatwością zaakceptowałem pierwszą ciążę, ale teraz się bałem. Tyle rzeczy mogło się popsuć. Wiedzieliśmy o tym aż za dobrze.

Kiedy analizuję ten moment w restauracji, dochodzę do wniosku, że dużo się działo i że chyba nie jestem jedynym ojcem, który próbował zyskać na czasie za pomocą wyparcia. Powód, mówiąc bez ogródek, jest bardzo prosty. Kiedy po raz drugi się dowiedziałem, że Tracy zaszła w ciążę, zacząłem grać na zwłokę, żeby móc przeciwżyć każdy możliwy wariant przyszłości i żeby w każdym przypadku zmierzyć swoją zdolność (lub jej brak) do bycia mężem i ojcem na miarę tej sytuacji. Miałem w sobie odpowiednio dużo strachu, by się tak zachowywać, i tym razem cały ten strach doszedł do głosu. Chyba podobnie się dzieje w chwili śmierci. Zobaczyłem przed sobą całe swoje życie, tyle że przyszłe, nie minione. Jak nauczę córkę nazw kolorów? Co powiem, kiedy syn stuknie samochód mamy? Skąd będę wiedzieć, że dzieciak nie robi min pod moim adresem, kiedy go opieprzam? Pewnego dnia moja mała przeżyje ob-ciach, kiedy jej stary wlezie w słup ogłoszeniowy. Jak jej to

wynagrodzę? Może niedowierzanie da mi jeszcze minutkę, pozwoli zaplanować dalsze życie. Chciałem być dobrym ojcem, ojcem doskonałym, i chciałem być gotowy. Potrzebowałem tylko dużo czasu, żeby to ogarnąć. W tureckich knajpach można chyba kupić czas, no nie?

Oczywiście prawda jest taka, że Tracy była w ciąży, a ja miałem pustkę w głowie. A podskórnie odczuwałem niepokój, że i tak już to schrząniłem. A oto dlaczego:

Tamtej potencjalnej nocy cudownego poczęcia wróciłem właśnie z Niemiec. Oprócz wielu innych rzeczy odkryłem tam na nowo frajdę, jaką daje palenie jednego papierosa za drugim. Dla podkreślenia tej chemii w ostatnią noc pobytu znalazłem się w starym klubie punkowym w Berlinie Wschodnim, z twarzą na dnie mojej pierwszej butelki absyntu. Następnego ranka wczółgałem się na pokład samolotu do Vancouver i jakimś cudem doleciałem do domu z resztką szarych komórek, wciąż czując skutki swoich toksycznych europejskich przygód. Bardziej przypominałem worek trucizn niż człowieka z krwi i kości. Tak, wiem, że palenie szkodzi, a absynt nie należy do zalecanych grup pokarmowych, ale w Europie to wszystko wydawało mi się takie... bo ja wiem... ożywcze.

Mój kurczak bał się, że dziecko przyjdzie na ten świat śmierdzące niczym popielniczka skropiona absyntem. Co więcej, przypadnie mu w pechowym udziale albo dziewiętnastowieczny artystyczny geniusz, albo temperament nihi-listy z Berlina Wschodniego.

To nie wszystko. Dzień po tym toksycznym powrocie poczułem się bardzo, bardzo dziwnie. Było to wieczorem. Tracy i ja wyszliśmy właśnie z kafejki i przechodziliśmy przez ulicę. Kiedy zszedłem z krawężnika, moje zmysły trafił szlag. Odwróciłem głowę, nasłuchując zbliżających się samochodów, ale słuch nie nadażał za uszami. Odwróciłem głowę ponownie i znów uszy niby słuchały, a przynajmniej przekazywały to, co zdążyły usłyszeć wcześniej. Zakręciło mi się w głowie, jakbym obserwował smugi światła, z tym że to były smugi dźwięku. Synchronizacja moich zmysłów i ruchów była jak naćpana. Ja też.

- Co jest? - spytała Tracy.

Przeraziłem się, bo nie miałem pojęcia, skąd moja żona wie, co się we mnie dzieje. Potem zdałem sobie sprawę, że stoję przy krawężniku, kiwam głową w przód i w tył, efekty akustyczne dają mi niezłego kopa, a mój łeb zachowuje się bardziej jak antena satelitarna niż jak głowa człowieka nasłuchującego samochodów.

Opisałem swój stan. Tracy nie znalazła żadnego wytłumaczenia, na które sam bym już nie wpadł: zmiana czasu, długa podróż samolotem, zmęczenie, efekt działania absyntu i innych berlińskich atrakcji. Uznałem, że to chwilowe uczucie i przestałem o nim myśleć.

Ale wrażenie nie mijało. Robiło się coraz bardziej intensywne. Następnego dnia miałem wysoką gorączkę, a powietrze w moich płucach było wilgotne i ciężkie, jakby skurczyły mi się wnętrzności. Czułem się jak kawał betonu i tak też wyglądałem.

Wszystko dlatego, że dojrzewało we mnie zapalenie płuc, które wybuchło z pełną mocą.

Tytoń, absynt i zapalenie płuc - idealne okoliczności, by powoływać na ten świat nowe życie. Niespodzianka. Cały miniony rok wypełniły mi rozmaite lęki, a okazało się, że moim pierwszym ojcowskim darem dla naszego dziecka była święta trójca toksyn.

Trzeba było jednak przykleić te zdjęcia do fotelika.

Odrobina matmy

Na pierwsze USG pojechaliśmy do Chinatown. Oczywiście przerabialiśmy to już podczas poprzedniej ciąży, więc wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Nie miało to jednak znaczenia. Znowu wypełniało mnie radosne podniecenie, że zobaczę coś, czego przecież zobaczyć nie mogłem. Jakbym się niczego nie nauczył.

Tracy szukała miejsca do parkowania, a ja odświeżałem w głowie znajomość okolicy. Poprawiało mi to samopoczucie. Zagracona i duszna przychodnia znajdowała się w pobliżu baru, do którego kilka lat wcześniej często zaglądaliśmy w piątkowe wieczory, żeby się napić, potańczyć i po-flirtować, podczas gdy parkiet zaludniali wychudzeni goście z włosami zaczesanymi do góry, w oldskulowych butach z dziurkowanymi noskami. Naprzeciwko mieściło się zatłoczone centrum

handlowe, w którym spędziliśmy kiedyś cały dzień, szukając bambusowych koszyków i azjatyckich wazonów do udekorowania stołów na naszym weselu. Tracy zaparkowała i przeszliśmy razem koło najwyższego budynku na świecie. Trzy lata wcześniej wykupiliśmy tam zezwolenie na zawarcie ślubu. Chinatown dobrze się nam kojarzyło. Miałem nadzieję, że tak samo będzie z przychodnią.

Technik usadził mnie na krześle w rogu dyskretnie oświetlonego pokoju. Jedyne, co rzucało się w oczy, to duży ekran, wyglądający jak okno z widokiem... no cóż, na kolory. Tracy położyła się na łóżku. Pielęgniarka łagodnym tonem wyjaśniła, że będzie musiała posmarować jej brzuch czymś śliskim, żeby łatwiej przesuwac po nim głowicą USG. Obraz na ekranie drgnął leciutko i uruchomił kalejdoskop w moich oczach. Nie żeby mnie to zaskoczyło. Nawet gdyby pielęgniarka zdołała przedstawić nam profesjonalny portret naszego dziecka, dla mnie nadal wyglądałoby ono jak sałatka. Wciąż jednak miałem nadzieję, że rozpoznam jakiś, jakikolwiek dziecięcy kształt.

Pielęgniarka znalazła właściwe miejsce i przystąpiła do pracy, szukając odpowiednich kątów, klikając myszką i robiąc zdjęcia. Tracy patrzyła na dziecko i poczuła coś, co można poczuć tylko na taki widok. Ja doznałem radości rykoszetem. Cieszyła mnie świadomość, że Tracy widzi dziecko za nas dwoje. Powiedziała, że wygląda to jak błysk światła. Maleńkie życie. Samo bicie serca. Taki był mój pierwszy obraz. Nie zobaczyłem wykresu, tylko te słowa w mojej głowie. Cieszyłem się razem z Tracy, cieszyłem się, że jestem ojcem, byłem dumny z całej naszej trójki i żałowałem, że nie mogę w pełni uczestniczyć w tym wydarzeniu.

Choć od prawie dziesięciu lat nie widziałem własnej twarzy, czasem wierzę podświadomie (czyli głupio), że tym razem będzie inaczej, że to jedno odbicie jakimś cudem prze-kradnie się przez mgłę. Oczywiście dziecko nie stanowiło wyjątku. Pozostało abstrakcją. Ideą opartą na opisie Tracy. Błyskiem. Ekscytowałem się przed ekranem komputera, polowałem na bicie serca, ale niczego nie zobaczyłem. Czulem moje uwięzione pragnienie, napierające na kraty, głodne wolności i bezpośredniości, jaką daje wzrok. To dziwne doświadczenie dla niewidomego. Jestem gdzieś, ale



niezmiennie towarzyszy mi uczucie, że jakaś część mnie tkwi w klatce. Nie ma dostępu do rzeczywistości. Nawet do pikselowej wersji tej rzeczywistości.

Kilka kliknięć i kilka zdjęć później usłyszeliśmy, że z dzieckiem wszystko w porządku. Fala ulgi. Na razie wszystko było na swoim miejscu i działało jak należy.

Wyszliśmy na ulicę, zalaną słońcem, przepojoną wonią warzyw i ryb. Kazałem Tracy uważać na każdy krawężnik i machałem laską za dwoje. Tracy oczywiście tego nie potrzebowała, ale chciałem to zrobić dla niej i dla dziecka. Wszystko było dobrze i właśnie dlatego wydawała mi się bardziej delikatna niż przed wejściem do przychodni.

Natychmiast zaczął się biurokratyczny przepływ medycznych informacji i wizyt lekarskich. Następną osobą, do której poszliśmy, nie był nasz lekarz rodzinny ani położnik, ale moja dawna dziewczyna z liceum, Andrea.

Andrea i ja chodziliśmy razem do jedenastej klasy oraz na kółko teatralne. Potem chodziliśmy razem już wszędzie i przez następne dwa, trzy tygodnie trzymaliśmy się za ręce w stołówce albo na ławce w nielegalnej palarni za biblioteką - tam oczywiście trzymaliśmy się za ręce wolne od papierosów. Przez te dwa, trzy tygodnie szczenięca miłość obdarzyła nas obietnicą miłosnej wieczności. O takich uczuciach śpiewał Bryan Adams. Było to cukierkowo słodkie i naiwne. Andrea opracowała nawet kilka moich wierszy i powiesiła je sobie nad łóżkiem. Poczesne miejsce zajmowało haiku Kto z was zbudował bombę? Jak już mówiłem, nasz związek przetrwał jakieś dwa tygodnie, czyli dłużej niż większość ludzi ssie cukierka albo słucha Bryana Adamsa, nie wbijając sobie w głowę noża do krojenia chleba. Kompletnie nie pamiętam, czemu zerwaliśmy ani dla kogo, a najprawdopodobniej właśnie ktoś był tego przyczyną. Pamiętam jednak wrażenie, że nastąpił koniec świata. Towarzyszyło mi, kiedy po raz ostatni wracałem z jej domu. Choć ze wszystkich nastoletnich sił starałem się ukoić mój ból, trwał on okrągły tydzień. A potem, jakby nigdy nic, Andrea i ja wróciliśmy do przyjaźni. Nastolatki potrafią iść naprzód. Pewnie za mało jest w ich życiu przeszłości, w której mogliby tkwić.

Całe szczęście, że po maturze utrzymywaliśmy kontakty - spotykając się sporadycznie - bo teraz, piętnaście lat później, moja dziewczyna z liceum miała zostać naszą położną.

Znajoma, która poleciła nam klinikę położniczą Andrei, nie wiedziała, że kiedyś byliśmy parą. Tracy i ja czasami wpadaliśmy na Andree albo jej siostry, więc jako potencjalna położna Andrea zapewniłaby nam ten kojący aspekt zażyłości. Nie wystartowałem do Tracy z tekstem: „Hej, chcesz wpaść do mojej eks na badanie przezpochwowe?”. Właściwie to Tracy zmusiła mnie do wybrania numeru i umówienia nas na wizytę.

Kiedy mówię o klinice położniczej, część z nas - zwłaszcza mężczyźni, ze mną włącznie - wyobraża sobie jakieś średniowieczne miejsce, atmosferę magii albo hipisowskiego odlotu. Słowo „położna” niewątpliwie przywołuje na myśl koty, inkwizycję albo surowe brytyjskie matrony z obsesją na tle gorącej wody i świeżych ręczników. Ślepotą uratowała mnie przed ogłupiającym wpływem błękitnej poświaty i dwuwymiarowego świata telewizji. Jednak położnicze skojarzenia nie chciały ustąpić i, jeśli mam być szczery, z całego serca popierałem ideę położnej, ale miałem bardzo mizerne pojęcie na temat jej zawodu i usług. Czy położna nie oznacza przypadkiem porodu w domu? Czy wystarczy nam ręczników i pewności siebie?

Nie wiedziałem na przykład, że położnym przyznaje się - przynajmniej tu, gdzie mieszkamy - legalny status pracownika służby zdrowia, a ich usługi są nawet objęte ubezpieczeniem. Położne mają specjalizacje i cieszą się przywilejami szpitali, mogą przepisywać niezbędne lekarstwa oraz zlecać badania i są zapewne lepiej obeznane z aktualną literaturą fachową dotyczącą ciąży i porodu niż większość lekarzy rodzinnych. Krótko mówiąc, ciąża i poród to sprawy dla położnej. Ja popierałem każdy model, który dawał Tracy nadzieję i, oby, poczucie bezpieczeństwa. Ciąża jest obwarowana tyloma medycznymi procedurami i tyle czyha na nią zagrożeń, że nasze szczęście w tym systemie zmieniało się w stan bezbronności. Wiadomo, dokąd to prowadzi. Szczęśliwy człowiek podlega prawu fizyki, mówiącemu, że każda akcja spotyka się z równoważną, przeciwną reakcją. Innymi słowy, kosmosem rządzi ironia.

Ale to nie wszystko. Dodatkowych świadczeń było znacznie więcej. Na wypadek gdyby jedna położna nie wystarczyła, Tracy miała mieć aż trzy. Prywatna drużyna medyczna, zarząd położników, pluton łapaczy dziecka. Co więcej, położne zapewniają opiekę poporodową także w domu. Wizyty domowe. Na Boga, kto w dwudziestym pierwszym wieku chodzi z wizytą domową? Położne chodzą. To wielkie szczęście dla niewidomych mężów, a przynajmniej tych, którzy postanowili nie prowadzić samochodów.

Przy pierwszej wizycie w klinice Andrei po głowie plątały mi się niejasne skojarzenia z gotykami albo czymś rodem z wiktoriańskich powieści. Gdy jednak weszliśmy, wszystkie stereotypy zniknęły. Dźwięk zabawnego dzwoneczka przy drzwiach wejściowych rozwiął też wszystkie skojarzenia „kliniczne”. Usiedliśmy na miękkiej sofie w poczekalni. W uszy nie kłuła mnie typowa tapeta muzyczna. Ściany pomalowano na ciepłe kolory, a na drugiej sofie siedziała para rodziców łaskoczących noworodka. Naprzeciwko stała spora biblioteczka, wypełniona książkami i kasetami na temat dziecka, mamy i taty. Pewnie wypożyczała je recepcjonistka, zupełnie jak bibliotekarka w czasach szkoły podstawowej, zanim jeszcze wyeliminowały ją komputery (odbierając w ten sposób całemu pokoleniu dzieci cotygodniową okazję do wymyślania dorosłych, rokokowych podpisów). To miejsce nie przypominało biura ani kliniki, lecz przytulny, uroczy butik. Kojarzyło się z gorącą zupą albo ulubionym swetrem. Miejsce dla mam, nie dla pacjentów i diagnoz.

To bardzo ważne. Może i jestem niewidomy, ale mam własną opinię na temat znaczenia wystroju wnętrz, zwłaszcza w takich szczególnych sytuacjach. Tutaj celem było zapewnienie komfortu i opieki, więc wszystkie moje zmysły badały pokój pod tym kątem, analizowały otoczenie, szukały znaków. Nic nie świadczy lepiej o alienacji placówki medycznej niż powietrze z puszki, ostre światło jarzeniówek, rozrzucone czasopisma i przenikliwa czkawka elektronicznych dźwięków. Tu tego nie było. Tutaj nas kojono i pieszczono. Fantastyczne pierwsze wrażenie. Dorównywała mu długość spotkań z Andreą i jej zespołem. Każde spotkanie trwało mniej więcej czterdzieści pięć minut. Oczywiście większość lekarzy z trudem

znalazłaby dla nas siedem. W gabinecie Andrei rozsiadaliśmy się na wygodnych sofach lub miękkich fotelach i gawędziliśmy o dzieciach, o każdym aspekcie samopoczucia Tracy i mojego oraz o każdej linijce wiersza Kto z was zbudował bombę? O czym tylko chcieliśmy.

- Może najpierw pogadajmy o tym, jak wyobrażacie sobie poród - zaczęła Andrea.

- Byłoby fajnie, gdyby był krótki - zasugerowała Tracy.

- I bezbolesny - dodałem.

Dziwnie było rozpoznać głos Andrei, omawiającej z Tracy nasze preferencje dotyczące porodu. Znów poczułem się jak w szkole, choć głos z przeszłości doradzał mojej żonie na temat naszej przyszłości. Atmosfera wcale nie okazała się niezręczna. Mój związek z Andrea miała miejsce dawno, trwał krótko i był całkowicie nastoletni. Tracy zupełnie to nie obchodziło. Kiedy jednak Andrea położyła ręce na rosnącym brzuchu Tracy, przyszło mi do głowy, że świat się kurczy.

W ciągu kilku następnych miesięcy opracowaliśmy plan dotyczący tego, gdzie i jak chcemy urodzić. Mogliśmy wybrać: szpital albo dom. Zdecydowanie szpital! Kto chciałby powiedzieć: „Uff! Dziecko urodzone, teraz zmyjmy podłogę i włączmy pralkę!”. A tak serio, gdyby coś poszło źle, oboje potrzebowaliśmy bezpieczeństwa oferowanego przez fachowców, ich wiedzy i sprzętu na podorędziu. Andrea spytała nas też, jakie badania chcielibyśmy zrobić, a jakich nie. Może USG? Ależ tak, chętnie. Nasza decyzja. A może badanie pod kątem trisomii chromosomu 21, czyli zespołu Downa? Jasne, miło, że pytasz. Środek ciężkości - kontrola - był w naszych rękach.

- Chcielibyście usłyszeć bicie serca dziecka? - spytała Andrea pod koniec pierwszego spotkania.

Pewnie sama przeprowadziłaby to badanie, ale o wszystkim mówiła tak, jakby to był nasz wybór. Może za parę miesięcy usłyszę od Tracy: „Czy zechciałbyś zgotować trochę wody?” i wstawię czajnik, jakbyśmy mieli się napić herbaty. Taka uprzejmość naprawdę mnie wzrusza.

Andrea wyjęła aparaturę do położniczego dopplera i włączyła głośniki. Tracy podciągnęła koszulę i położyła się na kanapie, żeby Andrea mogła znaleźć sygnał. Z ogromnym napięciem wsłuchiwałem się w głęboką, paraliżującą ciszę, podczas gdy Andrea szukała i szukała serca dziecka. Słyszać było tylko szum i bicie serca Tracy. Zacząłem się pocić.

Andrea zmieniła kąt. Wciąż nic. Kolejny kąt, bez skutku. Słyszałem własne serce, które biło coraz szybciej. Od takich rzeczy można dostać zawału.

W końcu znalazła. Rytm był cichy i pośpieszny. Coś małego popiskiwało między pewnymi uderzeniami serca Tracy. Andrea odszukała kąt, dzięki któremu te dźwięki słyszać było w tle. Bicie serca dziecka kojarzyło mi się ze zdjęciami zaćmienia słońca: wąski sierp, który w końcu zalewał cały kadr białym światłem. Nowe serce. Niepotrzebne mi zdjęcia, USG, doświadczenia, w których nie wezmę pełnego udziału. Tutaj miałem równe szanse, ucho było moim oknem na świat ojcostwa. Moje usta rozciągnęły się w szerokim, głupkowskim uśmiechu. Jeden nienazwany lęk miałem już z głowy. Lęk, że nie poczuję się ojcem, kiedy usłyszę pierwsze dźwięki dziecka.

Bicie serca właściwie samo mnie znalazło. Obudziło moją echolokację, stukając jak mała laska, i pozwoliło, żebym usłyszał się w roli ojca. Odrobinę. Potem Andrea wyłączyła sprzęt i dziecko, znów dalekie i ukryte, zniknęło z powrotem w Tracy. W ten właśnie sposób pojawia się w czasie ciąży ojcostwo. Pojawia się i znika. Mocno, a potem lekko. Konkretnie, a potem abstrakcyjnie.

Zanim wyszliśmy, Andrea zapytała, czy chcemy poznać płeć dziecka przy następnym badaniu USG. Czy zastanawialiśmy się już nad tym? Omawialiśmy to? Nie zrobiliśmy tego, więc przez następny tydzień łamałem sobie nad tym głowę, analizując wszelkie wyobrażalne i niewyobrażalne różnice między chłopcem i dziewczynką, oraz nad tym, co taka wiedza zmieni w naszym życiu.

Mimo że wychowałem się w pokoju pełnym braci, niepokoiła mnie wizja posiadania syna. Przypomniałem sobie zabawy i zabawki swojej młodości - deskorolki, wiatrówki, rozczłonkowane figurki He-Mana - wszystko, co moi bracia i ja poddaliśmy eksperymentalnym torturom. Ślimaki i szkła powiększające. Kamienie

i krowie placki. Duże kamienie. Jeszcze większe kamienie. Próbując wyobrazić sobie, jak wychodzę z domu i bawię się z moim synem, myślałem o grach, do których próbowaliśmy zmusić naszego ojca. Pamiętam, jak staliśmy na ulicy i rzucaliśmy między sobą piłkę bejsbolową. Co za frajda. Tata rzucał niesamowicie szybko. Jego piłki wpadały w moją rękawicę jak kule armatnie i przesywały moje ramię jak żądło. Ja też chciałem tak rzucać. Ojciec nie musiał się starać. Był siłą poruszającą młotkiem, samochodem, piłką. Rękoma, które potrafiły się podnieść do pierwszej gałęzi i pozwalały się wspinać.

Problem w tym, że wszystko to, co ojciec robił ze mną i moimi braćmi, zupełnie nie leżało w możliwościach niewidomego faceta. Zabawy znane mi z dzieciństwa odeszły wraz z moim wzrokiem. Straciłem naturalny niegdyś instynkt. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak i czym mógłbym zastąpić tamte gry. Musiałbym na nowo się uczyć zabawy.

Nie twierdzę, że wszystko, co robiliśmy w dzieciństwie, miało charakter wyłącznie wzrokowy. Jednak nasze rozrywki nie wiązały się z rozkoszami narracji. Walnij w coś. Rzuć czymś. Jedź na czymś. Zrób coś za pomocą czegoś innego. Tak się zachowują chłopcy. Jednak wskutek ślepoty moje rozrywkowe upodobania przekształciły się podobnie jak moje ciało. Teraz lubiłem słowa i opowieści. Mogłem się nimi posłużyć. Nawigować. Manipulować. Mogłem się nimi bawić. Mogłem udawać.

Niewykluczone, że dziewczynka oznacza całkiem inne możliwości. Przecież nie miałem zielonego pojęcia o dziewczynkach. Jak one się bawią? Pomyślałem o przyjęciach dla lalek. Do tego bym się nadawał. Lalki. Mógłbym wymyślać dialogi. Mógłbym chyba ubrać Barbie. Tu liczy się głównie dotyk, aczkolwiek nie jestem zbyt mocny w dobieraniu kolorów. Z córką mógłbym się bawić w dom, na tym się znałem. A co mi tam, w takiej zabawie mógłbym być niewidomym ojcem, który niby rozlewa coś w kuchni. Albo, dla dodania dramatyzmu, mógłbym niby zranić niby-syna podczas niby-rozgrywki bejsbolowej, a potem mieć niby-wypadek samochodowy w drodze do niby-szpitala, gdzie moja córka udawałaby lekarza ratującego moje niby-zapadnięte płuco.

Ale to tylko spekulacje. Kiedy byliśmy mali, moja znacznie młodsza siostra bawiła się sama. Równie dobrze mogliśmy mieszkać w innych państwach. Musiałem się dowiedzieć czegoś więcej. I dlatego pewnego wieczora, kiedy siedzieliśmy przy kuchennym stole, jedząc sushi, spytałem moją siostrę, co właściwie robiła w dzieciństwie. Jej odpowiedź była inspirująca.

- Najbardziej lubiłam się bawić w śpiączkę.

- W śpiączkę?

Nigdy nie posądzałem Erin o skłonności do makabry. Moja siostra chętnie mi wszystko wyjaśniła. Może nawet z odrobiną nostalgii.

- Taaak. Rany, śpiączka. - Westchnęła, jakby powtarzała imię zapomnianego ukochanego sprzed lat.

Na dłuższą chwilę pogrążyła się w milczeniu. Może wspominała zabawę z dzieciństwa. Albo była zajęta przeżuwaniami. A może bawiła się w śpiączkę.

- I co? Po prostu leżałaś i udawałaś, że... no, że leżysz?

- Nie. Udawałam, że jestem w śpiączce i że właśnie się z niej budzę. No wiesz, po latach.

- A co potem?

- Potem bawiłam się od nowa.

Okazało się, że moja siostra była znacznie bardziej interesująca niż którykolwiek z moich braci.

- Zbierałam też niedopałki do woreczka - dodała. - Czasami udawałam, że je palę, ale przeważnie po prostu zbierałam.

Czemu nie przyszło mi to do głowy? Pamiętam, jak gapiłem się na naszą pustą ślepa uliczkę, całkowicie pewny, że nie ma tam co robić. A przecież mogłem zebrać setki petów. Mogłem się wymieniać z Erin. Mogliśmy otworzyć sklepik, wciągnąć w to inne dzieciaki i stworzyć własny, dzielnicowy czarny rynek.

Lista zabaw Erin wydłużała się i rozrastała. Przez pewien czas moja siostra lubiła umocowywać na zębach spinacze do papieru i udawać, że to aparat korekcyjny. Regularnie pisywała do zarządu komunikacji miejskiej z prośbą o zużyte plakaty z przystanków autobusowych - jej najcenniejszą zdobyczą był wielki jak ściana arkusz

przedstawiający Burta Lancastera i Loni Anderson grających w szarady. Któregoś roku marzyła tylko o jednej zabawce - kasie sklepowej, oczywiście prawdziwej. Kasę mogliby obrabować nieznani sprawcy, podczas gdy Erin tkwiła w śpiączce. Można też było chować do niej pieniądze ze sprzedaży petów. Do szkoły moja siostra szła w najlepszym ubraniu i opowiadała nauczycielom oraz kolegom z klasy, że jest bardzo zajęta, bo dziadkowie z Irlandii zostawili swój zamek na pastwę losu i przyjechali po to tylko, żeby się z nią zobaczyć.

A tymczasem moi bracia i ja zajmowaliśmy się wyłącznie demolką.

Być może Erin nie była jak wszystkie inne dziewczynki, ale jeśli w żyłach mojej córki miała płynąć ta sama krew, to chciałem się z nią bawić. Mógłbym od razu zacząć zbierać pety z chodników. W ten sposób do porodu zgromadziłbym niezłą kolekcję.

Coraz bardziej podobała mi się perspektywa poznania płci dziecka. Niektórzy rodzice posługują się praktycznymi argumentami - wiadomo, jakie kupić ubranka i na jakie kolory pomalować pokój. Jakie wybrać imię. I tak dalej. Ale w moim przypadku zdecydowało coś innego, coś małego i treściwego.

Wyobrażając sobie zabawy chłopców i dziewczynek, chciałem posłużyć się jakiś zaimkiem. On albo ona. Nie „dziecko” albo, jeszcze gorzej, „to”. Takie słowa sprawiały, że wszystko robiło się jeszcze bardziej fikcyjne. W przypadku Tracy jej związek z dzieckiem wzmacniała fizycznie sama ciąża - na przykład zbijający z tropu fakt, że były w niej dwa serca. Ja tymczasem czułem się poza nawiasem. Jasne, wszyscy ojcowie tak mówią. Czujemy się zawieszeni w abstrakcji ciąży. Właśnie dlatego zawsze chcemy poczuć kopnięcie dziecka. Marzą się opisy i raporty.

Miałem wrażenie, że w naszym domu jest jeszcze jeden dom, ale ja patrzę na niego z zewnątrz i chcę być bliżej. O Jezu, tu nie chodzi o nic, co zafrapowałoby Freuda, ale marzyło mi się, żeby móc przytulić moje dziecko, tak jak to robią wszyscy ludzie, którzy kogoś kochają i chcą być blisko tego kogoś, obejmować go i poznawać jego kształt. Rozróżnienie między „nim” a „nią” mogło mi dać odrobinę tego ciepła. Pewność, czy chodzi o „nią” czy o „niego”, pozwoliłaby mi w pewnym



sensie przytulić moje dziecko, nadałaby mu kształt. Dzięki precyzji słowa moja wizja i historia nabrałyby ostrości, stałyby się żywsze. Bardziej rzeczywiste. Po co czekać?

Zanim zdążyłem podzielić się tymi przemyśleniami z Tracy, zadzwoniła Andrea. Od naszego ostatniego spotkania minęły dwa tygodnie. Andrea miała dla nas kolejne wyniki badań. My musieliśmy się zastanowić nad matematyką. Jest to bowiem pierwszy język nienarodzonego dziecka. Mówi o tym, co się da zmierzyć. Nienawidzę matmy.

- Wyniki testu na zespół Downa - powiedziała Andrea - są pozytywne.

Początkowy szok, nagłe uderzenie kazały mi zakwestionować znaczenie tych słów. Powiedziała: „pozytywne”. To dobrze. Pozytywny, czyli dobry, prawda?

- Pozytywny wynik - wyjaśniła - niekoniecznie oznacza, że dziecko ma zespół Downa. Takie testy często dają mylnie pozytywne wyniki. Bardzo często. Jedno wiemy na pewno. Wynik waszego testu wskazuje, że prawdopodobieństwo u waszego dziecka wynosi jeden do dwustu, a to jeszcze mieści się w normie.

Zastanowiłem się nad omawianym przez nas prawdopodobieństwem. Pół procenta. Moim zdaniem to zdecydowanie niepozytywny wynik. Dowiedzieliśmy się jednak, że stuprocentową pewność można zyskać tylko w jeden sposób: trzeba zrobić amniopunkcję, czyli badanie płynu owodniowego, czyli wkłucie się igłą do macicy. Niestety jest to metoda ryzykowna. W jednym przypadku na dwieście powoduje przedwczesny poród - prawdopodobieństwo identyczne jak przy teście na trisomie chromosomu 21. Jeżeli zespół Downa jest równie prawdopodobny jak przedwczesny poród (lub bardziej, bo dochodzi ryzyko związane z niezawodną metodą potwierdzenia stanu dziecka), wynik określa się jako pozytywny.

Czy mógłbym lepiej objaśnić ten kosmiczny rachunek różniczkowy? Chyba nie. Czuję się, jakbym przerabiał intensywny kurs księgowości prowadzony przez głównego dyrektora finansowego Enronu. To już nie była zwykła ciąża, do jakiej przyzwyczałem się w dzieciństwie i jakiej nauczyłem się bać. Jako nastolatek myślałem, że wystarczy, żeby dziewczyna piła sorbety owocowe i zagryzała środkami przeczyszczającymi, a potem kogoś pocałowała, i od razu na podłodze salonu gier pojawiał się dziecko. Raz, dwa.

- Musicie zdecydować - tłumaczyła Andrea - czy chcecie to wiedzieć na pewno i czy ryzyko jest warte tej pewności. Prawdopodobieństwo jeden do dwustu samo w sobie jest niewielkie, ale w połączeniu z innymi wskaźnikami widocznymi na USG - które równie dobrze mogą nie mieć żadnego znaczenia - powiedziałabym, że ryzyko wynosi raczej jeden do stu.

Stuprocentowy wzrost ryzyka, tak po prostu. Za moment strzeli we mnie piorun.

- Ale decyzja zależy od was - dodała nasza położna, jak to położna. - Jest jeszcze bardzo wcześnie i macie wiele możliwości.

Tracy osłupiała. Podobnie jak ja natychmiast zaczęła obliczenia, starając się ustalić, jakie mamy szanse i co należy zrobić. Z samego prawdopodobieństwa jeszcze nic nie wynikało.

- A co byś nam radziła? - spytała Tracy. - Gdyby chodziło o ciebie, to co byś zrobiła?

- To naprawdę zależy od was, musicie podjąć taką decyzję, do której będziecie przekonani. Ryzyko związane z punkcją i ryzyko wystąpienia zespołu Downa są mniej więcej równe.

Czasami dobrze jest przekazać kontrolę komuś innemu. Czasami miło jest zdać się na mądrość i doświadczenie innych ludzi i uniknąć odpowiedzialności za trudne decyzje. To była właśnie taka chwila. Poczulem naturalną potrzebę, żeby poprosić kogoś o radę.

- Ale co ty byś zrobiła? - zapytałem. - Jako Andrea, nie jako położna.

- Nie wiem. Nie jestem na waszym miejscu.

Racja. Nie stanowiliśmy typowej rodziny, jeśli coś takiego w ogóle istnieje, i Andrea miała świadomość, że trzeba będzie porozmawiać o czymś, o czym my jeszcze nie pomyśleliśmy. Tracy i ja próbowaliśmy wyobrazić sobie wychowywanie dziecka z zespołem Downa, czyli z kolejną formą niepełnosprawności pod jednym dachem. Problem zabaw z dzieckiem nie zaprzętał już mojej uwagi. Oboje bez słowa zrozumieliśmy, że nasze życie może się niewiarygodnie skomplikować. Różnica między naszymi możliwościami w roli rodziców stałaby się jeszcze większa, a na barki Tracy spadłby ciężar panowania nad trzema różnymi ciałami i ich potrzebami.

Matma to dziwna rzecz. Jednoprocentowe prawdopodobieństwo trudno sobie wyobrazić. Zastanawiając się nad naszymi możliwościami, oboje próbowaliśmy stworzyć w głowach jakiś obraz tego pojęcia. Mówiliśmy o wyjmowaniu jednej monety z kieszeni pełnej drobnych. Ta wizja nie była wcale straszna ani przytłaczająca. W tamtym okresie uczyłem cztery grupy. To tak, jakbym miał wpaść na któregoś ze swoich studentów w sklepie spożywczym, ale wcześniej zgadnąć, kto to będzie. Mowy nie ma. Nie pamiętam nawet wszystkich nazwisk. Gdyby ktoś mi powiedział, że z jednoprocentowym prawdopodobieństwem mogę nie przeżyć przejścia przez ulicę, i tak bym przez nią przeszedł. Wszystkie dobre sklepy są po drugiej stronie. Faktyczne szanse przeżycia dla kogoś poruszającego się między samochodami z białą laską są pewnie dużo mniejsze, a przecież i tak wychodzę z domu. Czym myśmy się przejmowali?

Ale z drugiej strony, gdyby ktoś powiedział: macie jednoprocentową szansę na wygranie loterii, pewnie uznalibyście się za farciarzy.

Znaczenie nie brało się z liczb, ale z obrazów, którymi obudowaliśmy te liczby. Matematyka nam nie pomogła.

W końcu zebrałem się na odwagę i zapytałem Tracy, co woli zrobić. Zdecydować się na punkcję i zaryzykować przedwczesny poród? A jeśli wynik będzie faktycznie pozytywny?

- Myślę - powiedziała - że gdybyśmy mieli dziecko, i okazałoby się, że jednak trzeba było zrobić punkcję...

Urwała, poddając swoje przekonanie ostatniej próbie. Oczyma wyobraźni zobaczyła obraz innego życia. Tego na niby.

- Nie chcę, żeby tak było - ciągnęła - ale czuję, że byłoby bardzo ciężko i że musiałabym się zajmować wszystkim tym, czym ty nie możesz, i że w końcu miałabym ci to za złe i że to zniszczyłoby nasze małżeństwo.

To wystarczyło. Moja żona zobaczyła znaczenie liczb.

Leżała na kanapie i gapiała się w telewizor. Leciał program Rock Star, więc na pewno go nie oglądała. Tommy Lee miał właśnie ogłosić, kto zostanie kolejną najbardziej rockową gwiazdą rocka.

- To byłoby nie w porządku w stosunku do nas obojga - zakończyła Tracy.

Boleśnie odczuwaliśmy prawdziwość tej całej historii. Mogliśmy powiedzieć: „Damy radę”, mogłem wyjąć gitarę i zaśpiewać All You Need Is Love. Mogliśmy wmawiać sobie, że to bez znaczenia, czy dziecko będzie miało zespół Downa czy nie, bo i tak pozostaniemy rodziną i poradzimy sobie, do jasnej cholery. Mogliśmy dorzucić tu ścieżkę dźwiękową z filmów Disneya. Ale sentymentalizm w takich sytuacjach raczej nie pomaga.

Tracy przedstawiła niesentymentalną wersję naszego życia z brutalną szczerością, bo tego właśnie wymagały liczby. Domagały się narracji. Teraz wiedzieliśmy, co i dlaczego musimy zrobić, chociaż niełatwo przyszło nam zaryzykować przedwczesny poród. Po prostu musieliśmy wiedzieć.

Wyciągnąłem się na kanapie razem z Tracy, naszym dzieckiem oraz jego szansami i słuchałem telewizji. Ogłoszono zwycięzcę. Publiczność krzyczała. Wyobraziłem sobie powiewające spódniczki mini. Mężczyzn wymachujących zaciśniętymi pięściami i piszczących jak dzieci. Kazano nam się cieszyć. Ktoś zwycięża mimo wszystko. Ktoś jest tym wybranym.

Kłucie

Przygotowaliśmy się do wizyty w szpitalu. Dziś miano przeprowadzić punkcję. Upłynęły dwa tygodnie, odkąd się dowiedzieliśmy o prawdopodobieństwie zespołu Downa. Wizyty w szpitalu stały się dla nas codziennością, jak wypadki do Castoramy. Mieliśmy już wprawę w poddawaniu się USG, a macica Tracy w czasie dwóch ciąży była fotografowana częściej niż moja twarz.

Tym razem jednak mieliśmy pod górkę. Wiązałem właśnie buty, które dostałem od Tracy na urodziny, co przypomniało mi, że moja żona i ja mamy urodziny w tym samym dniu. I urodziliśmy się w tym samym roku. Niezły zbieg okoliczności, co? Wyobraziłem sobie kalendarz, wszystkie te lata, miesiące i dni, w których każde z nas mogło się urodzić. I wtedy zespół Downa wydał mi się równie nieuchronny jak poniedziałek.

Tymczasem Tracy próbowała się uporać z lękami dotyczącymi punkcji - bólem nakłucia, długim oczekiwaniem i wszystkimi zagrożeniami. Mówi się często, że im prędzej, tym lepiej, ale raczej nie dotyczy to samego przyjścia na świat.

W pośpiechu wyszliśmy z domu i wpadliśmy na naszego sąsiada Steve'a oraz jego synka Maxa. Bawili się przy ogrodzeniu koło naszej werandy. A raczej na ogrodzeniu, a potem pod nim i tak w kółko.

Steve i Max reprezentowali nowy trend w naszej okolicy. Kiedy zaszliśmy w ciążę, przeprowadzała się tu każda młoda rodzina w mieście. A może każda nowa rodzina w naszym sąsiedztwie chowała do tej pory niemowlęta w kuchennych szafkach. Najbardziej zauważalne były oddziały szpanerskich wózków, przypominających maleńkie czołgi mieszczące równie maleńkich żołnierzy, które osaczały mnie, kiedy szedłem chodnikiem, wymachując laską w poszukiwaniu bezpiecznego przejścia. Zacząłem się zastanawiać, czy z powodu ciąży nie doświadczam po prostu tego znanego złudzenia wzrokowego, jak wtedy, kiedy człowiek kupuje jaskrawopomarańczową hondę, a już następnego dnia za jego oknem parkuje czterdzieści takich samochodów i trzeba założyć okulary przeciwsłoneczne, żeby dojść do skrzynki na listy.

Steve i jego żona Tat kupili dom w naszym szeregowcu jakieś dwa tygodnie po nas. Pamiętam, jak ich obserwowałem - no, w pewnym sensie - z okna, kiedy się wprowadzali. Chodnik wypełnił się zamazanymi konturami ludzi. Kontury te biegały tam i z powrotem po schodach, dźwigając niewyraźne kształty, które rozpoznałem jako niewyraźne kształty.

Odwróciłem się do Tracy i krzyknąłem:

- Hej, skarbie! - Użycie jej imienia oznaczałoby poważne pytanie, a może nawet bezpośrednie zagrożenie. - Chyba mamy nowych sąsiadów!

Tracy wyjrzała przez okno, ale zamiast się ucieszyć na widok ludzi i kształtów, poczuła niepokój. Kiedy się martwi, wydaje zabawny dźwięk, cichy, zrezygnowany pomruk. Brzmi to jednocześnie słodko i złowrogo. Tym razem miała powód do zmartwienia. Steve wypakowywał miecze.

Czas na nagą, uniwersalną prawdę: miecze trudno zastosować w pożyteczny sposób. Zniechęcałbym do nich swoje dziecko i każdego, kto trzymałby miecz w ręku. Inna uniwersalna prawda mówi, że od każdej reguły istnieją wyjątki. I tak na przykład Steve i Tat stanowili wyjątek od reguły miecza. Ich miecze pełniły wyłącznie funkcję dekoracyjną, być może należały do rodziny od pokoleń. Jak dotąd nigdy nie zauważyłem, żeby Steve odgrywał na podwórku sceny z Gwiezdných Wojen, polerował zbroję albo ćwiczył archaiczną odmianę angielskiego. Krótko mówiąc, nie jest on ekscentrycznym, średniowiecznym zabójcą ani początkującym samurajem. Nigdy nie rozmawialiśmy o mieczach.

Jednak niepokój Tracy wiązał się z czymś więcej. Żona Steve'a, Tat, biegała między furgonetką a nowym domem w widocznej, może ośmiomiesięcznej ciąży. Tracy na moment ujrzała swojego ducha.

Poznałem Steve'a, ponieważ firma telekomunikacyjna podpęła go do naszego numeru. Ciągłe dzwonili do niego ludzie, którzy chcieli rozmawiać z Ryanem, więc z ciekawości wybrał własny numer, a ja odebrałem telefon. W efekcie zostaliśmy przyjaciółmi. Od czasu do czasu gadaliśmy sobie przy drinku na tarasie, podczas gdy Max raczkował wokół nas, rósł, a w końcu zaczął stawać i przeprowadzać eksperymenty na naszym ogrodzeniu.

Wyszliśmy za późno i mogliśmy nie zdążyć do szpitala. Tracy otwierała samochód, a ja wsłuchałem się w odgłosy zabawy Maxa. Wyobraziłem sobie, jak pewnego dnia będzie się bawić z moim synem lub córką, aczkolwiek miałem masę zastrzeżeń wobec jego zalotów - moja córka i starszy chłopak, w dodatku z szafą pełną mieczy.

Zanim wsiadłem do samochodu, powiedziałem Steve'owi, że jego mała plama bardzo szybko się porusza, a Steve stwierdził, że ostatnimi czasy Max zrobił się niezależny i odkrył cztery nowe ulubione zajęcia: bieganie tam i z powrotem, huśtanie się na bramie (trudno mu się dziwić), wspinanie się po dwóch dolnych schodkach i stukanie kijem. Stuka kijem przy chodzeniu. Tak jak ja.

- Nie pytaj mnie czemu - powiedział Steve - ale jemu się wydaje, że tak właśnie należy chodzić.

Max mignął w wąskim tunelu resztek mojego wzroku i usłyszałem odgłosy stukania kijem. Udawał niewidomego. Sądząc po jego chichocie, śmiem twierdzić, że świetnie się bawił. Dużo lepiej niż ja.

I wtedy coś mi przyszło do głowy: a jeśli mój syn będzie potrzebował laski? A jeśli moja córka któregoś dnia podniesie z ziemi kij, tak jak jej tata, dla hecy, zabawy, z ciekawości albo podziwu? Jeśli podniesie kij i już nie będzie mogła go odłożyć? Max mógł. Upuścił kij i powrócił do wielkiej tajemnicy, jaką jest huśtanie się na bramie. Ale mojemu dzieciakowi będzie trudno to zrobić z jedną ręką zajętą trzymaniem laski.

Wiem, co sobie myślicie. Nie do wiary, ale nigdy dotąd nie rozważałem możliwości przekazania ślepoty własnemu dziecku. A nawet jeśli, to ta myśl czaiła się gdzieś z tyłu mojej głowy, co najwyżej jako przelotny niepokój. Wiedziałem, że prawdopodobieństwo odziedziczenia mojej choroby przez dziecko jest bardzo niewielkie, co miało również związek z miliardem czynników związanych z cechami genetycznymi Tracy. Bardzo niewielkie prawdopodobieństwo. A tymczasem musieliśmy się zmierzyć z tyloma zagrożeniami i problemami, że akurat temu nigdy dotąd nie poświęciłem większej uwagi. Teraz dziecko rosło i stawało się coraz bardziej realne, a ja znalazłem się na krawędzi poczucia winy. Miałem ograniczoną wiedzę na temat mojego schorzenia. Nie zdobyłem żadnego dowodu na potwierdzenie teorii zasłyszanej przed wielu laty od lekarza, który utrzymywał, że mój przypadek jest specyficzny. Spontaniczny. Prawdopodobieństwo, że moje dziecko oślepie, istniało, ale było bardzo niewielkie. Tak sędzę.

Jeszcze dziwniejsze, że Tracy nigdy mnie o to nie zapytała. Być może zakochawszy się w niewidomym facecie, pogodziła się z prawdopodobieństwem posiadania niewidomego dziecka. Jego dziecka. Naszego dziecka. Czemu nigdy o tym nie rozmawialiśmy? Trudno uwierzyć, ale tak właśnie było. Małżonkowie niewidomych to szczególna rasa ludzi. Mogłoby się wydawać, że bardziej akceptują ślepotę niż my, niewidomi.

Pozwoliłem tej myśli odpłynąć. Była zbyt bolesna, zbyt przeszywająca. Powtarzałem sobie, że ewentualna ślepota mojego dziecka w żaden sposób nie

wpływa na miłość. Nie spowoduje, że przestanę go chcieć. A może spowoduje? Może powinna?

Nie podzieliłem się tymi przemyśleniami z Tracy. Tego ranka moja żona miała wystarczająco dużo powodów do zmartwień. W szpitalu wbijają jej w brzuch grubą, pustą igłę, starając się nie trafić w dziecko. Dziecko będzie widać na monitorze i to ma stanowić wskazówkę. Ale ja nie mogłem przestać o tym myśleć. Gdybym przez kilka ostatnich lat pozwolił, żeby ten obraz - obraz dziecka z białą laską - zatrzymał się w mojej głowie, gdybym częściej go sobie wyobrażał, to czy zachowałbym się inaczej?

Pomyśleć tylko, że zanim jeszcze dziecko pojawiło się na tym świecie, osaczały je zagrożenia niesione przez miecze, laski i igły. Nic dziwnego, że noworodki wierzgają w chwili przyjścia na świat.

W drodze do szpitala nie rozmawialiśmy za dużo. Podczas gdy Tracy walczyła z ruchem ulicznym i trąbiła na innych, ja znów poczułem się bezużyteczny. Wyglądało to tak: moja żona sama prowadziła samochód, jadąc na zabieg do szpitala. Tam czekał ją ból i stres punkcji, a potem, obolała i prawdopodobnie oszołomiona, miała sama prowadzić samochód do domu. A ja?

- Włączyć radio?

- Wszystko mi jedno.

Włączyłem radio i ustawiłem odpowiednią głośność. Potem znów zapadłem w inercję.

Z roztargnieniem podrapałem się po klatce piersiowej. Poczułem pod palcami fakturę nadruku na koszulce. Nagle poczułem, że jestem nieodpowiednio ubrany. Nieodpowiednio to mało powiedziane. Moje niedbalstwo w kwestii stroju mogło ściągnąć na nas wszystkie nieszczęścia kojarzące się ze szpitalem. Jechaliśmy na badanie, które miało definitywnie ustalić, jak rozwija się nasze dziecko, toteż moja koszulka wydawała się bardzo nie na miejscu. Zdobiał ją napis: „George Bush i jego banda: jak spieprzyć świat?”. Niewidomi zapominają o swoim wyglądzie i o tym, że on coś mówi innym ludziom.



A jeśli pracownikom szpitala nie spodoba się to hasło? Jeśli losowi nie spodobają się moje poglądy polityczne? Jak należy się ubrać na pobranie płynu owodniowego? Zwykle moda obchodzi mnie mniej niż stara guma do żucia przyklejona do krzesła, ale dziś nagle dotarło do mnie, że to nie jest zwykłe badanie. Jechaliśmy ubiegać się o zdrowie naszego dziecka. Jak na rozmowę o pracę.

Dziecko zetknie się w swoim życiu z myśleniem magicznym. Kiedy nie mamy nad czymś kontroli, wymyślamy mechanizmy. Rytuały, przesady i gesty oswojające naszą bezradność, ograniczające nasz strach. Jako ojciec chciałem nauczyć swoje dziecko, żeby nie wierzyło w żadne przesady i nie skupiało się na omijaniu za wszelką cenę pękniętych płyt chodnikowych na swej drodze.

Tracy wyłączyła radio.

- Hej, mogłem to zrobić - zaprotestowałem.
- Po prostu wcisnęłam guzik.
- Ja tylko mówię.

Do szpitala przyjechaliśmy punktualnie. W środku przywitał nas powiew cierpkiego powietrza. Albo czegoś podobnego. Szpitale mają niezdrową woń. Może dlatego, że wszystkie placówki medyczne pachną jak ludzie wywróceni na lewą stronę. Trudno powiedzieć. A może chodzi o masową produkcję omletów z serem.

Najpierw pojechaliśmy na spotkanie z doradcą genetycznym. Wbrew nazwie, niekoniecznie jest to ktoś predestynowany do pomagania innym, choć czasem faktycznie tak bywa. Nasza doradczyni okazała się po prostu kolejną życzliwą profesjonalistką, która miała przeprowadzić naszą delikatną psychikę przez labirynt bardzo specyficznego rynku: par starających się przewidzieć przyszłość. Psychologia często jest w równym stopniu zainteresowana tworzeniem stanu umysłu jak jego leczeniem.

Nasza doradczyni, sympatyczna, rozczochrana kobieta, wskazała nam krzesła przy okrągłym stoliku w swoim gabinecie i wyjęła kilka długopisów oraz arkuszy papieru. Przez moment wyglądało to tak, jakbyśmy przyszli na lekcję rysunku.

- Chciałabym zacząć - powiedziała - od naszkicowania waszych historii rodzinnych. Narysujemy tu drzewo genealogiczne każdego z was.

A więc faktycznie czekały nas zajęcia plastyczne. Tyle że te konkretne drzewa miały reprezentować chronologię małżeństw, a ich owoce - rozmaite choroby i przypadłości genetyczne będące rezultatem tych związków. Szczęśliwe drzewo. Drzewo życia. Widok z najwyższych gałęzi pokazuje ludzką słabość i popapranie. A potem wypada stamtąd dziecko.

- Zobaczmy - ciągnęła kobieta. Ołówek kreślił śmiało linie na papierze. - Ryan, czy w twojej rodzinie występowały jakieś konkretne choroby?

Instynkt podpowiadał mi, żeby skłamać. Miałem w tym wprawę. W przeszłości, kiedy robiono mi badania sprawdzające stopień uszkodzenia mojego wzroku, lekarz umieścił moją głowę w urządzeniu, w którym zapalały się światełka podobne do miniaturowych fajerwerków. W dłoni miałem dżojstik i kazano mi przyciskać guzik, kiedy tylko (o ile w ogóle) zobaczę światło, nawet słabe. Nie widziałem nic. Słyszałem jednak, że urządzenie czka i stuka, więc założyłem, że błyski są poprzedzane przez te dźwięki. Nie mogłem znieść ciemności. Im dłużej tam siedziałem, tym bardziej czułem się ślepy. Dlatego oszukiwałem. Nasłuchiwałem i przyciskałem guzik, kiedy urządzenie wydało jedno ze swoich beknięć. Pragnąłem zdać ten test, choćby częściowo, choćby za cenę prawdy o moim stanie.

To samo poczułem, gdy zapytano mnie o niepokojące przypadki w historii chorób mojej rodziny. Miałem potrzebę podania wersji złagodzonej, chciałem zachować nadzieję. Doradczyni czekała z ołówkiem w dłoni.

- Nic szczególnego - powiedziałem. - No, może odrobinę. Były jakieś problemy psychiczne. Choroba dwubiegunowa. Depresja kliniczna. Nic takiego.

Doradczyni i jej ołówek odczekali jeszcze chwilę. Gapiłem się na niewyraźny kontur moich stóp, odwracałem wzrok od rodzinnego drzewa i jego owoców.

- A kogo dotyczyły te problemy? - przynagliła mnie doradczyni.

- No, wie pani, właściwie to głównie mojego brata. Mój młodszy brat Rory cierpiał na przewlekłą, ostrą

depresję i w wieku dwudziestu dwóch lat zmarł z powodu przypadkowego przedawkowania leków. Pisałem o tym kiedyś, ale teraz nie miałem ochoty wracać do

tej historii. Doszedłem do wniosku, że doradczyni powinna wiedzieć o chorobie, ale nie musi znać jej skutków.

- Ma pan jeszcze jakieś inne rodzeństwo?

- Dwójkę. Są zdrowi. Drugi brat i siostra.

Mam nadzieję, że zakładanie spinaczy do papieru na zęby nie miało u Erin klinicznego podłoża.

- A czy w rodzinie ktoś jeszcze cierpiał na chorobę dwubiegunową albo depresję?

- zapytała doradczyni.

- Raczej nie. To znaczy... moja babcia. Matka mojej mamy.

Ołówek dorysował nową gałąź i dodatkowe owoce.

- I kuzyn - dodałem. - Może dwóch.

- Też ze strony matki?

- I jeszcze wujek.

Szkicująca dłoń nabrała prędkości.

- A ze strony ojca? - spytała doradczyni.

- Mojego taty? Technicznie rzecz biorąc, on nie jest moim biologicznym ojcem.

Chociaż mógłby być.

- No dobrze. Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie o rodzinie ze strony swojego biologicznego ojca.

Mama powtórnie wyszła za mąż, kiedy miałem trzy lata. Z moim biologicznym ojcem rozwiodła się po moich narodzinach. I na tym kończyła się właściwie jego obecność w naszym życiu i moja wiedza na jego temat. Po co wywoływać niepotrzebne duchy? Mama należała do osób, które potrafią się odciąć od przeszłości, a ja to uszanowałem. Nie muszę otwierać drzwi, żeby się dowiedzieć, po co je zamknięto.

- Znam tylko jego nazwisko - powiedziałem. - Ale czasami nie jestem pewien, czy sam go nie zmyśliłem.

- Coś jeszcze?

- Nie.

Powstrzymałem się od wygłoszenia uwagi, że moim zdaniem ojciec był dupkiem. Tego nie trzeba już było dokładać do naszej puli genów.

Kiedy skończyliśmy kreślić mapę chorób psychicznych w obu rodzinach, nasze drzewo miało wiele owoców. Ich ciężar mógł przygnieść nasze dziecko, a przecież nie doszliśmy nawet do parkinsona, stwardnienia zanikowego bocznego czy...

- A pański wzrok? - spytała doradczyni. - Czy stracił go pan w wyniku choroby genetycznej?

Powróciła groźna myśl o Maksie i jego kiju.

- No cóż, tak. Mam retinopatię barwnikową. Ale nikt inny w rodzinie na nią nie chorował. W moim przypadku to spontaniczna mutacja.

Medycznego terminu „mutacja” użył nawet specjalista, który jako pierwszy zdiagnozował u mnie tę chorobę. Jestem rzadkim przypadkiem. Ryan - człowiek mutant. W głębi ducha zawsze mi się podobał ten aspekt mojej ślepoty. Bardziej czadowo jest być biologicznym dewiantem, niż na przykład pośliznąć się w wannie i walnąć w coś głową. Niż być oferumą.

Doradczyni pytała dalej w przypiływie podniecenia. Re-tinopatia to choroba genetyczna, a ona specjalizowała się w genetyce.

- Jak dużo pan wie na temat przekazywania retinopatii? Podała nam podstawowe informacje. Moja choroba jest

matrylinearna, zakodowana w chromosomie X. W przypadku kobiet jeden gen ze złą informacją może zostać wzmocniony przez inny. W ten właśnie sposób kobiety są nosicielkami choroby, chociaż nie mają żadnych jej objawów. Jednak w przypadku chłopca, który posiada tylko jeden chromosom X, prawdopodobieństwo wystąpienia choroby jest większe, czyli może się okazać, że mały Ryan dołączy do tatusia.

- Pewnie martwią się państwo, że dziecko może odziedziczyć tę chorobę - zauważyła doradczyni.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, przeprosić, że nie pomyślałem o tym wcześniej i nie wziąłem tego pod uwagę podczas planowania rodziny, Tracy udzieliła odpowiedzi za nas dwoje.

- Nie bardzo. Doradczyni osłupiała. Ja też.

- Jest pani pewna?

Tracy zwróciła się do mnie.

- Boisz się tego?

- Przepraszam, ale prawie się nad tym nie zastanawiałem. Pewnie powinienem był, ale tego nie zrobiłem. Chyba po prostu odsuwałem od siebie tę myśl.

Tracy wróciła do tematu zespołu Downa, a ponieważ w naszych rodzinach nie było takiego przypadku, doradczyni stwierdziła, że nie może określić prawdopodobieństwa jego wystąpienia jeszcze dokładniej. Przynajmniej ten owoc nie wisi na naszym objuczonym drzewie. To dobrze. Cieszyłem się, że nie widzę efektu końcowego. Ołówek się napracował. Doradczyni podsumowała:

- Zadzwoń do państwa, kiedy będziemy już mieli wyniki punkcji. To potrwa jakieś dwa tygodnie.

Zanim przeszliśmy na zabieg, musiałem jeszcze o coś ją poprosić.

- Kiedy pani zadzwoni - powiedziałem - to czy mogłaby pani od razu podać wynik, tak żebym nie musiał się niczego domyślać z tonu pani głosu? Ani ze sposobu, w jaki pani wymówi „dzień dobry” czy czegoś takiego.

- Może po prostu się przywitam i powiem, że z dzieckiem wszystko w porządku?

- Albo: „Witam, dziecko zdrowe”.

- Jasne.

- Dzięki - powiedziałem. - A jeśli... no wie pani...

- Wiem.

Obiecała, że powie nam to szybko i bez owijania w bawełnę. Jak zawodowy morderca albo zbawca.

Tracy i ja zeszliśmy na dół i korytarzami dostaliśmy się do pracowni USG. Po drodze docierały do mnie westchnienia żalu, niezrozumiałe terminy medyczne, prośby o dokumentację, dyskusje na temat operacji i „innych opcji”. Koło nas przetoczyły się wózki inwalidzkie, a kilka razy usłyszałem odgłos stojaka na kropłówkę ciągniętego po podłodze za szurającymi kapciami. Szpital to nie tylko miejsce, lecz także retoryka. Już sama obecność w nim sugeruje wyraźnie, że coś jest nie tak. Wszystko.

Pogodna młoda recepcjonistka zebrała dane Tracy, skuła ją szpitalną bransoletką identyfikacyjną i wysłała nas do poczekalni, gdzie jak sama nazwa wskazuje, mieliśmy czekać. Tracy wzięła z półki jakieś czasopismo i zaczęła je agresywnie kartkować. Robi tak tylko podczas startu samolotu albo kiedy wpadniemy w turbulencje.

Przez moment chciałem iść po kawę do barku za naszymi plecami, ale wizja popijania latte wydała mi się prawie równie niestosowna jak mój podkoszulek. Alternatywą było rozmyślanie, więc porządnie się do tego przyłożyłem. Zebrałem w głowie wszystkie szczegóły tego dnia, obraz małego dziecka z laską i zespołem Downa, szpitalną woń, miękki brzuch Tracy, magiczną igłę i szepty przechodzących lekarzy. Wszystkie te elementy utworzyły konstelację, a potem zbiły się w prostą, ale przemożną myśl, którą postanowiłem po cichu zaproponować swojej żonie w ramach konwersacji.

- Tracy? -Aha?

- Czuję się jak goryl - stwierdziłem. - Z genetycznego punktu widzenia chyba wyszłaś za goryla.

- Goryla?

- No tak. Przepraszam.

Tracy nadal przerzucała kartki pełne - jak sądzę -zdjęć uśmiechniętych, komputerowo udoskonalonych kobiet o sylwetkach patyczaków.

- No a ja jestem poduszką na igły. - W jej głosie brzmiało znużenie i rezygnacja. Tak właśnie mogłaby przemawiać poduszka na igły. Goryl wydał z siebie pomruk zrozumienia.

- Słuchaj - powiedziałem - naprawdę nie martwisz się o retinopatię u dziecka?

- Jasne, że tego bym nie chciała. Ale kiedy doradczyni mnie o to spytała, odebrałam to tak, jakby sugerowała, że się martwię, czy dziecko będzie normalne, czy takie jak ty.

- Myślałem, że tylko mnie się tak wydaje.

- Poza tym jestem już przyzwyczajona do ślepoty, przecież wiesz. W naszym domu to coś tak normalnego jak powietrze.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Teraz już tylko czekaliśmy. Mieliśmy też czekać po badaniu. Znaleźliśmy się wśród ludzi, którzy szydełkowali, rozwiązywali krzyżówki i popijali kawę na sąsiednich krzesłach. Staliśmy się oczekującymi.

Kiedy przyszła nasza kolej, pogodna urzędniczka zaprowadziła nas do małego pokoju, gdzie objaśniano całą procedurę. Przywitała nas pielęgniarka mówiąca z doskonałym francuskim akcentem. To był pierwszy optymistyczny dźwięk tego dnia. Poczulem przyływ nadziei. Ktoś, kto mówi z francuskim akcentem, może przekazywać tylko dobre wiadomości. Paryż jest naszym ulubionym miastem. Pyszne jedzenie, mężczyźni w apaszkach, wino do lunchu. Miasto bon vivantów i egzystencjalnych kryzysów.

Pielęgniarka, pani Dobrej Nowiny, wypełniła z nami formularze, podkreśliła najważniejsze fakty i informacje, a potem pokazała, gdzie się mamy podpisać. Przy każdej rubryce Tracy brała mnie za rękę i ustawiała długopis we właściwym miejscu, a ja uwalniałem swój podpis. Ostatnio robiliśmy tak przy zakupie mieszkania.

- Muszę poinformować państwa o ryzyku związanym z punkcją - powiedziała pielęgniarka. - Jest ono bardzo, bardzo niewielkie. W jednym przypadku na sto może dojść do przedwczesnego porodu.

Uśmiechnęła się. Tak to przynajmniej zabrzmiało, jakby negowała własne słowa.

- Ale, jak już mówiłam, ryzyko jest bardzo, bardzo małe. Bardzo. Równie mała jest trauma, jaką u dziecka wywoła kontakt z igłą. Bardzo mała. Musicie o tym pamiętać, zanim zacznie się zabieg.

Wcale nie podniosło mnie to na duchu. Chyba żaden rodzic nie chce słyszeć o jakimkolwiek ryzyku, nie chce wiedzieć, że świadomie naraża swoje dziecko. A przecież rodzice ciągle to robią. Chodnik jest zagrożeniem. Pamiętam, jak w wieku siedmiu lat przeleciałem nad kierownicą roweru i wylądowałem twarzą na ulicy. Kolacja jest zagrożeniem. Kiedyś zakrztusiłem się hot dogiem. Ojciec złapał mnie za stopy, podniósł do góry nogami niczym rekordową rybę i walnął kilka razy w plecy, aż wreszcie wyplułem kawałek kiełbaski.

W pomieszczeniu, w którym wykonywano zabieg, przywitała nas doktor Tessier i dwie asystujące jej pielęgniarki. Zapewniły Tracy, że zabieg będzie krótki i że dla

wielu kobiet nie jest on bardziej bolesny niż uszczyknięcie. Tracy podała swój płaszcz jednej z pielęgniarek i rzuciła torebkę na podłogę koło mojego krzesła. Ja usiadłem przed czymś, co wziąłem za ekran, ale przekonałem się, że to tylko ściana.

Tracy się położyła. Posmarowano jej brzuch żelem. Kiedy na monitorze ukazał się obraz, lekarka i pielęgniarki zaczęły dyskutować.

- Dziecko jest dosyć wysoko - powiedziała lekarka - więc nie możemy się do niego zbliżyć pod najlepszym kątem.

Mówiła takim tonem, jakby zakładała, że ja i Tracy wiemy, jaki kąt jest najlepszy. Czemu był najlepszy? Po chwili zrozumiałem, że lekarka nie zwraca się do nas.

- Można podejść od prawej strony - zasugerował technik.

- Nie - stwierdziła lekarka. - Lepiej od dołu.

- Łóżysko zasłania częściowo widok, więc tak chyba będzie najlepiej. Tędy.

Cała ta rozmowa o kątach i miejscach nie dała mi kompletnie żadnego wyobrażenia o tym, co się dzieje. Dyskusja personelu medycznego brzmiała jak narada drużyny curlingowej, wybierającej najlepszy tor dla następnego kamienia.

Przez cały ten czas nasze dziecko było widać na monitorze. W mojej głowie jawiło się jako wyobrażenie kolorów, rosnące powoli w ciemności. Chciałem je ostrzec przed igłą, chciałem mu opowiedzieć o mieczach, laskach i dobrych ludziach.

W końcu lekarka zdecydowała:

- Wbijemy igłę tuż pod pani pępkiem. Igła przebije powłoki brzuszne, więc poczuje pani lekki ucisk. Dobrze, zaczynamy. Tutaj. Teraz naciskam...

Całe moje ciało pulsowało pod wpływem adrenaliny i współczucia. Musiałem coś zrobić, pomóc jakoś Tracy, żeby wiedziała, że nie jest sama, choć w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa - była. Posłałem więc konsekwencje do diabła i postanowiłem odzyskać kontrolę nad naszym życiem i naszą nadzieją.

Podniosłem torebkę z podłogi i usiadłem z powrotem na krzesło.

- Proszę się nie ruszać - powiedziała lekarka do Tracy.

Położyłem torebkę na kolanach. Człowiek czynu. Ochroniłem własność mojej żony przed tymi... życzliwymi zawodowcami.



- I już - oznajmiła lekarka. - Skończyliśmy. Już po wszystkim. Teraz proszę odpoczywać przez resztę dnia i unikać stresu, dobrze?

Założę się, że Tracy pomyślała sobie coś w stylu: „Na przykład kolejnej punkcji?”.

Przez dwa tygodnie musieliśmy jakoś zabić czas. Prawie nas to wykończyło. Na każdy dźwięk telefonu dostawałem zawału. Potem nadszedł trzeci tydzień, a my zaczęliśmy sobie wyobrażać przyczyny opóźnienia. Nie przychodziło nam do głowy nic oczywistego - długa kolejka testów bądź letnie braki kadrowe w laboratorium. Dla nas trzeci tydzień oznaczał, że wyniki są złe i że lekarze sprawdzają je dla pewności, a potem pozwolą naszej doradczynie genetycznej wykazać się w dziedzinie komunikowania złych wieści prosto z mostu.

Telefon zadzwonił głębokim popołudniem. Jeśli to oni, to czemu dzwonią tak późno? Odkładali tę rozmowę? Doradczynie ćwiczyła swój występ? Miałem nadzieję, że to nie ona. Wybrała sobie fatalny moment.

- Chciałabym rozmawiać z... to pan? - spytała, kiedy podniosłem słuchawkę.

Jej głos zdecydowanie wróżył złe wieści. -Tak.

- Z dzieckiem wszystko w porządku. Przekazałem wiadomość Tracy, która stała koło mnie

w kuchni.

- Dziękuję - powiedziałem. - Dobrze to pani ujęła. Dziękuję.

- No cóż, mam wprawę - stwierdziła doradczynie. -A czy chcą państwo teraz poznać płeć dziecka? Mam już informację na ten temat, jeśli to państwa interesuje.

Chcieliśmy wiedzieć. Postanowiliśmy, że to będzie prezent dla nas, jeśli okaże się, że dziecko jest zdrowe, że wszystko gra.

- Mała ma się świetnie - powiedziała doradczynie.

Niewypowiadalne

W brzuchu Tracy rosło dziecko, a we mnie - oszałamiająca opiekuńczość i paranoja. Stałem się dotkliwie świadom nieustannego zagrożenia taką czy inną katastrofą. Mój umysł karmił się też paskudną pogodą.

Jakiś Australijczyk powiedział mi kiedyś, że mieszkańcy Vancouver mówią jak brytyjscy surferzy. Może to porównanie nie opisuje dobrze naszego akcentu, ale na pewno jest odpowiednie dla naszej pogody - deszczowych, chłodnych dni, w sam raz dla plażowiczów w pelerynach. Jednak czasami deszcz zamarza i pokrywa całe miasto lodową skorupą. Tak się stało w dniu pierwszych zajęć w szkole rodzenia.

Byłem nieco skołowany. Zakładałem, że znajdziemy się w sali gimnastycznej wyłożonej matami, na których przez cały dzień będziemy oddychać i oglądać filmy o lekach oraz gorących ręcznikach. Jak to w szkole rodzenia.

Tymczasem Tracy (w siódmym miesiącu ciąży) i ja zabraliśmy poduszki oraz drugie śniadanie do domu naszej instruktorki. Nie pamiętam, czy w broszurze wspomniano coś o zajęciach w jej piwnicy, ale tam właśnie się to odbyło. Lepsze to niż jakaś przemysłowa szkoła rodzenia, o ile w ogóle istnieje coś w tym stylu. Jeśli nie, to już wkrótce na pewno pojawi się w supermarketach.

Zaparkowaliśmy. Tracy o mało nie wywinęła orła na lodzie przy wysiadaniu z auta. Zagrożenie wzrosło, kiedy do-ślizgaliśmy się do bagażnika i wyjęliśmy z niego poduszki - nasze amulety, jak zacząłem je nazywać. Czy byliśmy zdenerwowani? Ja tak, a ponieważ brzuch Tracy sprawiał jej kłopot z utrzymywaniem równowagi, uparłem się, że będę ją podtrzymywał za łokieć i dbał o jej bezpieczeństwo przy chodzeniu. Dżentelmen i naukowiec. Oraz, jakkolwiek by na to patrzeć, niewidomy facet prowadzący swoją ciężarną żonę przez lody Arktyki.

I jak tam nerwy?

Tracy czuła się podobnie.

Mój spazmatyczny uścisk zdawał egzamin, dopóki nie ujechały spode mnie stopy. Miotnęło mną przez ulicę, jakbym tańczył pogo. Szarpnąłem Tracy i, tak, prawie pociągnąłem ją twarzą prosto na asfalt.

W końcu to ona podniosła nas na nogi. Może nasze dziecko pozwoliło jej zrównoważyć skutki mojej, za przeproszeniem, pomocy.

Rzecz w tym, że była to moja pierwsza lekcja w szkole rodzenia: nie pomagaj, jeśli nie masz pewności, że pomagasz naprawdę. Zapisalem to sobie w pamięci i szedłem dalej.

- Ty pierwsza - uparłem się, kiedy dotarliśmy do schodów.

Schody były strome i stare, beton rozpadał się pod stopami, prowadząc nas z chodnika przez podwórko aż do koślawego domu, spuchniętego od nienarodzonych dzieci. Tracy postawiła stopę na dolnym stopniu i zaczęła wspinaczkę.

- Ty pierwsza - powtórzyłem bez żadnego konkretnego powodu.

- Przecież idę. Daj mi tylko chwilę. Rany.

- Nie śpiesz się, ja pójdę za tobą - dodałem niepotrzebnie.

Tracy pięła się powoli w górę, a ja potajemnie zabezpieczałem ją od tyłu za pomocą poduszki. Całe szczęście, że na dole nie było żadnych poturbowanych ciężarnych ciał.

Kiedy instruktorka otworzyła drzwi, powitał nas dźwiękowy motyw przewodni dnia. Odgłosy nie dochodziły z jej zamglonego telewizora, to było coś innego. Skowyt? Przenikliwe piski udręczonych dzieci? Małeńkie matki błagające o znieczulenie?

- Ach! - Instruktorka zachichotała jowialnie. - Nie zwracajcie uwagi na te hałasy. Hoduję miniaturowe pieski. Mam właśnie nowy miot. Wejdźcie i zdejmijcie buty.

Była położną dla wszystkich gatunków stworzeń. Później, siedząc okrakiem na piłce do ćwiczeń i pokazując nam, jak się na niej kołysać, zaczęła zawodzić gardłowo - no wiecie, żeby nas postraszyć perspektywą porodowego wycia - a jej szczeniaki natychmiast do niej dołączyły. Rodzenie przy akompaniamencie r'n'b i psiego skomlenia.

Inne pary zebrały się już w pokoju do zabaw, jakby w oczekiwaniu na imprezę piżamową. Tracy wprowadziła mnie do środka, między stopy i przyciszone głosy. Usiedliśmy na podłodze, bo z pokoju usunięto wszystkie dziesięć krzeseł. Kiedy klapnąłem na dywan, do rąk przykleiły mi się kłaczki psiej sierści. A może to nie był dywan, tylko duża włosienica. Kilka osób rozmawiało zmartwionym tonem na temat śniegu za oknem. Usłyszałem mężczyzn autorytatywnie mówiących o soli. Oraz urywki kilku innych konwersacji.

- Czytałam, że w niektórych kulturach - powiedziała jakaś kobieta - po porodzie zjada się łożysko. Ciekawe, prawda?

- Naprawdę? - usłyszałem inny głos. - Pewnie w tych rejonach świata, gdzie brakuje żywności. Boże, ja bym tak chyba nie mogła, choćby nie wiem co.

Ugryzłem się w język, żeby nie spytać: „Przepraszam, ale skoro nie je pani swojego łóżyska, to czy ja mogę je zjeść?”.

- Poza tym - ciągnęła położowa fetyszystka - niektórzy ludzie uważają, że łóżysko jest bliźniakiem dziecka, więc nie odczepiają go, dopóki dziecko samo nie zdecyduje, że czas się pożegnać.

- To piękne - stwierdziła trzecia kobieta. - Piękne, prawda?

Musiała mieć wyjątkowe zadatki na dekoratorkę wewnątrz. Łóżysko jako towarzystwo? Próbowałem to sobie wyobrazić z punktu widzenia logistyki. Czy ktoś robi sweterki z kieszenią na łóżysko? Może będę musiał targać łóżysko w nosidełku dla dziecka, dopóki, bo ja wiem, dopóki nasza córka nie powie: „Ej, moglibyście to ze mnie zdjąć? Strasznie cuchnie!”.

- A ja czytałem - odezwał się jakiś facet - że niektórzy ludzie zakopują łóżysko pod drzewem. Chodzi o kontynuację cyklu życiowego. Ta idea nam się podoba.

Instruktorka zajmowała się ustawianiem filmu i przeglądaniem notatek, ale wtrąciła się do rozmowy.

- W zeszłym tygodniu miałam klientkę, która zrobiła coś takiego. To był cudowny poród domowy. Jej partner przez cały czas grał na gitarze. Bardzo nam to pomogło, zanim pojawiło się dziecko.

Poczułem się nieprzygotowany. A może niewystarczająco obeznany z rytuałami. Założyłem, że będziemy tu zdobywać wiedzę techniczną. Fakty naukowe. Tony informacji. Na temat wykresów i procedur szpitalnych. Rodzajów znieczulenia. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że współczesny poród może być tak dostosowany do indywidualnych potrzeb i spektakularny. Inni w naszej grupie spisali już całe scenariusze wydarzeń, włącznie z podkładem muzycznym i doborem zapachów rozpylanych w szpitalu, żeby zapewnić dziecku przyjemne pierwsze doznania. A potem pojawiła się kwestia swetrów z kieszenią na łóżysko.

- Trochę mi głupio. Myślisz, że my też powinniśmy zrobić coś takiego? - szepnąłem do Tracy. - Coś... coś... czadowego.

- Co na przykład?
- Bo ja wiem. Mógłbym, powiedzmy...
- Nie będziesz grać na gitarze.
- A nie chcesz wybrać muzyki albo czegoś takiego?
- Nie będziesz grać na gitarze.
- Mógłbym przynieść odtwarzacz.
- Nie chcę żadnego wydziwiania - stwierdziła Tracy. Zawsze cechowała ją

elegancka prostota. Teraz Tracy

zdjęła mi z pleców trochę psiej sierści.

- Jak sobie życzysz - zgodziłem się. - Bez wydziwiania. Bardzo dobrze. To znaczy, gdyby było trzeba, poćwiczyłbym trochę. Ale będę zajęty czym innym.

Sam nie bardzo wiedziałem czym. Miałem nadzieję, że pod koniec dnia rozjaśni mi się w głowie.

Instruktorka dała nam znać, że jest gotowa. Byliśmy ciekawi, jak zacznie zajęcia. Słyszeliśmy różne historie na ten temat. Znajomi opowiadali nam, że w ich szkole rodzenia zaczęło się od ciężkiego ostrzału informacjami. Instruktorka pokazała im najpierw kawałek filmu Przyczajony tygrys, ukryty smok, a konkretnie scenę, w której bohaterka chwytając karabin maszynowy i wygarnia całą serię do facetów w barze.

- Właśnie tak czuje się kobieta w czasie porodu - podkreśliła instruktorka naszych znajomych.

Trudno o prostszą i stosowniejszą lekcję na południu Stanów Zjednoczonych. Podczas pakowania torby do szpitala nie zabierajcie rodzinnego M-16 razem z fotelikiem samochodowym i bułeczkami proteinowymi.

Jednak my zaczęliśmy inaczej.

Może to efekt uboczny mojej ślepoty, ale kolekcjonuję powiedzenia, których na bank nigdy już nie usłyszę, podobnie jak widzący zbierają zdjęcia oryginalnych widoków. Jak dotąd, moim ulubionym zwrotem - a wierście mi, ciąża obfituje w niesłyszane dotąd określenia - jest pierwsze pytanie, które zadała mi instruktorka w szkole rodzenia.

- Jaka jest pańska grubość? - zagadnęła.

I tak to się zaczęło. Stałem w szeregu energicznych mężczyzn, którzy wraz ze swoimi żonami i dziewczynami czekali teraz na moją odpowiedź. Nikt mnie nie wyręczył. Oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, co powinienem powiedzieć, więc zmierzyłem swoją grubość, szczypiąc się palcem wskazującym i kciukiem.

- No, będzie z półtora centymetra.

- Świetnie! - zaćwierkała instruktorka. Najwyraźniej podobało jej się moje pomysłowe praktyczne podejście.

- A jak duży jest pana otwór?

Kolejny prezent - dwa zwroty do kolekcji i to przed południem. Istny róg obfitości.

Wsadziłem palec w swój otwór.

- Chyba niecały centymetr.

Rola, którą kazano mi odgrywać na zajęciach w szkole rodzenia, wymagała czegoś więcej niż metoda aktorska Stanisławskiego. Nie mogłem sięgnąć do pamięci emocjonalnej - byłem szyjką macicy.

Wygląda na to, że metoda dramy całkowicie zdominowała branżę szkoleniową. Nie sposób przejść przez park i nie wpaść na spadających z drzew dyrektorów firm - nie ma to jak warsztaty psychologiczne w miejscach publicznych. Nie da się usiąść wygodnie na kanapie bez terapeuty odgrywającego twoją toksyczną matkę. Aż dziw, że ludziom starcza czasu na naturalne zachowanie.

Ta metodyka jest wszechobecna, więc na długo przed zajęciami wiedziałem, że prędzej czy później przyszli ojcowie i partnerzy porodowi będą musieli się wykazać zaangażowaniem. Minęły już czasy biernego pozyskiwania bezpośrednich, suchych informacji oraz, na szczęście, czasy, kiedy przyszli ojcowie nie musieli robić nic poza przyniesieniem cygar na porodówkę.

Problem w tym, że teraz nie wiemy, co mamy robić.

W przeciwieństwie do prawdziwych szyjek macicy, nie byłem jednak osamotniony. Pięciu pozostałych mężczyzn w mojej grupie odgrywało tę samą rolę.

Staliśmy ramię w ramię i każdy z nas przedstawiał inną fazę porodu. Galeria szyjek macicy.

Instruktorzka zwróciła się teraz do reszty grupy i wyjaśniła, że przedstawiam wczesne stadium rozciągania i skracania się szyjki. Dużo czasu musi upłynąć, zanim stanę się wystarczająco elastyczny, żeby dziecko mogło przeze mnie przejść. Mały plastikowy donut\* w mojej dłoni - mający jeszcze lepiej zilustrować stopień rozwarcia - był ciężki, gładki i sprężysty, zupełnie jak kostka, którą z upodobaniem gryzł nasz mops, Kair.

Niestety, sztuce w naszym wykonaniu brakowało tempa i dramatyzmu. Stojąca koło mnie szyjka miała pytanie. Gość zadał je już dwa razy.

- To co, teraz trzeba już jechać do szpitala czy nie? -zapytał. - No bo wie pani, po prostu chciałbym wiedzieć dokładnie, kiedy mam wyruszyć.

Nie znałem jego imienia, ale Tracy opisała mi po cichu kilku członków grupy, kiedy siedzieliśmy na psiej sierści i czekaliśmy, aż nasza instruktorka zacznie zajęcia albo skończy przyjmować psi poród. O tym facecie wiedziałem jedno: miał na sobie koszulkę z dużym napisem: „Kanada - zimno jak ch\*j!”. Z jego pytania o czas wyjazdu przebijało podobnie praktyczne podejście, a może nawet podobny niepokój.

- Proszę się odprężyć. Osoby towarzyszące przy porodzie zawsze chcą wiedzieć, kiedy trzeba jechać do szpitala - powiedziała instruktorka.

\* Donut - pączek w kształcie obwarzanka (przyp. red.).

- No jasne - poświadczył pan Zimno Jak Ch\*j. Kilku mężczyzn mruknięciem wyraziło swoje poparcie.

Wyobraziłem sobie, że siedzą tam pewnie z przyborami do notowania w pogotowiu, aż paląc się do zapisania szpitalnej godziny zero.

- Proszę mi wierzyć - powiedziała instruktorka - pańska żona będzie wiedziała, kiedy chce jechać. Na pewno będzie wiedziała.

Kilka kobiet zachichotało porozumiewawczo. My, mężczyźni, nie.

- I co, to by było mniej więcej teraz? - spytał pan Zimno Jak Ch\*j. - Tak w przybliżeniu?

- Proszę tylko zobaczyć, jak nieznacznie otwarty jest Ryan - odparła instruktorka, a w jej głosie pobrzmiwało lekkie zniecierpliwienie. - Nie ma pośpiechu. Jeszcze dużo czasu upłynie, zanim jego dziecko będzie mogło tamtędy przejść.

Podniosłem swój otwór, bo przypomniało mi się, że jestem pomocą multimedialną i powinienem się odpowiednio zachowywać, czyli pokazywać wszystkim dokoła, tak jak nauczyciele pokazują w szkole książki z obrazkami. Tracy i ja byliśmy w siódmym miesiącu ciąży. W imię edukacji i dla dobra naszej nienarodzonej córki postanowiłem być najlepszą szyjką macicy na całym cholernym świecie.

Aczkolwiek łatwo mi nie było. Tracy i ja nie przepadamy za takimi interaktywnymi zabawami. Łykamy relanium, kiedy aktorzy próbują nawiązać bezpośredni kontakt z widownią. Jednak w obliczu porodu Natura wymaga, żebyśmy stanęli na wysokości zadania. Każdemu partnerowi stojącemu obok ciężarnej ukochanej zajęcia w szkole rodzenia wyznaczają moment przejścia do beczki śmiechu, jaką jest nowa tożsamość. Tu możemy przyznać, że nie czujemy się pewnie w naszej tymczasowej roli, która zaczyna się razem ze skurczami i kończy w momencie, kiedy płacimy za szpitalny parking. W międzyczasie nie mamy pojęcia, co robić ani czego się od nas oczekuje, a co najważniejsze, wszystkie te uczucia motywują nas do al-truistycznego wymyślania kilku własnych, irracjonalnych oczekiwań.

Język ciąży powiedział mi co następuje: w siódmym miesiącu powinienem był już zrozumieć, że w konfrontacji z rosnącym brzuchem Tracy i nękającymi ją dolegliwościami należało się pożegnać z fantazją na temat wspólnego bycia w ciąży. To w ogóle jest dosyć niebezpieczne podejście. Teraz po prostu krążyłem wokół jak po orbicie, gotów zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby przyłożyć się do czegoś, co już wkrótce miało się stać spektaklem jednej aktorki, i pomóc jej pozbyć się poczucia osamotnienia. Pozostała piątka mężczyzn wiedziała to samo i wszyscy w równym stopniu martwiliśmy się, czy zdołamy sprostać wymaganiom naszych kobiet, dotyczącym nieograniczonego wsparcia i oddania.



Jeśli jednak wydawało mi się, że odgrywanie szyjki macicy jest trudne, to zadanie po przerwie na przekąski okazało się jeszcze trudniejsze. Prawie niewykonalne.

Utworzyliśmy „krąg zwierzeń”.

Najpierw trzeba było usiąść w kręgu i opowiedzieć, co nas odpręża. Zaskoczyło mnie, że Tracy nie zaczęła z miejsca rodzić, żeby tylko uniknąć takich wyznań, bo ja zrobiłbym to na jej miejscu. Z drugiej strony, umówmy się, dyskusja o kojącym wpływie zagadek kryminalnych to lepsze wprowadzenie do porodu niż na przykład pięciu facetów odgrywających szyjki macicy.

Następnym tematem były najgorsze obawy mężów. Zaczął pan Zimno jak Ch\*j.

- Boję się szpitali - powiedział natychmiast. - Nic mi nie będzie, zanim tam przyjedziemy i kiedy już wyjdziemy.

Jego żona westchnęła.

Gość nawijał dalej, jego żona czuła się coraz bardziej osamotniona, a dla wszystkich stało się jasne, że to cholernie podchwytliwe pytanie. Mężczyzn ostrzeżono już, że najważniejsze są ich partnerki, a nie oni sami. Co do tego nie było wątpliwości. W sumie nie mieliśmy na co narzekać. I dlatego najlepsze, co mogliśmy zrobić, to przyznać się szczerze do lęku, który wspierałby najlepiej nasze partnerki. To tak, jakby napisać w podaniu o pracę, że naszą największą wadą jest perfekcjonizm i skłonność do pracy w nadgodzinach.

- A czego pan się najbardziej obawia? - spytała instruktorka, zwracając się do kolejnego faceta.

Ten zwlekał przez chwilę, a potem odpowiedział pytaniem, jakby dla sprawdzenia efektu. Chyba był inżynierem.

- Boję się bólu? - zapytał.

Widownia słuchała. Nikt mu nie przerwał, więc koleś mówił dalej.

- Myślę, że boję się bólu, który poczuje moja żona? Widownia zamruczała ciepło z aprobatą. Facet nabrał pewności siebie.

- Tak, boję się, że będzie ją bolało i nie chcę patrzeć na jej cierpienie - zakończył.

Jeszcze moment, a parę osób zaczęłoby klaskać. W ramach idealnego zamknięcia swojego popisowego numeru gość dodał jeszcze:

- Ale czegokolwiek by potrzebowała, będę przy niej. Facet był złotym medalistą z anielskimi skrzydłami.

- I nie chodzi tu o mnie - dorzucił.

Pan Zimno Jak Ch\*j zaczął się wiercić. Jego żona ponownie westchnęła.

- To jak najbardziej normalne odczucia - zapewniła uspokajająco instruktorka. - Był pan bardzo szczery. Świetnie.

Wyczuwałem jednak, że w pozostałych mężczyznach aż buzowała odmienna opinia. Facet gwizdnął nam sprzed nosa właściwą odpowiedź, jedynie słuszną, idealną odpowiedź. Teraz odpowiedź przestała być właściwa i idealna. Została już wykorzystana.

Oczywiście nikt nie kwestionował jego szczerości. Gość faktycznie bał się o partnerkę, podobnie jak my wszyscy. Jednak zebrani w jednym pomieszczeniu mężczyźni są genetycznie niezdolni do interakcji pozbawionej elementu rywalizacji. Nawet jeśli chodzi o całkowitą szczerość, zaczynamy z sobą konkurować.

Nad nami rozległ się stłumiony, ale przenikliwy skowyt. Wszyscy zamarli i, jak sobie wyobrażam, podnieśli oczy na sufit.

- Ach, to szczeniaki - zachwyciła się instruktorka. - Od kilku dni często się gryzą.  
- Odwróciła się do następnej pary. - A pan czego się boi?

Facet koło mnie poruszył się w miejscu i mruknął coś pod nosem, szukając królika w kapeluszu.

- Szczerze mówiąc, boję się o dziecko. To znaczy...

Gość zamilkł i zamyślił się, a my zamarliśmy w napięciu. A może po prostu badał naszą reakcję i sprawdzał, czy nie powiedział czegoś niewłaściwego.

- Tak, boję się - ciągnął z determinacją - boję się i nie mam tu na myśli niczego złego, ale tak zupełnie szczerze boję się, że dziecko będzie... no, że może być brzydkie.

Był dumny ze swojego odkrycia. Chyba jednak zapomniał, że czasami naga prawda niebezpiecznie zbliża nas do fatalnej odpowiedzi.

- Zastanawiam się po prostu, czy rodzic może w ogóle zauważyć, że jego dziecko jest jakieś lewe. Wiecie, o co mi chodzi? Co, jeśli dziecko nie jest tak piękne, jak chcieliśmy? - zakończył swój wywód.

W pokoju zapanowała martwa cisza. Potem instruktorka przypomniała sobie o swojej roli i wymamrotała coś krzepiącego na zachętę, tak jak robią to nauczyciele, nawet gdy budzi się w nich tęsknota za karami cielesnymi.

- Świetnie. To było szczere. Bardzo szczere. Uznałem to za urocze. Pan Brzydkie Dziecko mówił z taką

niewinnością i otwartością, z jaką pewnego dnia chciałbym dostać od mojej córeczki bukiet mleczy i worek psich kupek. Jej własną kolekcję cudów. Bo kto powie, że to nie cuda?

Pan Brzydkie Dziecko już wkrótce dostał po głowie. Podczas prezentacji własnych lęków instruktorka posłużyła się nim jak floretem. Najpierw uniosła w dłoni jakąś butelkę i pokazała ją wszystkim zebranym (poza mną).

- Pokażę wam jeden ze swoich lęków. Co to jest? - zapytała pana Brzydkie Dziecko.

Ten zdobył się na odwagę.

- Oliwka do ciała?

- Zła odpowiedź! - krzyknęła instruktorka.

- Mnie to wygląda na oliwkę - stwierdził pan Zimno Jak Ch\*j.

Może chciał, żeby go ktoś zabił.

- Nie! Ta oliwka, proszę państwa, to śmieć! Toksyczny śmieć! - oświadczyła instruktorka. - Co powinniśmy z tym zrobić?

- No... posmarować dziecko? - podrzucił pan Zimno Jak Ch\*j.

Instruktorka celnym rzutem umieściła butelkę w ustawionym nieopodal koszu na śmieci.

- Tam jest miejsce tego syfu!

W pokoju ponownie zapanowała martwa cisza. Tylko psy nadal się gryzły piętro wyżej.

Instruktorka się uspokoiła i wyjaśniła nam swój popis.

- Oto czego się boję: wasze dzieci zobaczą, jak pijecie wodę z butelek. Co waszym zdaniem zrobią na widok takiej butelki? Pomyślą sobie: o, jak miło, woda. A potem zdejną zakrętkę i...

Tracy nie musiała mi niczego tłumaczyć. Instruktorka odegrała dziecko pijące coś z butelki. Identycznym gestem sugeruje się, że ktoś jest pijakiem. Może dziecko ze skłonnością do oliwki to porównywalne zjawisko.

Dowiedzieliśmy się, że w domu naszej instruktorki panuje pewna zasada: jeśli nie można czegoś wlać do ust i połknąć, to nie należy tego również stosować na skórze. Nie wiem, jak to się ma do mydła. Ani do swetrów i koszulek.

Staralem się, jak mogłem, ale nie udało mi się uniknąć zwierzeń w kręgu. W końcu zapytano mnie o mój najgorszy lęk. Przyłożyłem się, choć muszę przyznać, że odpowiedź pojawiła się w mojej głowie niemal zbyt łatwo.

- Boję się, że moja ślepota okaże się przeszkodą, w momencie kiedy Tracy będzie mnie najbardziej potrzebowała.

Otoczyły mnie przyjazne głosy i słowa wsparcia. Swoim wyznaniem wywarłem autentyczne wrażenie. Ludzie cieszyli się szczęściem Tracy. Ja sam czułem się tak, jakbym ich zaskoczył, oświadczając, że ogień parzy. Mój lęk był chyba oczywisty. Czy oni naprawdę nie widzieli, że ciężarna kobieta musiała mi pomóc przejść przez pokój?

Faktycznie się tego bałem, ale to nie była jeszcze cała prawda. Na razie jednak nie widziałem wystarczającego powodu, żeby znajdować słowa dla rzeczy, których Tracy i ja jeszcze sobie nie powiedzieliśmy. W obecności obcych nie powinno się ujawniać uczuć, których nie wyraziliśmy dotąd wobec siebie. O tym, co nienazwane, po prostu się nie mówi i czasami najlepiej tak to zostawić.

Nie próbuję umniejszyć znaczenia tego, przez co miały przejść obecne tu kobiety, ani odwrócić od tego uwagi. Absolutnie nie. Mówię tylko, że obawy większości mężczyzn w tym pokoju były nienazywalne. To właśnie przeraża najbardziej: nieznane, niewyobrażalne. Wszyscy się do tego przygotowywaliśmy i żadne odgrywanie scenek nie mogło nam pomóc w znalezieniu słów dla Nieznanego. Nieważne, czy chodziło o słowa na opisanie czekających nas niepokojów i radości,

czy też słowa pomagające trwać przy partnerce podczas porodu. Coś się zbliżało. Wiedziałem tylko, że trzeba zrobić dla tego czegoś miejsce. Chociaż odrobinę. A to znaczyło, że muszę się wziąć garść, a nie kłapać dziobem.

Ostatnia część zajęć była poświęcona uśmierzaniu bólu. Polecono nam przyjąć rozmaite skomplikowane pozycje, demonstrowane przez instruktorkę. Zginaliśmy kolana, odwracaliśmy krzesła do góry nogami i znosiliśmy ucisk w różnych miejscach. Skojarzyło mi się to z origami. Origami z ludzkiego ciała. Próbowałem nadażyć za innymi, ale czułem się, jakby kazano mi złożyć półkę z IKEI na podstawie czytanej przez kogoś instrukcji. Zero ilustracji, tylko: umieść A w otworze C, obróć za pomocą śruby W i tak dalej.

Kiedy instruktorka przysła sprawdzić nasze postępy, Tracy balansowała na dłoniach i kolanach, a ja miażdżyłem jej biodra przedramionami. Albo coś w ten deseń.

- Tak? - spytałem.

- Nie - powiedziała instruktorka. - Proszę się obrócić. Nie, w drugą stronę. A teraz proszę zrobić tak.

- Jak?

Instruktorka zrobiła coś.

- Tak - wyjaśniła.

- Co znaczy „tak”? W ten sposób? Jak? Może tak? Kobieta złapała mnie za ręce i zgięła je wokół miednicy

Tracy, tak że moje ramiona były równoległe do jej ud. Wcześniej zupełnie nie udało mi się tego zrobić. Tracy była już cała obolała wskutek moich zabiegów uśmierzejących ból.

- I teraz mam tu uciskać? - spytałem. Instruktorka była wyraźnie poirytowana.

- Nie - powiedziała. - Proszę uciskać w ten sposób, o tak, w górę i w dół, w górę i w dół.

- Nie widzę, co pani robi. Tracy wstała z podłogi.

- Później mu pokażę. Proszę sobie nie przeszkadzać, na razie będziemy obserwować.

- Ale ja naprawdę chciałabym...

Instruktorka powiedziała coś jeszcze na temat znaczenia ćwiczeń praktycznych, ale Tracy i ja wiedzieliśmy już, że przybywa nam problemów, a nie rozwiązań. Choć kobieta miała jak najlepsze intencje i nie była tego świadoma, dodawała tylko Tracy nowych obowiązków. Wykluczone, żeby żona mogła podczas porodu dawać mi niezbędne, szczegółowe wskazówki. I nie miało tu znaczenia, jak bardzo starała się nasza nauczycielka ani jak otwarcie mówiłem o swoich obawach na temat ślepoty.

Ślepotą przeszkadza i już.

Wiedzieliśmy to oboje i tylko my. Dlatego byliśmy całkowicie szczerzy i zrezygnowaliśmy z przyjętego modelu wsparcia przy porodzie. Zamiast dawać Tracy to, czego potrzebowała, postanowiłem dać jej to, na co mnie stać.

Wkrótce kazano nam usiąść naprzeciwko siebie, ściskając w lewych dłoniach kostkę lodu. Mieliśmy siedzieć w milczeniu, dopóki lód nie stopnieje, a potem wziąć nową kostkę i ścisnąć ją ponownie, tym razem rozmawiając z sobą. To doświadczenie miało nam udowodnić, że słowa zmniejszają ból. Zgodnie z tą teorią cisza tylko go wzmacnia.

- Przepraszam - mruknąłem - nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nie wiem, jakie słowa mogą ci pomóc przez to przejść.

- W porządku - pocieszyła mnie Tracy. Siedzieliśmy w milczeniu, a lód topił się nam w dłoniach.

Trwała cisza - oczywista, wymowna i pełna zrozumienia, które można osiągnąć dopiero po kilku latach związku. To była nasza intymność i nasze najlepsze pocieszenie. Bez słów wiedzieliśmy, że nie wrócimy tu następnego dnia. Znajdziemy własny sposób na wszystko. Zawsze tak robimy. Zawsze tak robiliśmy.

Przed wyjściem obejrzeliliśmy jeszcze film na temat pozycji podczas porodu. Czasami obraz zaczynał śnieżyć, ale instruktorka waliła w telewizor gumowym młotkiem i wszystko wracało do normy. Dla mnie było to bez znaczenia. Narrator świetnie opisywał to, czego nikt z nas nie mógł zobaczyć, szczególnie w kulminacyjnym momencie porodu.

- A teraz - mówił - wygnij się jak tęcza.

Tylko Tracy wybuchnęła głośnym śmiechem. Wiedziała, co mi chodzi po głowie. Idealny zwrot do kolekcji. Nadal tak mówi, żeby korygować moją wadę postawy.

Czujesz coś?

Telefon dzwonił i dzwonił. Nie mogłem się powstrzymać i wyładowałem frustrację na osobie po drugiej stronie kabla.

- Czy to pan Kingston?

- Boże, nie.

- Przepraszam. Chciałam powiedzieć Knight. Dzwonię do pana Briana Knighta.

- To ja.

- Witam pana! Dzwonię w imieniu...

- Świetnie, obudziła pani dziecko.

- Słucham?

- Telefon. Obudził ją. Ją, małą, moją córkę. Teraz już nie śpi.

Przez chwilę chodziłem nerwowo po kuchni. Może szykowałem butelkę. Albo zbierałem przybory kuchenne potrzebne do zamordowania telemarketerki.

- To zajmie tylko minutę. Gdyby zechciał pan...

- Proszę posłuchać, próbuję uśpić dziecko. Nie jest to łatwe.

- Aha... To kiedy mogę zadzwonić?

Podobała mi się odpowiedź: „Kiedy mała dorośnie”, ale zwykle po prostu odkładałem słuchawkę.

Fajnie było się trochę wyżyć. Pouczające doznanie. Ze ślepotą wiąże się ogromna władza. Zwalnia mnie z przeróżnych rzeczy: z obowiązku wożenia innych, przymusu przechodzenia po pasach, stania w koszmarnych kolejkach na lotniskach i w bankach. Ale noworodek to prawdziwy awans. Dziecko daje człowiekowi poczucie prawości. Niepodważalnej cnoty.

A przecież jeszcze nawet nie byłem ojcem.

Nasza córka miała się urodzić pod koniec stycznia. W miarę jak zbliżał się termin porodu, w domu robiło się dziwnie. To znaczy ja się robiłem dziwny. Wkurzali mnie ludzie dzwoniący co dziesięć minut z pytaniem, czy dziecko już się urodziło, a raczej, jak to ujmowali: „I co? I co?”. Odrobinę ulgi przynosili telemarketerzy.

Tłukłem też w swój mówiący zegar, który w odruchu obronnym wykrzykiwał głośno godzinę. Nie przesadzam - naprawdę wierzyłem, że wywabię dziecko ze środka, jeśli tylko się dowie, jak bardzo jest spóźnione. Poza tym kilka razy dziennie sprawdzałem kalendarz na swoim laptopie w nadziei, że to coś przyspieszy. Metoda równie bezskuteczna jak nerwowe wciskanie guzika na przejściu dla pieszych, ale robiłem to przy każdej okazji. Może atmosfera pośpiechu dotrze jakoś do macicy Tracy.

Matka ma prawo czekać na jak najszybsze rozwiązanie. Tracy ogłosiła kilka razy, że ciąży ma już po dziurki w nosie. Była zmęczona i czuła się wielka. Moje zdenerwowanie wynikało z faktu, że chciałem już wiedzieć, czy wszystko w porządku. Wychodź i pokaż się. Wychodź i pokaż, że jestem ci potrzebny.

Kiedy termin minął, opuszczanie domu stało się jednocześnie zbyt denerwujące i zbyt rozczarowujące, żeby się na nie decydować. Mogłem na przykład pójść na siłownię i zabić tam kilka godzin, ale razem ze mną ćwiczyło przeczcucie nadciągającego kryzysu. Kiedyś w trakcie skłonów zauważyłem, że pilnie wsłuchuję się w tekst piosenki Amy Grant Baby, Baby. Jakżeby inaczej? Słowa dudniły z głośników i wbijały mi się w czaszkę jak pociski. Ten cikliwy, banalny sentymentalizm był wystarczającą porażką, ale nie dość na tym. Chwytny fragment piosenki, w którym baby, baby powtarza się aż do bólu - jak to zwykle bywa z popularnymi piosenkami - przekonał mnie, że w tej właśnie chwili Tracy związa się z bólu w skurczu, nie może zadzwonić, nie może się ruszyć i nie ma przy niej nikogo, kto złapałby dziecko, czyli - śpiewajcie ze mną - baby, baby.

Pędząc do domu na złamanie karku, i tak nie nadażalem za własnymi wyobrażeniami. Mówi się, że bliskość porodu wyzwala w ludziach niesamowitą intuicję i dar jasnowidzenia. Poród właśnie się zaczął. Wiedziałem to na pewno. Wpadłem do mieszkania i usłyszałem jedyny w swoim rodzaju dźwięk.

Tracy jadła kanapkę. Siedziała prosto. Przy posiłku nie towarzyszył jej paraliż ani wyłaniająca się główka dziecka. Spójrzmy na to racjonalnie: w szkole rodzenia dowiedziałem się, że skurcze i rozwarcie trwają bardzo, bardzo długo. Może miną całe godziny, zanim trzeba będzie bodaj wypowiedzieć słowo „szpital”.



Ale to było kilka miesięcy temu, pewnie i tak nas okłamano, a ja nie chciałem spieprzyć wszystkiego, zanim to się w ogóle zacznie.

I dlatego postanowiłem siedzieć w domu, tak na wszelki wypadek. Tracy ujęłaby to pewnie inaczej. Mogłaby powiedzieć, że postanowiłem ją irytować, zaczynając rozmowę od zwrotów w stylu: „Czujesz coś?” albo „No i jak się czujesz?”. Wskazówka dla przyszłych ojców: zdecydowanie spławcie te zwroty w najbliższym doku. Jeśli tego nie zrobicie, możecie mieć wyrwany język.

Nie oznacza to bynajmniej, że Tracy prezentowała sobą spokój a la zen. Ona też stuknęła nerwowo w zegarek i poddawała się myśleniu magicznemu. Tyle tylko, że lepiej to ukrywała. Kiedy upłynął wyznaczony termin porodu, obficie zaszeleściły kartki. Rozumiecie? Tracy przeczytała zwariowaną masę książek. Wszystkie traktowały o otwieraniu nowych rozdziałów. Znałem ten ból.

Minął kolejny dzień, a potem jeszcze jeden.

Mój umysł często wybiegał w przyszłość. Znaczną część doby spędzałem na fantazjowaniu o życiu naszej przyszłej rodziny. Te wyobrażenia były drobiazgowo i na tyle zajmujące, że nie miałem już czasu na zamartwianie się oczekiwaniem.

I tak na przykład pewnego ranka wchodziłem po schodach, słuchając uporczywie brzmiącej mi w głowie piosenki, i nagle się zatrzymałem. Wyobraziłem sobie, że kawałek Baby, Baby dobiega właśnie z pokoju mojej córki. Potem wyobraziłem sobie, jak każę jej ściszyć muzykę, i ułożyłem w głowie całą rozmowę między nami, dopracowany dialog ojca z córką na temat sprzętu audio. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie zachwyciło jej zachowanie. Jednak niektóre użyte przez nią zwroty wskazywały na pewną biegłość w posługiwaniu się apozycją - młoda wiedziała doskonale, że to moja ulubiona struktura gramatyczna. Umiała mnie rozgrywać. Co może zrobić ojciec? Potem wyobraziłem sobie jej najlepszą przyjaciółkę - nie, tę drugą, najnajlepszą przyjaciółkę - która też siedziała w pokoju, i jej chichot po moim wyjściu. Powiedziała mojej córce, że jej tata jest dziwny, bo zawsze patrzy na jej ucho, kiedy ją poucza.

A potem się ocknąłem i spróbowałem sobie przypomnieć, po co w ogóle przyszedłem na górę.

Chyba całe godziny spędziłem na kontemplacji takich obrazków. Te historie mnie rozgrzewały, zupełnie jak Wigilia rozpaliała moją wyobraźnię, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Wtedy, podobnie jak większość rozumnych stworzeń, leżałem w łóżku, fantazjując na temat wszystkich możliwych prezentów i zabawy tymi prezentami, dopóki nie nastał ranek. Czasami tak było nawet lepiej, możliwości smakowały bardziej niż konkret pod choinką. Teraz, zanim dziecko się w ogóle urodziło, zdążyłem już zamieszkać z nastolatką zostawiającą popcorn na kanapie i spędzać dni z kilkuletnim szkrabem w różowej czapeczce w czaszki i kości, który goni naszego psa po kuchni i krzyczy: „Mój sceniak! Mój sceniak!”.

Minął kolejny dzień, a potem jeszcze jeden.

W lutym, długo po upłynięciu terminu, ułożyłem listę banalnych, ale nagłych pytań na ostatnią chwilę. Najważniejsze z nich zrodziło się w mojej głowie, kiedy stałem przy oknie w salonie, czując na twarzy zimowe słońce, i gapiłem się na niewyraźną plamę trawnika przed naszym domem. Spanikowany obróciłem się w stronę Tracy. Uderzył mnie mój własny brak przewidywania.

- Cholera, a gdzie ona się będzie bawić!

Nie dodałem na końcu pytajnika. Tracy spojrzała na mnie znad stosu niemowlęcych kocyków, które składała właśnie po raz dziesiąty.

- Bawić?

- Tu nie ma podwórka - wyjaśniłem. - A ulica jest zbyt ruchliwa. Gdzie ona się podzieje?

Wychowałem się przy zaułku na przedmieściach, więc większość dzieciństwa spędziłem na ulicy albo na rozległym trawniku przed domem. Samochody nas omijały, podobnie jak kosiarki do trawy. A własne nienarodzone dziecko pozbawię czegoś tak ważnego? Skażę je na przestrzenne ubóstwo?

- Dzieci same znajdują sobie miejsca do zabawy - stwierdziła Tracy. - Ja się o to nie martwię.

Po czym wróciła do składania kocyków.

Brak trawnika był moją pierwszą porażką. Gryzło mnie to. Gryzło, chociaż ja i moje rodzeństwo z przyjemnością wciskaliśmy się pod kuchenny zlew. Zwierzyłem

się ze zmartwienia mojemu kumplowi Jimowi, który też jest niewidomym pisarzem. Jeśli ktoś mógł mi współczuć, to właśnie Jim. On mnie zrozumie.

- Nie martw się - powiedział. - Dzieci zawsze znajdują sobie miejsca do zabawy.

Kłamca. A poza tym, co on może wiedzieć? Kiedyś zabawiał dzieci sąsiadów, waląc się po czole pustym zszywaczem. Co on wie o miejscu do zabawy? Najwyżej tyle, że znajduje się ono nad jego brwiami.

Nic nie stłumiło wszystkich moich narastających, banalnych obaw czy nowych tików behawioralnych, dopóki nie uświadomiłem sobie prawdziwego problemu, a w każdym razie prawdziwej przyczyny komponowania scenek, walenia w zegarek, wyżywania się na telemarketerach i rosnącej tęsknoty za podwórkiem.

Wiłem gniazdo.

Poczyniliśmy przygotowania, kupiliśmy łóżeczko, fotelik samochodowy, pieluchy - wszystko to, co podpowiada rozsądek i impuls. Tradycyjne, zwyczajne wicie gniazda. Ale teraz doświadczałem innego aspektu tego wicia, z wyższej półki. Niewiarygodnego amoku. Zamartwiałem się wszystkim, co było poza moją kontrolą, czyli wszystkim tym, co zostaje, kiedy człowiek pomaluje już pokój dziecięcy, ułoży smoczki i wypełni zamrażarkę zapiekanką z tuńczykiem. Wicie gniazda wiąże się też ze sprzątaniami obszaru między obowiązkiem a obietnicą. A więc tak to jest, pomyślałem sobie. Jakbym miał spotkać kogoś sławnego. Podobne podniecenie.

Po kilku takich dniach poczułem coś zupełnie innego. Pewnego ranka obudziłem się oczyszczony i wyczerpany. Kompletnie. Byłem zrezygnowany, jakby ten wielki dzień wcale nie miał nadejść. Czekanie na narodziny nie przypominało już czekania na Gwiazdkę czy sylwestra. Było bardziej jak ósmy stycznia. Do szpiku kości poczułem bezbarwność, jaka ogarnia człowieka po świętach. Powrót do normalności. Dziecko się dotąd nie urodziło, więc zapewne już się nie urodzi. Za długo czekałem. Bywa. Mamy w domu jakieś znaczki? Co zjemy na kolację?

Oczywiście Tracy czuła się zupełnie inaczej. Chciała, żeby dziecko już wyszło. Najlepiej jeszcze zanim zacznie mówić.

W tym czasie przyjechała do nas Helen, mama Tracy. Miała zostać na jakiś czas. Helen - podobnie jak moja mama - jest dla mnie platońskim ideałem matki: pogodna,

zorganizowana, opanowana, kompetentna. Kobieta, która potrafi jednocześnie marynować buraki i wypełniać formularze podatkowe. Teraz czekała cierpliwie, zapewniając nas, że wszystko stanie się w swoim czasie, co dla mnie nie było wcale takie oczywiste. Helen sama sobie planowała dzień, ćwicząc się w sztuce cierpliwości. Często siedziała w kuchni, gdzie obszywała ręczniki albo robiła na drutach przy małej lampce. Przywodziło mi to na myśl Los tkający moją przyszłość. Miło tak dziergać własne ręczniki. Oraz przeznaczenie.

Czekając na potępienie, zdobyłem się na ostatnią próbę wywarcia jakiegoś wpływu i zabrałem Tracy do kina na Bo-rata. Może jeśli wystarczająco się uśmieje, to w środku coś drgnie i dziecko wyjdzie sprawdzić, o co tyle hałasu.

Okazało się, że Borat nie wywołuje porodu.

Minął kolejny dzień, a potem jeszcze jeden.

Szóstego lutego obudziłem się i zorientowałem, że Tracy z bólu chodzi po pokoju. Nie był to ból, który mija gdzieś podskórnym i którego nawet nie widać na twarzy, było to wyraźne, męczące cierpienie. Tracy wydała nawet z siebie kilka dźwięków, których nigdy wcześniej u niej nie słyszałem. Lekko zduszonych jęków. Podobnych do tych, jakimi posługują się kiepscy aktorzy, kiedy chcą odegrać niestrawność, ale naprawdę, naprawdę przerażających.

Zapomniałem o obawach. Czas się zabrać do roboty. Moment później, jakby instynktownie, zamieniłem się w pana Zimno Jak Ch\*j z naszej szkoły rodzenia.

- Jedźmy do szpitala. Wezmę torby, a twoja mama poprowadzi - powiedziałem.

Tracy siedziała na kanapie i jęczała. Nagle przestała. Jakby ktoś przekreślił wyłącznik. Zacząłem wyobrażać sobie nasze dziecko w roli szalonego naukowca, zacierającego dłonie nad przyciskiem uruchamiającym kolejne narzędzie tortur. Zmieniłem plan.

- Pojedziemy, kiedy będziesz chciała - zapewniłem, cytując z ewangelii pana Zimno Jak Ch\*j.

- Wszystko w porządku - powiedziała Tracy. - Skurcze zaczęły się koło trzeciej nad ranem.

Nie mogłem w to uwierzyć. Przespałem pierwsze pięć godzin. Teraz naprawdę musiałem coś zrobić, żeby się zrehabilitować.

- No to zadzwonię do Andrei.

- Chyba nie musisz. Przerwy między skurczami są jeszcze dosyć długie.

Skąd ona to wiedziała? Zjechaliśmy właśnie ze zbrocza, a ona twierdziła, że mamy jeszcze czas na sprawdzenie płynu hamulcowego.

Tracy przypominała mi, że mam mierzyć długość skurczów i przerw między nimi. Jasne, to moje zadanie. Mówiliśmy o tym, kiedy byłem szyjką macicy. Mama Tracy wyjęła druty i zajęła stanowisko. Wiedziała, co nas czeka. Widziała ten film już dwa razy. A raczej sama w nim wystąpiła. Czekaliśmy na kolejny skurcz. Mijały wieki.

- Zaczyna się nas... - powiedziała Tracy, po czym zerwała się na równe nogi i zaczęła przemierzać korytarz. Skurcz połknął końcówkę zdania.

Zwarty i gotów do akcji wbiłem wzrok w swój wielki zegarek. Zmieniłem kąt, wstałem i znów zmieniłem kąt. Tracy przeszła koło mnie kilka razy, podczas gdy ja usilnie szukałem odpowiedniego oświetlenia dla resztek swojego wzroku. W salonie było za ciemno. Przez całe lata próżność nie pozwalała mi kupić mówiącego zegara. Teraz brakowało mi jedyne niezbędnego do pracy. Duży gadający zegar był na górze, więc porzuciłem myśl o technologii. Miałem plan B.

- Jeden tysiąc, dwa tysiące - zacząłem. A potem jeszcze trzydzieści razy.

Kiedy skurcz się skończył, zacząłem od nowa. Owszem, na głos. Następny skurcz pojawił się dopiero pół godziny później. To oznacza mnóstwo tysięcy i wiele dodatkowego bólu.

Nie naliczyłem się za bardzo, bo Tracy odebrała mi zegarek i przekazała liczenie swojej mamie.

Uznałem, że to nie problem. Będę nadzorował. Moje uszy słuchały, jak Helen pilnuje czasu. Stanowiliśmy zespół. Tak jakby Helen była kierownicą, a ja - zepsutym reflektorem.

Dzień upłynął Tracy w rytmie: kanapa - skurcz - chodzenie, powtarzać według potrzeb. Helen robiła na drutach, a ja przynosiłem jedzenie albo nadmuchiwałem

piłkę do ćwiczeń, żeby Tracy mogła na niej usiąść, albo toczyłem piłkę do innego pokoju, żeby zmienić widok, chociaż Tracy właściwie na nic nie patrzyła - oczy miała zamknięte, a kiedy jęczała i chodziła w kółko, wbijała wzrok w podłogę.

Od tego momentu tylko ona uczestniczyła w porodzie. Ja obserwowałem. I powiem wam tyle: te wczesne godziny to dziwny próg. Zaskoczyła mnie w dużej mierze warstwa dźwiękowa. Słyszałem, że znajdujemy się w granicznej, przejściowej fazie. Skurcze były coraz częstsze i coraz dłuższe, więc Tracy zwiększyła tempo. Ból narastał, przerwy stawały się krótsze. Każda zmiana sugerowała nadejście dziecka, jak gdyby jakaś siła zataczała wokół nas kręgi, coraz ciaś-niejsze przy każdym kolejnym okrążeniu. A może coś się rozrastało, wirowym ruchem wydostawało się z Tracy, napełniając jej głos, moje uszy i nasz dom coraz bardziej stanowczą, intensywną i, na Boga, donośną obecnością. Mówcie sobie, co chcecie, na temat widoku porodu, ale jego odgłosy to zupełnie inna sprawa. W podobny sposób nadciąga burza. Na początku grzmot jest oddzielony od błyskawicy, od całego wydarzenia, ale w miarę jak burza osacza twój kawałek świata, chwile ciszy stają się coraz krótsze. W końcu dźwięk i furia się spotykają, nad głową słyszysz ogłuszający łoskot pioruna i wszystko dzieje się tak szybko. Przyśpieszone jęki Tracy przypominały płacz, potem nawoływanie. Wskazywały naszej córce drogę do domu. Nie należały nawet do Tracy, były osobne, jakby tylko przekazywane. Gdybym miał się kierować wyłącznie słuchem, nie rozpoznałbym w nich głosu mojej żony. Niezależnie od tego, na jakie tajemne sposoby można to opisać, jedno wiem z całą pewnością: usłyszałem zbliżające się dziecko. Na razie tylko tyle. Nie było czego oglądać, jeszcze nie.

Tracy powiedziała, że da mi znać, kiedy mam dzwonić do położnych. Siedziałem w pogotowiu. Niewiele więcej mogłem zrobić, więc przygotowałem torbę Tracy i nawet ustawiłem jej buty przy drzwiach. Nie mogłem się doczekać. Już wkrótce zabiorę żonę do kogoś, kto zrobi coś w moim imieniu. Ten ostatni zwrot jest kluczowy. Podejrzewam, że mężczyźni aż przebierają nogami, żeby jechać do szpitala, bo chcą jak najszybciej zaangażować profesjonalną pomoc. Wyobrażamy sobie, często podświadomie, że lekarz, pielęgniarka albo położna stają się niejako

naszym pełnomocnikiem przy porodzie. Ich dłonie zastępują nasze, bezużyteczne. Oni, podobnie jak my, są tylko widzami, ale posiadają wiedzę, więc chcemy ich obecności, żeby nie oblać tego egzaminu.

W pewnym momencie podczas tego nerwowego chodzenia (a także, od czasu do czasu, kąpieli) mama Tracy włączyła telewizor. Jednym okiem oglądała program Oprah Winfrey, robiąc jednocześnie na drutach, pomagając Tracy wchodzić do wanny i z niej wychodzić albo dodając otuchy. Jej obecność miała na nas kojący wpływ. Helen wiedziała, czego i kiedy potrzebuje jej córka, a ja tego nie wiedziałem, o ile ktoś mi nie powiedział. Ale w pewnym momencie słowa przestały wystarczać. Ich miejsce w ustach Tracy zajęły jęki. Nie mogłem już liczyć, że moja żona wszystko mi objaśni. Bez rozmowy poczułem się jeszcze boleśniej odcięty od wszystkiego.

Na szczęście Helen dawała sobie radę tam, gdzie mnie ograniczała ślepotą, i dzięki temu dom funkcjonował normalnie. Jakaś część mnie pozostawała dzieckiem, które chciałoby powiedzieć, że samo wszystkiemu podoła, choć tak naprawdę tego nie umie i doskonale o tym wie. Nie chodziło tu bynajmniej o samodzielność niepełnosprawnego faceta, więc odpuściłem sobie naturalną u mnie determinację. Dziwne, że to właśnie mogłem zrobić dla Tracy. Być mniej samodzielnym, żeby jej pomóc.

Potem usłyszałem coś jeszcze. Nie był to narastający, gardłowy krzyk Tracy, tylko wypowiedź jednego z gości programu Oprah. Coś we mnie wybuchło. Irracjonalny gniew, wściekłość. Znany aktor przechwalał się swoim wielkim odrzutowcem na wielkim podjeździe, swoją filantropią i satysfakcją, jaką z niej czerpie. Najwyraźniej dopisywało mu, a może nawet dokuczało gigantyczne poczucie przyjemnego samozadowolenia. Wkurzyło mnie to bardziej, niż powinno.

- Mogłabyś to wyłączyć? - warknąłem w stronę Helen.

Zaskoczył mnie mój własny ton. Brakowało w nim wdzięczności, natomiast pobrzmiwała niepotrzebna zjadliwość, jak gdyby telewizor osobiście mnie uraził. Helen pogodnie wyłączyła program, choć podejrzewam, że była nieco zaskoczona.

Mój gniew miał konkretne powody. Nadszedł wreszcie moment porodu, dzień mojego spotkania z córką. Ile z tego zapamiętam? Mnóstwo. Włącznie z durnym odrzutowcem jakiegoś celebryty zaparkowanym na jego głupim podjeździe. Tak nie powinno być. Nie chciałem, żeby ten gość, Oprah ani nikt inny psuł najważniejszy dzień w moim życiu. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Przynajmniej do moich wspomnień. Jak inaczej mogłem je obronić?

Zająłem się, że tak powiem, obsikiwaniem terenu we własnej głowie, kiedy Tracy wymiotowała i poprosiła, żebym zadzwonił do położnych. Odebrała jedna z nich, Amy. Powiedziała, że Andrea ma wolny wieczór, więc ona zajmie jej miejsce. W porządku, uwielbialiśmy je wszystkie. Grunt, że nam pomogą.

Podczas gdy ja rozmawiałem przez telefon, Tracy kończyła pokonywanie piętnastego kilometra marszu tam i z powrotem, a jej głos zamienił się w przeciągłe wycie. Trudno było się nie zastanawiać, skąd moja żona bierze powietrze. Trzymała dźwięk równy i napięty jak lina, długi niczym autostrada.

- Sądząc po odgłosach, rozwarcie wynosi niecałe pięć centymetrów - stwierdziła Amy. - Ale przyjadę i sprawdzę. Pewnie upłynie jeszcze parę godzin, zanim trzeba będzie jechać do szpitala.

Pozazdrościć uszu. W przeszłości miałem już do czynienia z porównywalną wrażliwością, ale tylko u niewidomych. Kiedyś poznałem faceta, który potrafił kliknąć językiem i dzięki echolokacji ustalić, jak daleko jest okno albo czy okno nie jest przypadkiem ścianą. Jeśli w ścianie były drzwi, przechodził przez nie bez potknięcia. To nic wielkiego. Powinniście zobaczyć, jak wybierał kanapkę ze szwedzkiego stołu. A pamiętacie gościa o pseudonimie Joybubbles, słynnego niewidomego hakera, który w latach pięćdziesiątych potrafił precyzyjnie wygwizdać częstotliwość starych telefonów i w ten sposób obdzwonić cały świat za darmo? Teraz do tej listy musiałem dodać Amy. Była jak pianista koncertowy. Ucho tej kobiety tak dostroiło się do muzyki jej zawodu, że mierzyła rozwarcie przez telefon. Zasługiwała na honorową białą laskę.

Miała rację. Po dwóch godzinach znaleźliśmy się w samochodzie zmierzającym do szpitala. Helen prowadziła. Wysadziła nas pod izbą przyjęć i pędem ruszyła



odstawić samochód na parking. Bezpieczeństwo oferowane przez współczesną naukę roztaczało się przed nami w całej swojej niedofinansowanej, biurokratycznej krasie. Pobiegłem pierwszy - to chyba bezprecedensowy przypadek w naszym małżeństwie - znalazłem drzwi i otworzyłem je. A potem czekałem.

I czekałem.

- Skarbie?

Cisza.

Może weszła innymi drzwiami? Czy to w ogóle były drzwi? Ktoś przeszedł koło mnie i podziękował. Co za postęp - w szpitalach zatrudnia się niewidomych odźwiernych. W końcu wyruszyłem na poszukiwanie żony, którą jeszcze chwilę wcześniej słyszeć było kilka przecznic dalej.

Machając laską, przeszedłem po chodniku i znalazłem Tracy przewieszoną przez balustradę. Wypluwała wnętrności prosto w krzaki. Gdybyśmy przyjechali cztery minuty wcześniej, mielibyśmy niezłe wejście.

A oto dowód, że na tym świecie istnieje bezwarunkowa miłość. Tracy, teraz już w drugiej fazie porodu, powoli przeprowadziła mnie przez szpitalne korytarze, pomogła ominąć nosze i wózki inwalidzkie, znalazła windę i, mimo skurczów, wprowadziła mnie do środka, między chorych i zdrowych. Jej siła i altruizm imponowały. Mogłaby być jedną z tych kobiet pionierek, które patroszyły karibu i rąbały drewno, dopóki nie odeszły im wody. Miała przecież prawo podrzucić mnie ochroniarzowi albo zostawić samego, żebym dogonił ją w swoim tempie. Ale tego nie zrobiła.

Nie zdawałem sobie sprawy, że w windzie stanąłem trochę za blisko osoby przede mną. Co gorsza, ponieważ odwróciłem się w złym kierunku, mimowolnie utkwilem wzrok w jej podbródku. Nie miała dokąd uciec. Moja spocona dłoń przywarła do łokcia Tracy, która nadal dreptała w miejscu. Oddychała z wysiłkiem. Podtrzymałem ją na duchu, powtarzając: „Świetnie ci idzie, skarbie, świetnie ci idzie”. Część osób w windzie mogła to mylnie zinterpretować. Chodziło mi oczywiście o poród, a nie o zdolność mojej żony do zaparkowania mnie tuż przed podbródkiem Bogu ducha winnej osoby.

Mówi się „szpital” albo „oddział”, ale te słowa zupełnie nie oddają charakteru miejsca, w którym się znaleźliśmy. Spotkaliśmy się z Amy i Helen w czymś, co przypominało całkiem przyzwoity pokój hotelowy. Jednak Tracy nie zrobiła tego co zwykle. Nie sprawdziła materaca ani wnętrza szafy. Chwyciła natomiast ramę łóżka i potrząsnęła nim. Gwałtownie. Wywołała trzęsienie ziemi. Ramiona zadrżały od wibracji, a ona postanowiła chyba się przebić łóżkiem przez ścianę do sąsiedniego pokoju. I pewnie by jej się to udało, gdyby kobieta w pokoju obok nie robiła dokładnie tego samego, ale w naszym kierunku.

Nie mogłem już rozpoznać głosu Tracy ani za nią nadażyć. Rozebrała się, kilka razy weszła do wanny, ale zawsze wracała na chwilę do ramy łóżka i napierała na nią jak maniak gry na automatach. A to cholerstwo jakoś nie chciało przebić ściany. W filmie Tracy ułożyłaby się po prostu na materacu, kilka razy westchnęła, jęknęła raz czy dwa i byłoby po sprawie. Dziecko wysliznęłoby się łagodnie na świat, jak wypchnięte przez obrotowe drzwi w domu handlowym. W filmie widziałbym, że właśnie teraz powinienem się dumnie uśmiechnąć pod czepkiem chirurgicznym. Ale gdzie mój czeppek? W Hollywood nie mają o tym wszystkim zielonego pojęcia. Pewnie żadna z obecnych w studiu osób nie była przy porodzie ani w charakterze świadka, ani matki, ani nawet dziecka.

- Świetnie ci idzie, Tracy. Kobiety bardzo często rodzą na stojąco - powiedziała Amy. - Rób, co dyktuje ci ciało.

Tracy nie miała w planach niczego innego. W końcu przemówiła.

- Moje biodra! - krzyknęła. - Zróbcie coś! One zaraz pękną.

To był sygnał. Wyraźny sygnał. Amy i Helen przystąpiły do akcji. W umywalce zaszumiała gorąca woda. Przygotowano mnóstwo ręczników. Słynne gorące ręczniki wreszcie się pojawiły na scenie, a z nimi - wrzątek. A więc do tego są potrzebne, pomyślałem, chociaż nadal nie wiedziałem do czego.

- Masz. - Amy wręczyła mi dwa ręczniki. - Połóż je na biodrach Tracy i masuj. To bardzo pomoże.

I nagle wtrącił się inny znany, nieproszony głos.

- Tak, cudownie jest pomagać ludziom - przytaknęła Oprah.

Kojarzyła mi się jako ktoś, kto zawsze nawija o aniołach i nadziei.

Biodra Tracy znowu ruszyły w ślad za jej głosem, więc przygotowałem się do działania. Trzymałem w dłoniach ręcznik, żeby przechwycić ją po drodze. Kiedy jęk Tracy ponownie zabrzmiał w nogach łóżka, rzuciłem się w tamtą stronę. Tak jakby. Stałem i myślałem, czy już się rzucić.

- No, śmiało - zachęciła Amy. - Połóż jej ręcznik na biodrach i...

Bąłem się dotknąć mojej żony. Wprawdzie za moment miała przepchnąć planetę przez słomkę, lecz ja z jakiegoś powodu obawiałem się, że mogę sprawić jej ból. Zranić czy coś. Tak bardzo cierpiała, za bardzo, żeby znieść jeszcze ciężar mokrej bawełny.

- Gdzie są jej biodra? - spytałem.

- Tutaj. - Amy poprowadziła moją dłoń ku Tracy. - Podejdź bliżej, z tej strony.

Zachwiałem się na nogach. Tracy zaczęła mnie ponaglać.

- Tutaj. - Amy popchnęła mnie dalej. - Nie tutaj. Nie, bliżej.

- Uwielbiam pomagać - zachłystywała się Oprah. - A wy?

Zaparkowałem ręcznik na właściwym miejscu, a jednocześnie, całkiem nieświadomie, stanąłem całym ciężarem ciała na nagiej stopie Tracy. But i kości.

Tracy krzyknęła zupełnie nowym głosem. W szkole rodzenia kazano nam uważnie słuchać. Przyjąłem ten krzyk do wiadomości i z wigorem przystąpiłem do masowania bioder, przy okazji miażdżąc jej stopę na pył.

- Jeśli pracujemy razem - cieszyła się Oprah - to jesteśmy aniołami!

- Moja! - wrzasnęła Tracy. - Stopa!

Stopa? Faktycznie, poród angażuje całe ciało. Nie zdążyłem wymasować stopy Tracy, bo Helen mnie odciągnęła. Dopiero wtedy się zorientowałem, co zrobiłem. Tracy jęczała i próbowała rozchodzić jakoś ten ból.

Co jeszcze mogłem? Odsunąłem się, rzucając ręcznik. Amy zapewniła, że Tracy nic się nie stało, i zachęcała, żebym spróbował od nowa. Ale oddałem drugi ręcznik Helen, która przejęła moje obowiązki. Wykonywała je w moim imieniu. Tracy i jej biodra tylko na tym skorzystały. Wiadomo, że moje ograniczenia były zawsze równie

ważne jak ich przekraczanie. Tak, dobrze jest pomagać. Ja pomagałem, usuwając się na bok.

Umówiliśmy się z Tracy, że znajdziemy własny sposób na to wszystko. I znaleźliśmy. Kiedy już zmiażdżyłem stopę mojej żony, zająłem miejsce, w którym moje ciało mogło jej najlepiej służyć. Kucnąłem przy uchu Tracy. Chciałem jej pomóc się koncentrować i odprężyć - w pewnym sensie zawsze tego chciałem. Moja paplanina prowadziła ją przez kolejne skurcze. Mówiłem, kiedy przeć, a kiedy nie, zależnie od poleceń Amy. To umiałem. Byłem posłańcem. Gońcem. Przewodnikiem. Nareszcie.

- W porządku - powiedziała wreszcie Amy. - Tracy, musisz przeć, ostatni raz. Ryan, chcesz złapać dziecko?

Złapać? Nieczęsto prosi się o to niewidomego. Nie pamiętam już, kiedy coś złapałem oprócz kataru. Ale może sobie poradzę. Na myśl, że to moje dłonie będą pierwszą rzeczą na świecie, jakiej dotknie moja córka, zakręciło mi się w głowie. A jednak, po całym tym bólu porodu, wydało mi się to niesprawiedliwe. Pierwsza powinna być Tracy.

- Chcesz? - spytała ponownie Amy. - Szybko. Podjąłem decyzję.

- Nie - powiedziałem.

Ten wybór zapoczątkował wiele kolejnych. Chodziło nie o to, czy chcę złapać dziecko, ale o to, czy czuję się na siłach, żeby zaproponować córce loterię, uzależnić jej bezpieczeństwo od mojej sprawności. Nie byłem gotów na takie ryzyko. Jeszcze nie.

Tuż po pierwszej w nocy, cztery godziny po przyjeździe do szpitala i po ostatnim, spazmatycznym skurczu, Amy złapała dziecko w moim imieniu i położyła małą na ciepłych piersiach Tracy.

- Cześć, Tess - powiedziała Tracy.

Kucnąłem obok nowego głosu i sięgnąłem ręką do ramienia Tracy.

- Cześć, myszko - przywitałem się.

Zmrużyłem oczy. Mocno. Bardzo mocno. Przez maleńkie okienko światła w prawym oku zobaczyłem coś, co wziąłem za ciemne włosy. Potem to coś zniknęło i

zamieniło się w kolor. Okrągły kolor. Oko. Chyba zielonkawo. Zobaczyłem niecałą połowę. Raptem krawędź tęczołki, zewnętrzny kącik i rzęsy. Oko mrugnęło. Nie widząc niczego innego, nie mogłem być pewny, czy patrzę na oko Tracy, czy Tess. Wydawało mi się, że już skądś znam ten kolor i kształt. Przywitałem się ponownie.

- Patrzy na ciebie - powiedziała Helen.

Tess rozpoznała mój głos i odwróciła się w jego stronę. Od początku podobna do taty. Oboje nas prowadziły dźwięki.

AKTU

Niepokój

Przygody ze smoczkiem

Wszystko ma swoje martwe strefy. Nawet na całkowicie zdrowym oku znajduje się ślepa plamka, miejsce, w którym nerw wzrokowy łączy się z siatkówką. Martwe strefy rodzicielstwa są niezliczone. Mnożą się z każdą godziną i definiują nasz osobliwy taniec w roli matki lub ojca. W końcu rodzicielstwo to przecież często niewiele więcej niż zbiór gorączkowych reakcji, zwykle kiedy jest już za późno, na przykład kiedy małe rączki odkrywają, że kluczyki do samochodu świetnie wsuwa się w jedyne niezabezpieczone gniazdko. Innymi słowy, człowiek nie wybiera sobie sukcesów, tylko porażki. I na tym właśnie polega zabawa. O ile dziecka nie kopnie prąd.

Jako rodzice napotkaliśmy wiele takich martwych stref, ale z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że największą z nich był tydzień po narodzinach Tess. Od momentu wyjścia ze szpitala i może trochę dłużej niż przez tydzień pytaliśmy siebie nawzajem: „Co się dzieje, do cholery? Co my robimy? Co powinniśmy robić? I gdzie jest broszura na ten temat?”. Jasne, cała masa filmów, książek, zajęć i instruktorów skupia się na ciąży i sztuce rodzenia, a informacjami dotyczącymi karmienia piersią można by wypełnić bibliotekę w Aleksandrii, ale nikt nie napisał ani słówka o życiu tuż po opuszczeniu szpitala. Nawet jednej marnej literki.

Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, nasza mnie refleksja, że ten krótki czas spędzony w szpitalu był niezwykle surrealistyczny. Przez moment żyliśmy jak gwiazdy rocka. Pojawiliśmy się znikąd, żądaliśmy dziwacznych rzeczy -proszę przykryć podłogę brezentem - generalnie zdewastowaliśmy pokój hotelowy, a potem obsługa musiała ścierać z podłogi płyny ustrojowe. Czuliśmy się dziwnie, prawie jak przestępcy. Upiekło się nam. Uszedł nam płazem niezły przekręt.

- Pomyśl tylko - powiedziałem do Tracy, zapinając pas. - Żeby łowić ryby, muszę mieć kartę wędkarską, ale z dzieckiem można po prostu wyjść.

Tracy i jej mama próbowały przypiąć dziecko. Kolejna ślepa plamka. Nie przećwiczyliśmy zabezpieczenia fotelika samochodowego, który był równie prosty w obsłudze jak przyśpieszacz cząstek.

- Wiesz, co jeszcze jest dziwne? - ciągnąłem. - To, że przyjechaliśmy we dwójkę, a wracamy w trójkę. Podzieliliśmy się. A może pomnożyli?

Byłem osamotniony w swojej ciekawości. Tracy chciała tylko wrócić do domu, walnąć sobie małego drinka i na nowo zaznajomić się z naszym łóżkiem. Oby nie musiała nim miotać jak pudełkiem po pizzy. Ponieważ jednak Tess płakała przez całą drogę do domu, dotarło do nas, że sen i inne frywolne punkty programu będzie teraz ustalać nasza córka. Dzieci to generalnie dyktatorzy.

Ślepe plamki, podobnie jak czarne dziury, mają własną siłę przyciągania. Te same prawa fizyki można zastosować do ust płaczącego niemowlęcia. Tess płakała na okrągło. Jej płacz zalewał moje uszy. Na każde westchnienie wykręcałem szyję z fotela i odwracałem głowę do tyłu, żeby się gapić i denerwować. Niewiarygodnie bezużyteczny nawyk. Nieważne. Tak zachowywał się teraz mój umysł. Odtąd Tess miała pożerać większość mojej świadomości. Na myśl o tym czułem nowy lęk i nowy zachwyty.

Nasz dom i jego rytuały, chroniące mnie przed szaleństwem i wzmacniające mój charakter, zmieniły się w momencie, kiedy przekroczyliśmy próg. Nie można było nie postrzegać świata, jakby się go widziało po raz pierwszy. Nawet najzwyklejsze rzeczy - stara kanapa, lampa, toster, sposób, w jaki światło odbijało się od tosterka - zaczęły wyglądać jak autentyczne wytwory kosmitów. Wszystkie te przedmioty

trzeba było przedstawić naszej córce, zobaczyć je jej oczami, zastawiając się, czym są, do czego służą i jak mogą być postrzegane przez początkujący zestaw zmysłów. Tak wielki projekt trudno objąć umysłem. Od czego zacząć? Jak się podzielić wiedzą? Jajko, wyłącznik, lustro, kolor niebieski. Co robią i do czego są nam potrzebne? Jak to wszystko się ze sobą łączy?

Położyliśmy Tess do łóżeczka. Było to stare łóżeczko Tracy, skrzynka na jabłka wyłożona poduszkami, przyszytymi do desek przez Helen trzydzieści pięć lat wcześniej. Napiliśmy się czegoś, odreagowaliśmy, a potem każde z nas poszło do łóżka i udawało, że śpi. Nasłuchiwałem każdego stuknięcia i szelestu, niczym zwierzę, jakbym się nagle stał celem większego i groźniejszego zwierzęcia. Tracy zachowywała się podobnie. Co kilka minut sprawdzała, co robi Tess. Wychylała się z łóżka i nerwowo zerkała na oddychające ciało albo poprawiała kocyki. O trzeciej nad ranem, codziennie, wszyscy odczuwaliśmy wspólną ulgę. Uff. Teraz już z górki. Przeżyliśmy kolejną noc. W jaki sposób trzecia stała się rankiem? Nie mam pojęcia.

Po dniu czy dwóch zaczęły nas nachodzić tłumy ludzi, żeby obejrzeć Tess, po rozpieszczać ją i pogadać na jej temat. Tłumy. Wy pewnie też u nas byliście. Moi rodzice, rodzeństwo, rodzice Tracy, jej siostra i rodzina. Nasz dom zaczął przypominać festiwal w Woodstock. Męczyło nas to jeszcze bardziej. Tyle głosów w kuchni, kolejne - w salonie. Siostrzeńcy plątali się nam pod nogami, zderzając resoraki. Na górze ktoś się śmiał, a w oddali dzwonił telefon. Żarcie, żarcie, żarcie. Gdzie, do cholery, było w tym wszystkim miejsce dla mojego dziecka? Odsunąłem kilka talerzy i padłem twarzą na kuchenny stół. Nasze matki gadały sobie w najlepsze nad moją głową.

Kiedy goście już wyszli, a kurz opadł, w naszym domu zapanowały nowe efekty akustyczne. W dzień czuliśmy się jak w obcym kraju. Żaden z dźwięków wydawanych przez Tess nie należał do naszego domu. Należało spisać słownik jej zawodzenia, smarkania i pisków. Te odgłosy były czymś zwyczajnym, ale nie wiedzieliśmy, co znaczą, a to wymagało od nas pośpiesznego działania. Ujmę to inaczej. Tess brzmiała jak dziecko - słodkie to, a zarazem niewystarczające. Czego od nas chciała? Musieliśmy dopiero rozebrać jej wołanie na poszczególne elementy,

ponieważ każdy z nich oznaczał coś ważnego: przewińcie mnie, połóżcie do łóżka, spadajcie, dajcie jeść, dotknijcie, zróbcie coś, żeby nie bolało. Płacz Tess precyzyjnie atakował ośrodki bólu w naszych mózgach, więc szybko musieliśmy się nauczyć jej słownictwa.

I tak zaczęliśmy ją poznawać. Spędzaliśmy razem czas. Próbowałem zrozumieć jej dialekt. Jednak w ciągu kilku następnych dni stało się ze mną coś dziwnego. Coś niepokojąco nieoczekiwanego.

Myślałem, że z czasem Tess przestanie być dla mnie po prostu dzieckiem i nabierze własnych, indywidualnych kształtów. Było inaczej. Wciąż postrzegałem ją tylko jako dziecko. Mimo wielu prób, nie umiałem nawiązać z nią kontaktu. Brałem ją na ręce, kołysałem, podskakiwałem, chodziłem z nią po domu i łaskotałem jej brzuszki. Robiłem wszystko to, co robi tata, ale osaczała mnie gęstniejąca mgła. Miałem córeczkę i kochałem ją bezgranicznie, jednak nie czułem, że to moja córeczka. Musiałem ją dopiero poznać, nauczyć się, kim jest.

Nie ustępował też mój lęk. Na początku był słaby i nużący jak ból głowy, który uleczyć może szklanka wody albo obiad. Węgielek tłący się w czaszce. Ale gdy tylko Tracy podawała mi Tess, albo kiedy Tess płakała w łóżeczku i nie dawała się uspokoić, a nawet kiedy nad ranem spokojnie spała na mojej piersi (była to jedna z największych znanych mi przyjemności), coś podsycalo ten żar. Ból narastał. Sam nie wiedziałem, czego się boję. Nie chodziło o Tess, niezupełnie. Tyle wiedziałem. Ale ból nie znikał, niezależnie od tego, czy byliśmy razem, czy osobno. Nie potrafiłem go nazwać, a wiedziałem, że muszę.

Moje oddzielenie martwiło Tracy. Sama kąpała Tess, czasem w umywalce, czasem w plastikowej wanience ustawionej na kuchennym stole. Ja tylko stałem i słuchałem. Mówi się, że zwierzęta nie lubią wchodzić na polany, wolą stać na obrzeżach, gdzie drzewa i zarośla zapewniają im schronienie albo umożliwiają szybką ucieczkę. Chyba nic nie jest takie otwarte i nagie jak dziecko w wannie. Polana w naszym domu. Dosłownie przyklejałem się do ścian.

Ten dystans stał się normą. Tracy musiała pytać, czy chciałbym potrzymać Tess, co sprawiało mi przyjemność, ale sam rzadko się na to decydowałem. Jeśli już,



najpierw prosiłem Tracy o pozwolenie, również wtedy, kiedy chciałem wykonać coś całkowicie bezpiecznego, na przykład po-huścić się z małą na bujanym fotelu. Zachowywałem się jak gość, przyjazny obcy, a nie jak ojciec Tess. I nie miałem pojęcia dlaczego.

Zbliżała się druga w nocy i Tess dawała nam ostro popalić. A może już dochodziła piąta. Nieważne. Równie dobrze mogło być południe. Po ciężkim tygodniu brak snu uczy człowieka, że zegarek - nawet tani podrzędny budzik na mojej szafce nocnej - to przedmiot luksusowy, który wkrótce stanie się pamiątką z dawnych, bezdziennych czasów. Noc i dzień stały się pojęciami akademickimi. My znaliśmy tylko jeden stan: brak snu.

Tracy kołysała się z Tess na piłce do ćwiczeń w nogach naszego łóżka. Próbowala ukoić tajemniczy ból czy lęk, który wywoływał ten narastający, regularny płacz. Tu powinienem zrobić przerwę - i będzie to moja jedyna rada dla młodych rodziców. Piłka do ćwiczeń jest waszym najlepszym przyjacielem. Macie Supernianię? Brawo. Jeśli o mnie chodzi, może być samą Mary Poppins. Dajcie mi piłkę do ćwiczeń i wasze marudzące dziecko. Elastyczność tego przedmiotu i zakres ruchów, które można na nim wykonać, wzbudzają prawdziwy podziw. W górę, w dół, na boki, kołysanie, podskoki i huśtanie - o czym tylko pomyślicie. Można ją wozić samochodem, turlać z pokoju do pokoju i zmieniać widoki. To tylko gumowa piłka, a jednak cadillac w świecie bujanych foteli. Co więcej, pomaga zachować sprawność, przynajmniej fizyczną, podczas gdy dziecko miazdzy waszą psychikę. Zainwestujcie w taką piłkę. Uwielbiajcie ją. Przytulajcie ją w nocy i mówcie, co do niej czujecie.

Ale tym razem piłka nie pomagała.

- Może ja ją wezmę - powiedziałem do Tracy i wstałem z łóżka.

Staralam się mówić pewnym, nawet nonszalanckim tonem, ale mój głos nie zdał egzaminu. Brzmiał równie spokojnie, jakbym prosił Tracy, żeby wrzuciła mi do wanny przewód pod napięciem.

Uformowałem kołyskę z ramion, by małą bezpiecznie przejąć, choć nie jest to najlepszy czasownik. Nie potrafiłem sam po nią sięgnąć. Nikt nie chce, żeby go przejmował niewidomy. Chyba że też chce stracić wzrok.

Tracy się uparła, że uspokoi Tess, i zmieniła taktykę. Zaczęła chodzić w kółko po pokoju i powtarzać kojące słowa. Ja usiadłem, udając, że koi mnie.

Trudno było się schronić przed płaczem, nawet jeśli Tess akurat nie wyrażała jednej z licznych, konsekwentnie odmiennych emocji. Dziecięce łkanie naznaczyło nasze błony bębenkowe. Efekt był upiorny. Kiedy Tess nie spała, wciąż mi się wydawało, że słyszę jej kwilenie w szumie wentylatora albo w pomruku lodówki. Czegoś podobnego doświadczyłem razem z kumplami w liceum, gdy spróbowaliśmy LSD. Pamiętam, że gadaliśmy do ogniska, a menu w naszej ulubionej kafejce udzielało mi porad. Teraz słyszałem głos Tess w wietrze i ścianach.

Tracy huśtała małą coraz mocniej i szybciej. Oddałem się rozmyśleniom. Jest to ostatnia deska ratunku dostępna młodym rodzicom, aczkolwiek dosyć zawodna. Równie dobrze można by się schować pod ławką na wypadek wybuchu bomby atomowej.

Zacząłem myśleć o innych znanych mi rodzicach. A konkretniej o tym, skąd się wzięły obce istoty żyjące wśród nas oraz kim są mamusie i tatusiowie, którzy zawsze znają wiek swojego dziecka równie dokładnie jak Rain Man liczbę wykałaczek.

- Oj, nie wiem - mówią niedbale. - Gdybym miał strzelać, to powiedziałbym, że nasz mały Chewbacca ma jakieś czterdzieści trzy dni. I jedenaście godzin.

Nie wiem, jakie plany kolonizacyjne żywią wobec naszej planety, ale niech szlag trafi ich samych oraz ich zaawansowane zdolności matematyczne. Uznałem, że skoro potrafią to określić tak precyzyjnie, to pewnie mają nianię na strychu i pediatrę w piwnicy. Jak również dodatkową półkulę mózgową.

Problem w naszej sypialni narastał. Tracy zaczęła otwartym tekstem błagać Tess o litość. W odpowiedzi Tess postanowiła zbadać wpływ tarcia na ludzką krtkań. Skończyła jeść nieco ponad godzinę wcześniej, więc oficjalnie dryfowaliśmy teraz po najmroczniej szych wodach wzburzonego morza między karmieniami, gdzie nie obowiązuje żadne prawo.

- Mówię serio, daj mi spróbować - powiedziałem. - Wezmę ją na dół. Może uda ci się zasnąć choć na chwilę.

- Niemożliwe, żeby była głodna - stwierdziła Tracy. - Jadła raptem dziesięć minut temu.

- Dziesięć minut?

- Może jest jej za gorąco?

- Możliwe. A jeśli to już ząbkowanie?

- Nie wiem - mruknęła Tracy. - Wątpię. Skok rozwojowy?

Szeptaliśmy, jakby w obawie przed wybudzeniem Tess z napadu hysterii.

- A może ona ma wzdęcia? - dorzuciłem.

Wzdęcia to ulubione wytłumaczenie pokonanych. Równie dobrze mogłem zasugerować, że Tess opętali bogowie albo wściekły wyjec. Wszystkie niezrozumiałe zjawiska da się zwalić na wzdęcia. To ostatnia instancja, pozwalająca przynajmniej na odrobinę wytchnienia od beznadziejnych spekulacji.

Nie żebym się już stał prawdziwym rodzicem. Moim zdaniem tytuł rodzica zdobywa się dzięki stanowczemu wygłaszaniu zdań w stylu: „Nie wpychaj tam palca” albo „Ostatni raz mówię ci, żebyś nie wpychał tam palca”. Piątego - a może jedenastego - dnia czułem się raczej jak początkujący mechanik ze stacji benzynowej, a nie jak ojciec. Kiedy Tess leżała na przewijaku, stałem nad nią, drapałem się po podbródku i serwowałem teorie na temat tego, co się dzieje.

- Może chodzi o skarpetki. Może jej przeszkadzają.

- Opatulania też nie lubi - podpowiadała Tracy.

- Fakt.

Drap, drap. Miałem ochotę wytrzeć czoło jarmułką, której nie posiadałem.

- Moim zdaniem to wzdęcia.

Tracy się ze mną zgadzała. Czemu nie?

- Jasna sprawa. To zawsze mogą być wzdęcia.

- No dobra - mówiłem w końcu, podwijając rękawy. - Odwróćmy ją i zobaczmy, co robi.

Sytuacji w naszej sypialni nie dało się odwrócić. Tracy przyznała się w końcu, że musi iść spać, i oddała mi dziecko. Poczulem ciężar Tess w swoich ramionach. Po chwili usłyszałem pstryknięcie kontaktu. Moja umęczona dziewczyna wczołgała się z

powrotem do łóżka. Moja córka ze zdwojoną determinacją zaczęła się wiercić w przypiływie niezadowolenia.

Małeńki tobolek w moich ramionach stanowił prawie cały dostępny mi obraz naszej córki. Tess była dla mnie połączeniem ciężaru i ruchu. Resztką widzenia w prawym oku nie wystarczała, żebym zobaczył całą twarz małej. Czasami dostrzegałem fragment skóry, a w dobrym oświetleniu -kącik oka albo pasemko włosów. To wszystko. Nie rozpoznawałem własnych rysów ani rysów Tracy w genetycznym równaniu kształtów i cieni, składającym się na twarz kogoś o imieniu Tess. Musiałem sobie przypominać, że to moja córka. Nienaturalna perswazja. W efekcie traciłem coś jeszcze. Niewidziana twarz nie pozwalała nam stworzyć więzi, jakbyśmy oboje nie chcieli się przed sobą odsłonić. Nie twierdzę, że ślepotą uniemożliwiała miłość, ale własne ciało ograniczało mnie w byciu ojcem - takim, jakim chciałem być.

Z tego właśnie powodu uwierały mnie radość i fascynacja Tracy, która potrafiła całymi godzinami - w chwilach spokoju - wpatrywać się w buzię Tess.

- Coś niesamowitego - mówiła. - Widzieć nas oboje w dziecku. W twarzy naszego dziecka.

Tracy zawsze robiła wszystko, żeby mnie wtajemniczyć, pozwolić mi doświadczyć tego, co było jej udziałem, czyli odkrywania naszej wspólnej obecności w innym ciele. Ale słowa zawodziły. Słowa nie wystarczą. Żadne czary nie pozwalały na pełne utożsamienie się z dzieckiem. Jak dotąd - a bałem się, że już na zawsze - moim pierwszym obrazem Tess był ciężar, który czułem w ramionach, zapach jej włosów i dźwięk. Obraz dziecka, a nie mojej dziewczynki. Nic nie mogło mnie pocieszyć.

Nic też nie mogło pocieszyć Tess.

W sypialni jej wściekłość tylko narastała. Głos rozdzierał jej gardło, więc zesliśmy szybko na dół, zwalniając w połowie drogi. Podobnie jak wszystkie inne dzieci Tess miała swoje upodobania, które można było odkryć tylko przez przypadek. Czasami uspokajała ją zamknięta przestrzeń klatki schodowej. Może chodziło o echo

albo po prostu odgłosy kroków. Tak czy inaczej, to miejsce w naszym domu często zajmowało ją na tyle, że mogła złapać dech, czyli wystarczająco długo, żeby jej ciało przypomniało sobie, jak to jest się uspokoić. Wypróbowaliśmy tę technikę.

Żadnej zmiany w natężeniu ryku. Może trzeba poczekać albo jeszcze kilka razy zbiec i wbiec po schodach. Spróbujmy.

Moja taktyka schodowa opiera się na przekonaniu, że noworodek to coś więcej niż dziecko. Noworodek to również sprawny wynalazca. Przekształca najzwyklejsze domowe przedmioty w fascynujące gadzety godne opatentowania. Myśleliście, że macie schody, a tymczasem to nie zwykłe schody, tylko niezła frajda. Odkurzaczy, plastry, suszarka, łyżki, wasza podomka i opakowanie mrożonego groszku - nic nie jest już tym, czym było dawniej. Każdy przedmiot - przypadkowo wydawane przez niego dźwięki i możliwe ruchy - zamienia się w potencjalną zabawkę, która może uspokoić dziecko. Opracowaliśmy nawet nowy sposób zastosowania żaluzji.

Klatka schodowa nie zadziałała, więc ruszyliśmy w stronę następnego przystanku na szlaku uspokajania: Graceland. Tak jest, Graceland. Mógłbym spekulować na ten temat, ale kto potrafi wyjaśnić, skąd się biorą różne rzeczy? Kilka nocy wcześniej Tracy wypróbowała stary gramofon. Chciała sprawdzić, czy muzyka okiełzna demony Tess albo jej niestrawność, złe samopoczucie czy cokolwiek to było. Postanowiliśmy nie używać jeszcze słowa „kolka”, ale mieliśmy je już na końcu języka. Baliśmy się, że jeśli je wypowiemy, pojęcie stanie się faktem, a prawdziwa kolka potrafi długo dawać w kość. Pomyślcie: jeśli człowiek w ogóle nie śpi, dzień wydłuża się dwukrotnie. A to dopiero początek. Kiedy rodzice mówią, że ich dziecko płakało przez godzinę, tak naprawdę oznacza to pięć minut. To kolejna martwa strefa. Dzieci, zwłaszcza te płaczące, zakrzywiają czas. Wydłużają go, akurat gdy człowiek najbardziej chciałby go skrócić.

Tak się złożyło, że chociaż był już luty, gramofonu nie włączaliśmy od grudnia. Wtedy igła opuszczona po raz pierwszy przez Tracy trafiła na świąteczną składankę Elvisa Presleya. Tess natychmiast umilkła. Podobno nawet się uśmiechnęła. Oczywiście to mogły być wzdęcia. To zawsze mogą być wzdęcia.

Nie zawracałem sobie głowy włączaniem światła w salonie - typowe zachowanie, pomocne, kiedy chciało się ponownie uśpić Tess. Niewidomi rodzice mają przynajmniej jedną przewagę nad innymi. Wymacałem gramofon i odczekałem, aż Król przebudzi się z winylowego snu.

Tess przestała płakać i zaczęła nasłuchiwać. Cisza i pierwsze takty piosenki Blue Christmas brzmiały tak słodko. Muzyka oczyściła powietrze, a głos Elvise wprowadził porządek w miejsce chaosu. Pomyślałem, że Tracy będzie mnie kochać wiecznie, i wyobraziłem sobie uśmiech na nieznannej twarzy dziecka.

I wtedy Tess wybuchła z wzmożoną furją, jakby dodatkowo wkurzyła ją moja oszukańcza próba uspokojenia jej. Jakby chciała powiedzieć: „Co? Myślałeś, że wystarczy mi jedna głupia płyta?”.

Wciąż dysponowałem resztą arsenału, więc usadziłem Tess w foteliku, po grzechotałem grzechotkami i zapiszczałem piszczącymi zabawkami. Wypróbowaliśmy całą serię przysiadów oraz kroków astronauty (z efektami dźwiękowymi), ale nic nie działało. Później można się pocieszać, że któregoś dnia wprowadzi się dziecko w świat wielkiej literatury oraz zaprezentuje mu się dania według przepisów tysiącletnich kuchni. Na razie trzeba udawać małpę, jeśli tego wymaga sytuacja.

Moja wersja małpy wystraszyła małą jak cholera.

W końcu usiadłem na skórzanym bujanym fotelu, który nazwałem Wielkim Fotelem Piosenkowym.

Tracy odkryła działanie Elvise, ale ja wymyśliłem inną sztuczkę i zachowałem ją jako metodę ostatniej szansy, dobrą właśnie w takiej sytuacji. Zauważyłem, że Tess się uspokaja, kiedy tylko śpiewam jej rozdzierające numery bluesowe. Im bardziej rozdzierające, tym lepiej. Zwłaszcza ponure ballady o ludziach przygotowujących się na śmierć albo składających do grobu ukochaną osobę, która ich zdradziła, a potem zmierzających na własną egzekucję, spotykały się z ciepłym przyjęciem. Czyż mogłem odmówić córce prawa do mrocznej, skomplikowanej osobowości? Jej upodobania były nieco niepokojące, ale my nie ponosiliśmy za to odpowiedzialności. Przecież nie puszczaliśmy takich kawałków w sąsiedztwie brzucha ciężarnej Tracy,

na wzór niektórych rodziców katujących dzieci Mozartem. Teraz każdy chce wychować Einsteina i za pomocą głośników przeprowadza psychologiczne eksperymenty na macicy, traktując ją jak kryjówkę generała Noriegi. Nic dziwnego, że nasze pokolenie jest chirurgicznie przywiązane do swoich iPodów.

Na górze Tracy przewracała się z boku na bok. Nie zwlekając, zaintonowałem wypróbowaną piosenkę. Tess kilka razy pozwoliła, żebym przez godzinę śpiewał jej numer Sam Stone Johna Prine'a. Coś w tej historii weterana wojny w Wietnamie działało na jej wyobraźnię. A może po prostu lubiła fragment: „W dłoni taty jest dziura, przez którą ucieka forsa”. Zacząłem śpiewać niskim, cichym głosem, a słowa „szrapnel” i „morfina” przeciągałem nawet specjalnie, żeby zrobić jej przyjemność.

Z lepszą reakcją spotkało się udawanie małpy.

Podczas gdy ja śpiewałem, Tess wzięła kolejną oktawę i weszła na wyższy stopień intensywności wrzasku. Zwinęła się z wysiłku, a jej schrypnięty głos zamienił się w śmiertelne rżenie. Oddechy wybuchały bezgłośnie. Powietrze drapało jej krtań tak jak papier ścierny drapie szorstkie drewno. Pociła się. Wyobraziłem sobie czerwień, czerwoną twarz, jakbym mógł zobaczyć kolor jej emocji.

Ostatnią rzeczą, jaką mogłem jej zaproponować, był smoczek. O ile go znajdę. Dla wzmocnienia efektu zwykle zanurzaliśmy go w lekarstwie na kolkę, ale nie wiedziałem, gdzie stoi butelka ani nie znałem jej kształtu na tyle dobrze, żeby rozpoznać ją wśród innych. Nie chciałem też prosić Tracy, żeby ją przyniosła. Chciałem poradzić sobie sam. Musiałem. To normalne, że ojcowie dają dzieciom smoczek. Ślepi ojcowie też powinni to umieć.

Przegrzebywałem szufladę w pokoju Tess, aż moja ręka trafiła na miękki, gumowy kształt. Kiedy mieliśmy już wyjść i wrócić do salonu, zawiodła mnie orientacja w terenie. Może podczas poszukiwań obróciłem się zbyt szybko albo zbyt wiele razy. Tak czy inaczej, nie miałem teraz pojęcia, gdzie są drzwi, więc spadłem z mojej mapy.

Ślepotą nauczyła mnie w pokonywaniu przestrzeni opierać się wyłącznie na pamięci. Nawet we własnym domu. W ten sam sposób poruszają się szczury. Ich ruchy z czasem stają się wzorami, które zapamiętują mięśnie, a nie umysł. Jeśli

szczur obiega konkretną ścianę w drodze do pożywienia, a ściana zostanie usunięta, nadal będzie ją obiegał. Szczury tworzą mapy duchów nieistniejących już budynków. Ja chodzę podobnie po moim domu. Przyzwyczailem się do różnych zakrętów i czasu ich pokonywania. Dlatego, jeśli poruszam się zbyt szybko albo pod niewłaściwym kątem, mogę się autentycznie zgubić. Nie mieszkam w przestrzeni, tylko w nawyku.

I właśnie z tego powodu, wybiegając przez drzwi z Tess i jej smoczkiem, uderzyłem w futrynę. Swoim ramieniem i główką Tess. Usłyszałem dźwięk przypominający walenie młotkiem w drewno.

W tym momencie dowiedziałem się, jak moja córka płacze z bólu. Myślałem, że już to wiem, ale nigdy wcześniej nie słyszałem czegoś podobnego. Być może po raz pierwszy poczuła ból z zewnątrz. Nie dało się jej pocieszyć. Mnie też.

Żar w mojej czaszce zapłonął najjaśniejszym i najgorętszym ogniem. Nagle zrozumiałem, czego dotyczył mój strach. Tess, której nie mogłem uspokoić, była uosobieniem najstraszniejszego bólu, jaki kiedykolwiek będzie mi dane poznać, jeśli tylko coś jej się stanie, i to, co gorsza, z mojej winy. Fakt, rodzice żyją w stałym, choć lekkim niepokoju, ale wypełniająca nas miłość składa się też z przerażenia. Nie bałem się Tess, bałem się mojej miłości do niej. Pewnego dnia ta miłość mogła mnie zranić, na pewno mnie zrani, więc uciekałem przed nią, przerażony, kierowany instynktem samozachowawczym. Ta miłość mnie poraziła. No i wstydzilem się, że w taki właśnie sposób ją przyjmuję.

- Przepraszam, tatuś bardzo przeprasza - zapewniałem, kiedy usiedliśmy na kanapie.

Oczywiście Tess nie mogła mi powiedzieć, że nic jej się nie stało. Nie mogła mi też wybaczyć. Oboje czuliśmy ból krążący po naszym ciele i na próżno szukający wyjścia. Opanował mnie smutek. Nie mogłem się pozbyć myśli, że skrzywdziłem własne dziecko. Nieważne, że to był przypadek - ja byłem jego przyczyną. Moja ślepotą dała mi mały przykład tego, co mogę zrobić córce i samemu sobie w roli ojca.

Usłyszałem, jak Tracy wstaje z łóżka, gotowa do interwencji.

- Wszystko w porządku, skarbie! - krzyknąłem. - Wracaj pod kołdrę.



Położyłem sobie Tess na kolanach, próbując poskromić jej wierzganie. Nie widziałem ust, w które trzeba było włożyć smoczek, więc moje palce ostrożnie dotknęły jej twarzy i zaczęły szukać warg. Jak małe pajęczki.

- Ciii, gdzie masz usta, bączku? Nie ruszaj się, tata bardzo by chciał, żebyś przez chwilę leżała spokojnie.

Ale Tess wierzgała dalej, a ja zanadto się bałem, że coś jej zrobię, żeby wcisnąć jej smoczek do buzi.

- Proszę, bączku - błagałem. - Proszę, pomóż tacie. Moje palce ponownie ruszyły w poszukiwaniu zarysu ust. Tess miotła wściekle głową. W końcu mały palec trafił na coś wilgotnego. Cofnąłem go, pewien, że dźgnąłem oko. Mała się trzęsła i wyła. Uplęła chwila, zanim odważyłem się ponownie jej dotknąć.

Od tej pory nie wyczuwałem już żadnych różnic. Twarz małej nie miała rysów. Ocierała się o moją dłoń i płakała. Nagle musnąłem skórę i rozpoznałem podbródek. Wznosił się lekko nad krągłością szyi. Delikatnie chwyciłem usta Tess kciukiem i palcem wskazującym, żeby utrzymać je w bezruchu. Potem szybkim ruchem spróbowałem wcisnąć tam smoczek. Tracy zawołała mnie z góry. Miałem mało czasu, a moja potrzeba wykazania się rosła ponad miarę.

Kiedy wykonywałem ten gest, Tess gwałtownie mi się wyrwała, więc dziabnąłem ją smoczkiem w policzek. Albo w skroń. Albo jeszcze gorzej. Pod wpływem bólu Tess wpadła w histerię. Wepchnąłem jej smoczek w twarz. Smoczek upadł na podłogę. Za każdym razem wściekłość małej rosła. Za każdym razem każde z nas cierpiało jeszcze bardziej.

Na schodach zastukały kroki Tracy. Usłyszałem zbliżające się ciężkie westchnienia. W końcu podniosłem smoczek i przytrzymałem go nad twarzą Tess. Ostatnia próba. Smoczek kontra dziecko. Dziecko kontra mężczyzna. Jakim cudem coś tak miękkiego i małego może wzbudzać tyle lęku? Przytuliłem Tess. W przyływie miłości i skrajnej frustracji wolną ręką podniosłem smoczek, zamarkowałem celowanie i ciach! prosto w usta Tess.

Udało się. Strzał w dziesiątkę.

Tess wypluła smoczek.

- Niech to szlag.

Tracy weszła do pokoju i wzięła ode mnie małą.

- Próbowalesz dać jej smoczek? - spytała.

- Chyba nie chce smoczka. Wiesz, wpadliśmy na drzwi. Potem nie mogłem znaleźć jej ust i wsadzić smoczka i...

Tracy zapewniła mnie, że Tess nie wygląda na uszkodzoną. Widziała, że czuję się niezdarny i niebezpieczny. Nie było łatwo. Tracy padała z nóg. Była wykończona bezustannym zajmowaniem się Tess. Czasami pewnie sama uważała mnie za niezdarę i zagrożenie dla dziecka. Ale teraz, tuż przed świtem, w obliczu wszystkich moich ograniczeń, zapewniła mnie, że w końcu zacznę sobie z tym wszystkim radzić, że będzie łatwiej. W ciągu kilku minut Tess zasnęła w jej ramionach.

Przez kilka następnych dni usilnie starałem się nazwać i rozwiązać problem braku więzi z dzieckiem. Prawdziwa łamigłówka. Może czułem to, co powinienem był czuć. Istniała taka opcja, choć ani trochę mi się nie podobała. Gdzie ta oszałamiająca radość? A jeśli prawdziwą miarą związku był właśnie ten wysiłek i niepokój, z jakimi się zmagalem przez pierwsze tygodnie? Może ma to większy sens z ewolucyjnego punktu widzenia. Lepiej zachować ostrożność niż obnosić się z nieprzytomnym szczęściem, podczas gdy małe pożera puma. Miałem wrażenie, że jestem aktorem, naśladowcą, kimś, kto nie czuje się dobrze obsadzony w roli ojca. Potem przyszło mi do głowy, że problem nie polega na utożsamieniu się z Tess, tylko z sobą samym jako rodzicem. Psychologiczna kostka Rubika nie przestawała się obracać. Niewykluczone, że odpowiedź była dużo bardziej oczywista, tylko bałem się do tego przyznać. Po prostu byłem dupkiem. Ot i cała zagadka.

Pewnego dnia wszedłem do salonu i zastałem tam Tracy nachyloną nad Tess. Robiła małej zdjęcia aparatem cyfrowym. Tess wyciągnęła się na białym kocu pokrywającym kanapę, pogodna wśród poduszek. Nie wiem, czy to był pomysł Tracy, czy mój, ale pamiętam, że usiadłem z aparatem w dłoni, starając się zobaczyć twarz Tess na małym wyświetlaczu. Bez skutku. Ujrzałem tylko białe pole, a nad nim coś ciemnego i kilka kresek jak suche gałęzie na śniegu. Jedna z nich przypominała kształtem usta.

- Nie, nic nie widzę - mruknąłem ze złością i oddałem Tracy aparat.

Moja żona wcisnęła kilka guzików i zmniejszyła obraz. Potem umieściła moje palce u dołu, pod pikselami przedstawiającymi coś Tessopodobnego.

- Widzisz? - spytała. - Tu są jej usta, a tu - dodała, przesuwając mój palec - lewe oko. Widzisz?

Namierzyłem czubek palca, spojrzałem nieco wyżej i prześledziłem drogę między wskazanymi przez nią punktami. Tam i z powrotem. Mój mózg zaczął wypełniać brakujące miejsca, co z kolei pozwoliło mi dostrzec znaczenie innych linii i plam cienia otaczających to, w czym ujrzałem wreszcie małe usta. I podbródek. A teraz oko. Podbródek i usta zobaczyłem jednocześnie, oko po chwili.

- Obraz nadal jest dla mnie za duży.

Ograniczone widzenie wymaga, żeby świat skurczył się do rozmiaru, który możemy ogarnąć. Tylko proszę niczego nie powiększać. Tracy zrobiła Tess kolejne zdjęcie, tym razem z większej odległości, a potem następne, z jeszcze większej. I znów opisała mi twarz na wyświetlaczu, a mój mózg ponownie zebrał rozsypane konfetti. W mojej głowie formował się coraz wyraźniejszy obraz. Potrzebowałem jednak jeszcze mocniejszego zmniejszenia. Gdyby Tracy zrobiła zdjęcie z jeszcze większej odległości, byłoby ono nieostre, a twarz Tess zniknęłaby kompletnie wśród pikseli.

Jeśli chciałem ją złapać, pozostała mi jedna strategia. Musiałem się odsunąć.

Przytrzymałem aparat na odległość ramienia i wbiłem wzrok w maleńką plamkę twarzy. Była wielkości drobnej monety. Udało mi się ogarnąć wzrokiem pół twarzy. I zobaczyłem ją. Po prawie dwóch miesiącach od jej narodzin, pierwszy raz zobaczyłem twarz mojej córki.

Wyglądała jak Tracy i jak ja - choć własną twarz pamiętałem słabo. Ale nie tylko. Wyglądała... nie wiem, jak to ująć... jak Tess.

Mgła się uniosła. Przeszył mnie prąd. Każda cząsteczka mojego ciała rozświetliła się i ułożyła we właściwym miejscu. Poczulem przyływ mocy. Oplatały mnie więzy, jakich dotąd nie znałem. Ten żar w mojej czaszce, mój lęk, stał się nagle znośniejszy. Miałem córkę, nie dziecko, abstrakcję czy białą plamę w mojej wyobraźni. Nie

urodziłem się ślepy, więc zachowałem tamtą starą architekturę poznawczą osoby widzącej, jak również jej potrzeby. Musiałem zobaczyć Tess, choćby jeden raz. Musiałem mieć w głowie jej obraz. Nasz obraz.

Pewnie to kolejna ślepa plamka.

W drodze

Kiedy miałem dwanaście lat, a moje rodzeństwo mniej niż pięć, nasi rodzice kupili srebrną furgonetkę Chevroleta. Był to luksusowy model: tapicerka ze sztucznej skóry, wygodne fotele, przyciemniane szyby, wykładzina, a z tyłu - rozkładane łóżko. To nie był ekstrawagancki zakup, tylko rozsądna rodzicielska infrastruktura. Zrozumcie, moi rodzice potrzebowali pokoju do zabaw na kółkach, a nie samochodu. Mieli czwórkę dzieci. Czwórkę. Większość ludzi nie poradziłaby sobie z tyloma kuflami piwa.

Siedząc za ojcem, udawałem czasami kierowcę, wyobrażając sobie, że pewnego dnia odziedziczę rodzinną furgonetkę. Mógłbym ją wtedy podrasować, a na drzwiach namalować scenę bitwy z Conana Barbarzyńcy. Albo nagą kobietę. Albo Conana z nagą kobietą, z tyłu naszego auta. Jednak wszystkie te marzenia trafił szlag, razem z moim wzrokiem i prawem jazdy.

Przez większość czasu moje rodzeństwo i ja kotłowaliśmy się zażarcie, walcząc o miejsce na dwóch wygodnych siedzeniach. Kłótnie i obelgi przerywał dopiero wybuch ojca. Wiedzieliśmy, że już po nas, kiedy ojciec ryknął swoje ulubione: „Zamkniecie się wreszcie wszyscy czy nie, do jasnej cholery?!”. Czasami w zdaniu pojawiała się jeszcze „psiakrew”, ale nie pamiętam gdzie.

Taki był rytuał naszych podróży. Wyjątek stanowiły wieczorne powroty do domu. Te wyglądały zupełnie inaczej. Tata puszczał płytę Johna Denvera albo Aqualung zespołu Jethro Tuli. My zasypialiśmy po kolei na podłodze, jak czwórka pokonanych żołnierzy, ułożonych jeden na drugim na wykładzinie. Pasy? Jakie pasy? Jedno z najprzyjemniejszych uczuć, jakie zna moje ciało, to moment zasypiania, podczas gdy rodzice prowadzą nas przez noc. Mówiłem już, że to był rozsądny zakup.

Kierowani nostalgią postanowiliśmy zabrać pięciodniową Tess na pierwszą wyprawę. Jej cel stanowiła Wyspa Vancouver, gdzie miałem wygłosić wykład. Może

to za daleko dla wciąż małego jeszcze dziecka, ale ze wschodniego Vancouver do Victorii jedzie się raptem cztery godziny, co dla dziecka oznacza dwie drzemki i jeden okres aktywności. Całkiem znośne proporcje.

Kiedy zostałem pisarzem, zacząłem mierzyć świat słowami. Jako palacz używałem do tego papierosów. Czterogodzinna wycieczka oznaczała pół paczki albo tysiąc pięćset słów prozą. Teraz, będąc ojcem, postrzegałem dzień jako harmonogram występów i chwil odpoczynku dziecka. Jednostki matematyczne się zmieniły, ale matematyka nie kłamie. Obliczenia dla naszej podróży były korzystne i wszystko zapowiadało spokojną, miłą wycieczkę.

A jakże.

Kiedy Tracy przypięła fotelik, Tess się rozplakała. Uznałem, że to normalne. Nikt na tym świecie nie lubi być przypięty. Tracy powiedziała mi, że Tess wcisnęła rączki pod pasy i szarpała nimi jak więzień kratami. Zdążyła się rozkręcić, jeszcze zanim zjechaliśmy z krawężnika. Protestowała przeciw niesłusznemu osadzeniu. Albo czemuś innemu.

W sumie był to zupełnie standardowy początek. Do tej pory jeździliśmy tylko na krótkich trasach i Tess nie była nimi zachwycona. Należało się spodziewać marudzenia na początku. Zakładaliśmy też, że w końcu mała się przyzwyczai. Wsłucha się w pomruk silnika, a przejażdżka wprowadzi ją w głęboki, przedwieczny sen, właściwy tylko dzieciom jadącym samochodem. Cóż innego mogło się zdarzyć?

Zdarzyły się korki. Koszmarne.

Tracy wychowała się na preriach, mając do dyspozycji długie, puste drogi. Ja dorastałem na przedmieściach. Z końca naszego zaułka można było rzucić kamieniem wzdłuż ulicy i nie drasnąć nawet samochodowej szyby. Trudno, pomyślałem. Ale teraz, na trzecim czerwonym świetle, stało się jasne, że wizja samochodu, który usypia dzieci, była wyłącznie projekcją krajobrazów naszego dzieciństwa. Albo nieuzasadnioną plotką.

- To nie jest normalny korek - stwierdziłem. - Trafiliśmy na jakąś czerwoną falę czy co?

Mój głos z trudem przebijał się przez wycie Tess. Potrzebowaliśmy długiego odcinka niczym niezakłóconej jazdy, żeby ją uspokoić, więc korek stał się podstępny wrogiem. Skrzywiłem się, obcy w obcym kraju. Przyśpieszyliśmy, a potem już się nie dało.

- Czemu stoimy? - zapytałem. Nie mogłem w to uwierzyć. - Nie pamiętam, żeby tu w ogóle były światła. A może... gdzie my, do cholery, jesteśmy?

Tracy była zajęta śpiewaniem i uspokajaniem Tess. Nie podała mi naszych współrzędnych między zwrotkami Wlazł kotek na płotek.

- To nie jest Vancouver - myślałem na głos. - To piekło.

- Nie rozumiem. Mamy wtorek - zauważyła Tracy.

- Czyli w piekle zawsze jest wtorek. Wtorek i czerwone światło.

Przyśpieszyliśmy na moment, a potem znów stanęliśmy. Tess wyła nadal, więc Tracy dała jej spokój i zajęła się wyszukiwaniem drogi przez korek. Niezależnie od prędkości, strategii, choreografii przejazdów i apelowania do Boga oraz sąsiednich samochodów, sytuacja się nie zmieniała. Utkwiliśmy w korku i Tess o tym wiedziała. Płakała, aż zachrypla. W końcu poczułem, że nabieramy prędkości. Powróciła nadzieja.

- Zabawne, że dzięki Tess stanie na czerwonym świetle wydaje się dłuższe - stwierdziła Tracy.

- Mało zabawne.

Musnęła lekko hamulce, żeby uśpić małą kołysaniem. W końcu znowu się zatrzymaliśmy.

- Nie, żadnego stawania - zaprotestowałem. - W zeszłym tygodniu nie było tu światła. To nie może być Vancouver.

Ośrodki bólu w moim mózgu nabiegły krwią. Torturowaliśmy naszą córkę, zamiast zabrać ją na idylliczną wycieczkę. Martwiłem się też, że w każdej chwili mogę ogłuchnąć. Tracy zawsze mnie ostrzegała, że wykorzystałem już cały przydział niepełnosprawności w naszym małżeństwie i jeśli stracę jeszcze choćby koniuszek palca, natychmiast się ze mną rozwiedzie. Nawet jeśli będzie to musiała zrobić we wtorek, na pierwszym biegu.

- Boże - jęknęła przy kolejnym postoju. - To bez sensu.

- Może po fakcie napiszę coś o naszej pierwszej przejażdżce samochodem - powiedziałem z udawanym optymizmem.

- Co takiego?

Wyobraziłem sobie rozdział składający się wyłącznie ze słów: „płacz” i „postoje”. Był bardzo krótki. Zignorowałem pytanie Tracy i zacząłem się bawić klapą wentylatora.

Tracy siedziała z jedną ręką na kierownicy. Ostatnie dziesięć skrzyżowań przejechała w kontrolowanym półobrocie, ponieważ drugą ręką uspokajała Tess, poprawiała smoczek i wstrzykiwała małej do ust wodę koperkową na kolkę. Sądząc z zapachu, wiele razy nie trafiła do celu. Wyglądało na to, że Tess nieodwracalnie przeszła na stronę Zła.

- Może powinniśmy po prostu wrócić do domu - zaproponowałem. - Chyba to nie był dobry pomysł.

Tracy nie odpowiedziała. Trudno mi było zinterpretować jej milczenie, więc próbowałem dalej:

- Jasne, wiem, że w końcu przestanie płakać. Ale nie chcę, byś myślała, że musisz jechać, jeśli nie chcesz jechać. No wiesz.

Czekały nas jeszcze trzy godziny jazdy. Usiłowałem przegonić strach z mojej twarzy, chociaż Tracy była zbyt zajęta, żeby się zastanawiać nad moim wyglądem czy samopoczuciem.

Przyszło mi do głowy, że mogę odwołać wykład. Powiedziałbym, że mam chore dziecko albo coś w tym stylu. Nikt by się nie czepiał. Rezygnacja z wyprawy pasowała mi jeszcze z kilku innych powodów. Nawet w sprzyjających warunkach nie lubię podróżować samochodem. Ślepotą już dawno temu pozbawiła mnie przyjemności z jazdy. Wyobraźcie sobie faceta, który od dziesięciu lat nie biegał, nie skakał ani nawet się nie śpieszył. Ktoś taki musi się czuć paskudnie, kiedy mknie przed siebie przypięty pasami. Moje życie jest w cudzych rękach, te ręce trzymają kółko, a dobrym intencjom tych rąk grozi przez cały czas niewidzialny sznur innych mknących pojazdów. Wszystkich nas zaś chroni jedynie jakieś wątle: „Hej, umówmy

się, że ta żółta linia coś oznacza". Dajcie spokój. Wolę wrócić do domu. Albo płakać, kiedy przypniecie mnie pasami.

Każdy postój, każdy zakręt to zaskoczenie. Kolejna trauma. Mówię tu o najbardziej rutynowych manewrach. Niewidomy ma znikome pojęcie o tym, co się przed nim dzieje. Świat jest nieprzewidywalny i gwałtowny, nawet jeśli samochód zatrzymuje się powoli. Nigdy nie jestem na to gotowy. Nigdy nie jestem gotowy na początek i koniec, choćby to dotyczyło całkiem zwykłych rzeczy. W naszym samochodzie słychać syk wiatru, kiedy wciągam powietrze przez zęby, i uderzenia mojej dłoni o deskę rozdzielczą, kiedy przygotowuję się do zderzenia ze zmyśloną ciężarówką, cichego upadku ze zbocza albo spokojnego „nic się nie dzieje”, które zazwyczaj ma miejsce. Niczym niemowlę przebywam w miejscu pozbawionym perspektywy. Ani ja, ani Tess nie widzimy, co nadciąga - żadne z nas nie odczytuje sygnałów dawanych przez odległość. Postrzeganie czasu i przestrzeni musi być dla Tess bolesnym i dezorientującym doświadczeniem. Wiem, że trudno się z tym oswoić.

Kiedy dojechaliśmy do autostrady, miałem ochotę prze-czołgać się do tyłu i ukoić małą, ale oboje z Tracy wiedzieliśmy, że nie jestem w stanie dawkować wody koperkowej. Nawet gdybym miał przygotowaną porcję, nie mógłbym jej wstrzyknąć tam, gdzie trzeba. Mój repertuar nie zawierał jeszcze kilku przydatnych czynności. Zresztą często sama moja bliska obecność działała Tess na nerwy.

Nie opisuję tego wszystkiego, żeby się nad sobą uzalać lub domagać się współczucia. Moja bezradność była po prostu faktem. Wielu młodych ojców mówi podobnie, lecz niestety ja nie mogłem też prowadzić samochodu, tankować benzyny ani sprawdzać mapy. Z tego powodu Tracy miała na głowie praktycznie każdy aspekt naszej wyprawy, z wyjątkiem klapy wentylatora, którą się nadal bawiłem. Tess wkroczyła już w fazę, w której tylko mama może pomóc. Wcale się jej nie dziwię. Też bym nie chciał, żeby ślepy facet okładał mnie maskotką albo kłuł strzykawką i pytał: „Teraz lepiej?”.

Mogłem się wykazać tylko pozytywnym myśleniem, więc poklepałem Tracy po udzie, lepkiem od wody koperkowej.



- W końcu się zmęczy - zapewniłem. - Nie przejmuj się.

Tracy chyba nie podzielała mojego zdania. Podobnie jak Tess.

Tess miała dopiero pięć tygodni, a to oznacza, że dopiero od pięciu tygodni byłem ojcem. Podstawowa wiedza, jaką zabrałem ze sobą na wycieczkę - razem z piłką do ćwiczeń na wypadek konieczności kołysania, dwiema walizkami, łóżeczkiem, wózkiem i całą resztą wyposażenia potrzebnego na okoliczność noclegu z dzieckiem - nie przygotowała mnie do tak wytrwałych protestów, okazała się zbyt skromna, niewystarczająca.

Nie kojarzyłem też, że słowo „niemowlę” początkowo oznaczało kogoś pozbawionego głosu. Teraz rozumiem, że człowiek, czy raczej palant, który to wymyślił, nigdy nie miał do czynienia z niemowlęciem, zwłaszcza przypiętym do fotelika samochodowego.

W końcu dotarliśmy do przystani promowej. Czekanie w kolejce nie okazało się pomocne. Pomruk silnika nie zagłuszał już co głośniejszych wrzasków Tess. Ludzie w pobliskich samochodach mogli oglądać migdałki naszej córki w pełnej krasie, więc pośpiesznie zamknęli okna. Tymczasem ja czułem się jak Marlow tuż przed wejściem na pokład. Nakręcał mnie Kurtz, zajmujący akurat tylne siedzenie.

A Tracy zaczęła tracić panowanie nad sobą.

- Cholera, to idiotyczne - warknęła. - Może jest głodna?

- Może. Mamy coś na migrenę?

- A może to, bo ja wiem, wzdęcia?

Słowo „wzdęcia” wymówiła ze stosowną rezygnacją.

- To zawsze mogą być wzdęcia - zgodziłem się. - Wzięliśmy aspirynę?

- Ja... ja po prostu nie wiem, jak jej pomóc.

Przezołgała się na tylne siedzenie, wyjęła Tess z fotelika i zaczęła ją karmić. Chwilę to trwało, ale w końcu powrócił spokój. Nerwowy spokój, wibrujący niczym mokry kieliszek wina, który dzwoni, kiedy potrze się nim usta.

W samochodzie było duszno, powietrze przesiąkło ostrą wonią koperku. Otwarłem drzwiczki, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęła Tracy. - Zamykaj. Siedzę tu goła do pasa.

Podobnie jak ona byłem wściekły, sfrustrowany i rozżalony. Słyszałem komentarze gapiów przechodzących koło naszego samochodu, więc pokazałem im swoją najgroźniejszą minę pod hasłem: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie”.

Tracy i Tess ucichły. Uznałem, że to dobry moment na wkład własny.

- Chcesz coś?

- Co na przykład? - warknęła Tracy. - Utknęliśmy w kolejce na prom.

- Może ibuprom?

- Nie mamy ibupromu. Daj spokój!

Przez całą drogę prowadziła samochód i zajmowała się Tess, robiąc dziewięć rzeczy naraz. Każde jej działanie podkreślało brak równowagi między nami i mój brak starań. Wszystko to stało w boleśnie jawnej sprzeczności z jej zdecydowaniem i cierpliwością. Wydawała się taka samotna. Chciałem powiedzieć, że wszystko się ułoży, że jeszcze będzie dobrze. Ale nie mogłem. Zdałem sobie sprawę, że nie mam do tego prawa. Nie byłem w stanie pocieszyć Tracy, bo jak dotąd pełniłem wyłącznie funkcję świadka. Milczenie między nami, ta cisza, o którą tak walczyliśmy, była nie do zniesienia.

- Myślisz czasem, że to był błąd? - spytała cicho Tracy. - Nie mówię, że tak jest, ale czy zdarza ci się tak myśleć?

Mogła mówić o naszej wyprawie, ale wiedziałem, że nie o to chodzi. Udałem, że nie słyszę. Pewnych rzeczy lepiej nie słyszeć.

Jeśli nie liczyć tych kilku minut, Tess była przez parę następnych godzin, dopóki nie dotarliśmy do hotelu. Kiedy zjechaliśmy na podziemny parking, jej płacz ucichł wraz z szumem silnika.

Uśmiechała się i kiwała główką do recepcjonistki, gdy się meldowaliśmy, potem przekonała gości w windzie, że świat bardzo jej się podoba i że nie jest to wyłącznie upajający wpływ wody koperkowej oraz wyczerpania. Nie wyjęliśmy nawet bagaży z samochodu. Poszliśmy prosto do naszego pokoju, żeby ją ułożyć do drzemki.

- Widzisz? - rzuciłem radośnie, podczas gdy Tracy otwierała drzwi. - Mówiłem ci, że się zmęczy.

Drzwi zamknęły się za nami z odgłosem przypominającym zatrząsk pasów bezpieczeństwa. Nowa cela. Tess postanowiła wypróbować styl wokalny norweskich zespołów deathmetalowych. Ich frontmeni raczej nie słyną ze swoich drzemek.

Czekało nas sporo roboty, więc zapytałem Tracy, czy jest głodna. Do tej pory wmusiliśmy w siebie tylko kilka drobiowych paluszków i to właściwie było wszystko. Wątpię, bym do słów „paluszki” i „drobiowe” musiał dodawać coś jeszcze, żeby opisać nasze samopoczucie.

- Głodna? Nie wiem - odparła Tracy, opatulając Tess.

- Możemy zamówić coś do pokoju albo iść do knajpy.

- Dokąd? - spytała Tracy. Wiedziałem, że pyta, dokąd moglibyśmy pójść z nuklearnym dzieckiem.

- No, nie wiem. Chcesz, żebym zadzwonił do recepcji i czegoś się dowiedział?

- Wszystko jedno.

- Chcesz czy nie?

Tracy nie odpowiedziała. Chodziła po pokoju i kołysała Tess. Czulem, że gdzieś w środku wie, czego chce. Miała na coś ochotę i moglibyśmy jej to załatwić. Zadzwoniłem do recepcji i zapytałem o pobliskie restauracje, takie, do których moglibyśmy pójść piechotą. Potem odczytałem listę Tracy i zapytałem ją o zdanie.

- Nie wiem - powiedziała. Na końcu obu słów czały się sztylety.

- Skarbie, musisz mi jakoś pomóc. Na co masz ochotę? Cisza.

Tracy się rozplakała.

- Czemu nie możesz sam podjąć decyzji, tylko pytasz mnie ciągle o zdanie? Padam z nóg, umieram z głodu, przez cały dzień prowadziłam samochód albo karmiłam małą, cała jestem mokra od wody koperkowej i obrzygana, a bagaże ciągle są w aucie. Wiesz, czego chcę? Chcę, żebyś wreszcie podjął decyzję! Żebyś wreszcie coś zrobił!

Wściekłość Tracy zainspirowała Tess do kolejnego ataku. W efekcie Tracy poczuła się jeszcze podłej i teraz obie nakręcały się nawzajem w rozpacz.

Pokój się skurczył. Byliśmy zamknięci w pomieszczeniu mniejszym niż okienko w moim oku. Pragnąłem zniknąć. Nie było już żadnych perspektyw. W którąkolwiek

stronę się zwrócić, wszędzie było czerwone światło. Trzeba było COS zrobić. Coś nieoczekiwanego, coś, co da Tracy chwilę wytchnienia, coś wielkodusznego, pełnego siły i współczucia. Stojąc w drzwiach i obracając w palcach wywieszkę „Serwis do pokoju”, zrozumiałem, co do mnie należy.

Wypakuję bagaże.

Chwyciłem laskę leżącą na szorstkiej kapie.

- Dokąd idziesz? - spytała Tracy.

- Daj mi kluczyki. -Co?

Może myślała, że chcę zwać albo walnąć autem w ścianę garażu.

- Idę wypakować bagaże - wyjaśniłem.

Ruszyłem przed siebie korytarzem, wymacałem guzik przyzywający windę. Czekaając na nią, wytyczałem sobie trasę po hotelu na podstawie tego, gdzie (jak mi się wydawało) byłem. Kiepsko mi to szło. Zupełnie jakbym próbował przypomnieć sobie twarz kogoś, kogo nigdy jeszcze nie widziałem. Wszystko, na co było stać moje synapsy, to abstrakcyjny ciąg skrętów, winda i kilka par drzwi. Większość z tego miała charakter subiektywny, może nawet pożyczyłem to sobie ze wspomnień o innych hotelach, po których kiedyś chodziłem. Nie miałem pojęcia, gdzie jest nasz samochód. Wiedziałem tylko, że stoi gdzieś na dole.

W windzie przebiegłem palcami po dwóch rzędach płaskich, nieoznakowanych guzików. Wcisnąłem ten na samym dole. Rozległ się alarm. Gorączkowo wciskałem inne guziki, dopóki alarm nie przestał wyc. Zanim winda zjechała w końcu na dół, odwiedziłem kilka wyższych pięter. Nikt chyba nie zauważył niewidomego faceta jeżdżącego sobie w górę i w dół.

Chcąc zwiedzić nieznane terytorium, takie jak pralnia, schowek czy hotelowe lobby, osoba niewidoma powinna przyjąć punkt widzenia architekta. Trzeba się posługiwać intuicją, żeby znaleźć drzwi, ściany i przeszkody w postaci mebli. Są też wystawy jajek Faberge - nawet mi o nich nie przypominajcie - oraz całe mnóstwo banalnych niespodzianek, takich jak kwiaty doniczkowe, okna, mokre podłogi tudzież ozdobne zbroje z lancami skierowanymi prosto w nasze nozdrza.

Przy projektowaniu podziemnego parkingu architekt musi brać pod uwagę przede wszystkim wygodę. Goście hotelowi mają bagaże i dzieci, romanse i kaca, a nie ochotę na długie spacery. Wyjście powinno się znajdować na wprost i być łatwo dostępne.

Wyszedłem z windy i zderzyłem się ze ścianą. Miałem do wyboru: iść na prawo albo na lewo. Wybrałem to drugie i wszedłem w kolejną ścianę. Zrobiłem pięć kroków w tył i poszedłem na prawo. Architekt był najwyraźniej zwolennikiem równouprawnienia, bo przywitałem się z jeszcze jedną ścianą.

Trzy ściany plus winda za mną składały się na bardzo małe pomieszczenie, inaczej mówiąc, pudło. Matematyka nie kłamie. Jednak matematyka nie pomogła mi znaleźć wyjścia. Przesunąłem rękami po ścianach, mniej więcej na wysokości klamki. Nie trafiłem na żadne klamki czy gałki ani inne ślady drzwi. Nic. Powtórzyłem poszukiwania, powoli i metodycznie. Żadnych drzwi, okien, obrazów, gaśnic, sypiących zagadkami strażników, zakurzonych kości wcześniejszych uwięzionych. Niczego nie znalazłem w trakcie moich kafkowskich poszukiwań. Mogłem wrócić do windy, ale po co? W moim systemie nerwowym zagościła panika.

Z powodu ślepoty wpadałem już wcześniej w rozmaite pułapki. W takich sytuacjach logika zawodzi. Człowiek zaczyna naprawdę wierzyć, że drzwi zniknęły, a z pokoju nie ma wyjścia albo coś jeszcze głębszego. Na przykład, że trzeba będzie zamieszkać przy bankomatach, dopóki jednego z okien nie zastąpią drzwiami.

Teraz przywarłem do ściany i machałem ramionami, próbując objąć nimi dwuwymiarową płaszczyznę. I nagle jakiś mężczyzna otwarł gdzieś za mną doskonale wpasowane drzwi. Zatrzymał się, prawdopodobnie zaskoczony moją miłością do ściany.

- Tego pan szuka?

Nie musiałem pytać, o co mu chodzi.

- Nie. Ja po prostu... szukam.

Dzięki akustyce i woni wilgotnego betonu zorientowałem się, że dotarłem na parking. Jeden logistyczny problem z głowy. Teraz musiałem już tylko znaleźć nasz

samochód i nie uruchomić przy tym alarmu ani nie zarysować lakieru moją laską. Ten problem był dużo większy i bardziej złożony.

Zrobiłem krok naprzód. Nic mi to nie dało. Jeszcze kilka kroków. Dalej nie miałem pojęcia, gdzie stoi nasz samochód.

- Cholera jasna - mruknałem, wciskając jednocześnie guzik na breloczku Tracy. Dźwięk alarmu skierował mnie w stronę naszych walizek.

Kolejne dwadzieścia minut zajęło mi szukanie drogi powrotnej do pokoju, bo winda zatrzymywała się na różnych piętrach, a ja powoli ustalałem, który guzik skieruje mnie na jedenaste. Kiedy tak błądziłem, ciągnąc za sobą pierwszą walizkę, a przed sobą machając laską - takich wycieczek odbyłem jeszcze kilka - nawiedziło mnie okrutne wspomnienie. Poczucie winy, którego nie mogłem się pozbyć, choć go nie rozumiałem.

Miałem siedem lat. Obudziłem się chory. Grypa albo przeziębienie. Pamiętam ból gardła i wypłakiwanie się mamie. Nie pocieszyło mnie nawet to, że zamiast iść do szkoły, mogłem zostać w domu i włączyć obłąkane kreskówki dla przedszkolaków. Jak można nie kochać Barbapapy albo Simona w Krainie Rysunków? Wgapiłem się w to jeszcze w liceum. Przyczyniły się do tego grzybki halucynogenne.

Wątpię, by mój płacz wiązał się z nieznośnym bólem, raczej z tym, że miałem naturę nieznośnie nadwrażliwego mięczaka. Do dziś nie wiem, kiedy wypada wyrzucić kartki urodzinowe. Mama, chcąc mnie ukoić, złożyła obietnicę.

- Tata wróci niedługo z pracy - powiedziała - i coś ci przyniesie.

- Co? - spytałem, wyobrażając sobie dinozaura albo pelerynę Supermana. Sprawny model.

- Zobaczysz.

Czekałem na kanapie przy drzwiach. Tata pracował na nocnej zmianie w fabryce. Zwykle widywałem go przy kolacji, kiedy szykował się do wyjścia, a czasami przez krótką chwilę rano, kiedy podjeżdżał pod dom, a my wychodziliśmy do szkoły. Był moim bohaterem, miał niemal mityczny status, podobnie jak wszystkie tajemnicze i rzadkie zjawiska.

Kiedy usłyszałem stukot jego ciężkich buciorów przy drzwiach, zerwałem się z kanapy, gotów odebrać moją nagrodę.

- Co dla mnie masz? Co dla mnie masz?

Tata z wystudiowanym zaskoczeniem wsadził ręce do kieszeni.

- Co? Ja coś dla ciebie mam?

- Tak! Mama mówiła, że masz!

- A, faktycznie - powiedział i przeszukał kurtkę. - Wyciągnij rękę.

Wyciągnąłem rękę, zamykając przy tym oczy i rozkoszując się ostatnim etapem niespodzianki. Tata położył mi na dłoni coś małego i zwarteo, jak zapalniczka. Może miniaturowy miotacz ognia?

- Zjedz jednego teraz - powiedział. - A następnego możesz zjeść później.

Otwarłem oczy i zobaczyłem rulonik cukierków na kaszel.

Skrzywiłem się, jak zawsze w chwilach dezorientacji, i powiedziałem coś, czego nigdy sobie nie wybaczę.

- Tylko tyle?

Mama porządnie mnie ochrzaniła i wysłała do pokoju. Jak zwykle kazała mi się zastanowić nad swoimi słowami i wrócić, kiedy będę już umiał wyjaśnić, co zrobiłem źle. Pobiegłem korytarzem, usiadłem w pokoju i się rozplakałem, nie z powodu początkowego rozczarowania, lecz dlatego, że teraz miałem w głowie potworny obraz. Wyobraziłem sobie tatę, harującego w fabryce przez całą noc, pocącego się w rękawicach i butach tylko po to, żeby zarobić na coś, co przyniesie mi ulgę. Tymczasem ja odrzuciłem jego prezent i zażądałem czegoś lepszego. Właśnie to zobaczyłem oczyma swojej siedmioletniej wyobraźni. Zlekceważyłem drobiazg, na który było go stać, chociaż nic więcej nie potrzebowałem. Chociaż dał mi tak wiele.

To wspomnienie powróciło, kiedy macałem obce, hotelowe drzwi, szukałem właściwego pokoju, nasłuchiwałem nieukojonego płaczu mojej córki. I znów czułem się winny, ale tym razem wzgardziłem własnymi staraniami. Ojcostwo oznaczało dla mnie bycie kimś wielkim i bohaterskim, takim jak mój ojciec. Ja do tej pory siedziałem w fotelu pasażera i pozwalałem, by ojcostwo właściwie mnie omijało.

Jednak wypakowanie bagaży i zapewnienie Tracy, że wszystko będzie dobrze - ponieważ po prostu tak trzeba - mogło być aktem bohaterskim. Musiałem postawić to wyzwanie przed sobą samym w roli ojca.

Kiedy już znalazłem nasz pokój i odbyłem jeszcze trzy wycieczki po bagaże, Tess usnęła wreszcie w swoim łóżeczku. Tracy i ja zamówiliśmy dwa guinnessy i dwie kanapki z kurczakiem. Leżeliśmy w łóżku, oglądając program o niskich ludziach. Wygląda na to, że są oni bardzo szczęśliwi i radzą sobie z wszystkimi przeciwnościami losu.

Nie musieliśmy się wzajemnie przeproszać. Po prostu żartowaliśmy z programu.

Podróż do domu następnego dnia wyglądała identycznie. Tess rozplakała się w momencie, kiedy włożyliśmy ją do fotelika. Tracy robiła, co mogła. W pewnym momencie zatrzymała się na poboczu. Wciąż mieliśmy przed sobą ponad połowę drogi na prom. Tracy wyjęła fotelik z samochodu, ustawiła uchwyt i zaczęła kołysać małą niczym wahadłem. Huśtanie na skalę przemysłową. Ludzie w mijających nas autach musieli myśleć, że widzą umęczonego rodzica, który zaraz ciśnie dziecko w głąb lasu. Ja siedziałem oczywiście w fotelu pasażera, ale tym razem przyświecał mi nowy cel. Otwarłem okno.

- Trzymaj się, skarbie - powiedziałem. - Będę łapać.

Pan Oub rusza w miasto

Kontrakt małżeński zawiera mnóstwo akapitów i dodatków, które trzeba zrozumieć, choć nigdy nie opisuje się ich zbyt szczegółowo ani nie mówi o nich głośno. I tak na przykład w naszym domu obowiązuje niepisane prawo zabraniające mi dotyczyć jakichkolwiek narzędzi. Zakaz pozostaje w mocy również poza naszymi czterema ścianami. Właśnie dlatego mój ojciec podarował Tracy na Gwiazdkę skrzynkę z narzędziami. Jej, nie mnie, swojemu najstarszemu synowi. W środku



znajdowały się rzeczy niezbędne do wykonywania podstawowych napraw: śrubokręty, obcęgi, poziomica. Pewnie też inne przybory, ale nigdy nie pozwolono mi tam gmerać.

Wyjątkową cechą prezentu taty było to, że - co za gość -pomalował on wszystko na cukierkowo różowy kolor. Wiertła, młotek, piłę. Wszystko. Nawet metalową skrzynkę. Dołożył też puszkę różowej farby na okoliczność późniejszych poprawek.

Ktoś inny mógłby się obrazić. Ktoś mógłby zinterpretować ten gest jako obelgę wobec Tracy, jakby tata mówił: „To są narzędzia dla dziewczyn”. Ale prawda była zupełnie inna. Róż jest najżywszym z nielicznych kolorów, które wciąż odróżniam. Tata pomalował narzędzia, żeby dawały one jasny sygnał: „własność Tracy ” i, przede wszystkim, „Ryan, nawet się nie zbliżaj”. Kolor różowy jest moim czerwonym światłem.

Problem w tym, że go ignoruję. Gdyby Tess wiedziała, co się stało w dniu, kiedy użyłem wiertarki, wybrałaby inny kolor.

Pewnego dnia przyszedłem do pokoju telewizyjnego na piętrze. Miałem plan i czekałem na właściwy moment. Tracy bawiła się z Tess na podłodze. Słyszałem, jak moja córka ćwiczy wymowę jedyne go znanego sobie słowa. Słowa, które sama wymyśliła.

- Mana, Mana!

Mieliśmy teorię, że Tess połączyła dwa często słyszane wyrazy i stworzyła z nich imię dla Tracy. Często mówiliśmy do niej: „To mama!” i zaraz potem: „Jesteś głodna?”. Uszy Tess zmiksowały chyba słowa „mama” i „głodna”. W efekcie powstał wygodniejszy wołacz: „Mana”. Nowe imię szybko przyłgnęło do Tracy.

Ja wciąż jeszcze musiałem zasłużyć na imię. Przez chwilę myślałem, że jestem „Agi”, a potem, że „Oub”. Jednak te słowa znikły. Żadne z nich nie było moim imieniem. Nie zapisałem się jeszcze wystarczająco w pamięci Tess.

Moim zdaniem problem wynikał z kombinacji ograniczeń narzuconych przez ślepotę, okoliczności, w jakich powstawał nasz związek uczuciowy i mojej własnej winy. Ratyfikowaliśmy mnóstwo nowych umów małżeńskich, dotyczących głównie tego, czego nie wolno mi robić, i to nie bez powodu. Jedną z nich było karmienie

dziecka. Trudno zasłużyć sobie na imię, jeśli nie można zaoferować w zamian czegoś tak cudownego jak mleko z piersi. Poziom estrogenów w produkowanej masowo żywności jest wprawdzie wysoki, lecz daleko mi jeszcze do wyhodowania sprawnych gruczołów mlecznych, a ponieważ zdecydowaliśmy się na karmienie piersią, obowiązek ten przejęła Tracy. Nie wszyscy by się z nami zgodzili. Część fanatyków spod znaku New Age twierdzi, że ojcowie powinni wypróbować swoje wyposażenie. Serio. Jeśli dziecko będzie ssać wystarczająco długo i mocno, coś smacznego wypłynie w końcu z męskiej piersi, wprowadzając równouprawnienie do rodzicielstwa. Możliwe. Powodzenia. Są jeszcze inne obowiązki, więc miałem nadzieję, że uda mi się zapracować na imię.

Najbardziej uniwersalnym zadaniem jest przewijanie dziecka. Czynność ta stanowi jednak poważne wyzwanie dla niewidomego. Na pewno myślicie, że możecie to sobie wyobrazić, ale nie możecie. To bardziej złożone i nieprzyjemne. Nie chodzi tylko o ubrudzenie palców. Musielibyście zobaczyć schrzanione origami, które w moim wykonaniu uchodzi za pakowanie prezentów. Ostatni prezent urodzinowy dla Tracy, jeszcze przed urodzeniem Tess, zaskoczył ją dodatkowo - moja żona przekonała się, co potrafię zrobić ze zwykłym pudełkiem. Problemy przy pakowaniu zaczynają się, kiedy daję sobie spokój z równym zawijaniem krawędzi. Zbieram za to papier pakunkowy, tworząc coś na kształt torby, zwijam górną część w niby-kołnierz i oklejam całość taśmą. Równie dobrze mógłbym wsadzić nowy sweter Tracy do piłki. Mówcie, co chcecie, prezent był dobrze ukryty. Tracy uśmiechnęła się z wdzięcznością, wyciągając podarunek z kokonu, ale wiedziała już, że następne będzie nasze dziecko.

Pierwszą osobą, która zrozumiała moje specyficzne problemy, był szef Tracy. Sam niedawno został ojcem i mówił mi ostatnio przez telefon, że spróbował kiedyś przewinać syna po ciemku, żeby sprawdzić, z czym ja się muszę borykać.

Poddał się po rozpięciu pieluchy, czyli właściwie zanim jeszcze zaczął.

Nie jest to niemożliwe. Kilka razy przewinałem Tess pod czyjś nadzorem, ale nigdy nie było to łatwe, w pełni udane czy zachęcające do kolejnych prób. Nowa pielucha lądowała tyłem do przodu, zbyt wysoko, zbyt nisko, była źle zapięta, wisiała

za luźno, tworząc dwa osobne lejki, a nie hermetycznie szczelne opakowanie. Tess wierzgała i płakała. Irytowała ją moja powolność i brak delikatności. Ja byłem równie sfrustrowany. A chodziło tylko o zasikane pieluchy. Nie byliśmy gotowi na konfrontację moich umiejętności z groźniejszymi materiałami.

Problem częściowo bierze się z tego, że używam palców, żeby „widzieć”, co robię. Oczy pozwalają przyswoić jednorazowo sporo informacji. Ręce nie. Palcami próbuję ustalić położenie albo kierunek i wszystko, co się dzieje po drodze. Innymi słowami, palcami próbuję patrzeć. Ale przez to brakuje mi palców, żeby dokonać samej zmiany pieluchy. Co gorsza, muszę często dotykać, żeby z obsesyjno-kompulsywną dokładnością sprawdzić, czy mała nie poruszyła nogami albo nie ułożyła się pod innym kątem, kiedy moje ręce zajmowały się rozkładaniem pieluchy, szukaniem przodu, tyłu, środka i części zewnętrznej. Oczywiście osoby widzące patrzą po prostu na dziecko, robiąc przy tym różne miny, podczas gdy ich dłonie zajmują się przygotowaniami. Jeśli jednak ja cofnę ręce, dziecko znika. Już jej nie widzę. Muszę znowu dotknąć, żeby ją ponownie zobaczyć i żeby widzieć, co robię. Albo czego nie robię. Cholernie trudna sztuczka. Wiecie co?

Przeczytajcie jeszcze raz ten akapit. Mam nadzieję, że głowa rozboli was tak samo jak mnie po tej krótkiej, nieskomplikowanej serii czynności. Chcę powiedzieć, że to JEST skomplikowane. Takie złożone i frustrujące ruchy lepiej pasują do chińskich akrobatów.

Jak już mówiłem, kilka razy mi się to udało, ale pierwsza kupa w pieluszce zakończyła moje próby. Podniosłem nawilżaną chusteczkę, spojrzałem martwo na pupę Tess i zapytałem Tracy: „Dobra, gdzie mam to dać?”. Nie zdążyłem nawet zadać kolejnego pytania: „A jak mam tym ruszać?”.

Tracy nigdy nie miała mi za złe, że z trzema czy czterema wyjątkami zmieniała wszystkie pieluchy. Tess pewnie też nie. Panowało zatem milczące porozumienie, że przydam się do innych rzeczy. Pytanie tylko, do jakich. Jasne, mogłem spróbować wykąpać Tess, ubrać ją albo wykonać inne codzienne czynności, ale zgodziliśmy się, że Tess nie powinna cierpieć z powodu brudu, wysypki albo kompromitacji w kwestii

mody tylko po to, żebym mógł się wykazać samodzielnością. Zwłaszcza jeśli świadkiem tego miała być Tracy.

Zauważyliśmy z pewnym niepokojem, że nasz postępowy związek oparty na równouprawnieniu zaczął się przekształcać. A właściwie cofać. Przez wiele lat czerpałem przyjemność z częstego gotowania. Jasne, robiłem to boleśnie wolno, ale pierwszym przewodnikiem w świecie smaku powinien być zmysł węchu. To mi pasowało. Zatem oliwa ruszała do akcji, a kuchnia była moja, podczas gdy Tracy dokupowała narzędzia, kiedy trzeba, jechała samochodem po farbę i pędzle albo środek do przetykania rur, żeby po mnie posprzątać. Innymi słowy, moja ślepotą pomogła nam się rozprawić ze stereotypami dotyczącymi podziału domowych obowiązków.

Wraz z pojawieniem się Tess nastąpiła wielka zmiana. Błyskawicznie wróciliśmy do modelu rodziny rodem z lat pięćdziesiątych. Tracy robiła to, co robią mamy, opiekowała się dzieckiem i uwijała się przy nim, a ja codziennie rano pisałem w piwnicy, żeby przynieść do domu trochę gotówki. Tracy gotowała zupki dla Tess, ja odpuściłem sobie kuchnię. Nie mogłem dostosować tempa do nawału nowych obowiązków. No i jeszcze te pieluchy oraz zagrożenie, że za ich pomocą będę musiał udowodnić swoją niezależność. Skupiłem się więc na zapewnianiu finansowego bezpieczeństwa. Fuj.

Jak na ironię, takie odwrócenie ról okazało się naszym nowym sposobem na stworzenie postępowej rodziny. Może i zachowywałem się jak staroświecki ojciec, ale byłem przecież ojcem niewidomym, dobrze zarabiającym niewidomym, co rzadko się zdarza. To najlepiej pasowało do nas i naszych ograniczeń. Rodzina na pierwszym miejscu. Niemniej jednak większość obowiązków spoczywała na barkach Tracy, więc jej rola znacznie wzrosła, podczas gdy moja zmalała. Szczególnie w następnym roku, kiedy Tracy wróciła do pracy, pełniąc dalej obowiązki mamy w ograniczonym wolnym czasie. Jak kobiety to robią? Ja nie umiem nawet zagotować wody, obierając jednocześnie ziemniaki.

Nie tylko ja się martwiłem, jak mogę jej pomóc i być ojcem na tym etapie. Liczyły się też obawy Tracy. Bycie matką, młodą matką, i borykanie się z

niepewnością i wątpliwościami wynikającymi z tak ogromnej odpowiedzialności to jedno. Natomiast przekazanie bezbronno dziecka w ręce ślepego faceta to coś zupełnie innego. Kto pozwoliłby takiemu facetowi na eksperymenty w nowej roli? Jaka matka zdobyłaby się na to, nawet gdyby ten facet był jej mężem? Jest to sprzeczne z wieloma instynktami. Tracy mocowała się wewnątrz z zagrożeniami i obawami, a ja byłem coraz bardziej sfrustrowany, nie mogąc znaleźć dla siebie żadnego zajęcia, w którym czułbym się pewnie. Tess i ja nigdy nie zostawaliśmy sami. Więcej czasu udało mi się spędzić ukradkiem w towarzystwie różowej wiertarki.

I dlatego pewnego dnia postanowiłem wszcząć cichą rewolucję. Stałem w pokoju telewizyjnym, wsłuchując się w zabawę Tracy i Tess. Kolejna wieża z klocków gruchnęła o podłogę. Ulubiona rozrywka Tess. Mogłem jej pomóc w budowaniu, ale kiepsko mi szło znajdowanie rozrzuconych klocków. Jednorazowe zniszczenie nie wystarczało do dobrej zabawy.

- Chciałbym wziąć Tess na spacer - ogłosiłem, unosząc w rękach uprząż nosidelka.

Tracy zamarła. Jej milczenie aż pulsowało od niepokoju.

- O - powiedziała. - No... dobrze.

- Mam tu nosidelko. Może włoż jej sweterek czy coś.

- Eee... jesteś pewny?

Zająłem się już przypinaniem nosidelka.

- Jasne. Poradzimy sobie.

- To ja z wami pójdę - stwierdziła Tracy bardzo pogodnym tonem. Tonem perswazji.

- Wiesz co, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wolałbym iść sam. A ty możesz zrobić coś fajnego, jak nas nie będzie.

- Co na przykład? Lubię bawić się z Tess.

- Nie wiem. Poćwicz jogę. Napij się kawy. Albo... czy ja wiem... poćwicz jogę.

Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak spędzaliśmy kiedyś czas.

- O, już wiem! - ucieszyłem się. - A może Facebook? Możesz zmienić swój status i w ogóle. Cokolwiek się tam robi. Napisz do innych czy coś.

- E, nie - opierała się Tracy. - Po prostu pójde z wami na spacer.

Nie wiedziałem, jak w najłagodniejszy sposób powiedzieć jej: „Ale ja nie chcę, żebyś z nami szła. Chcę sam narazić nasze dziecko na niebezpieczeństwo”. Uznałem, że najlepiej zmienić argumenty.

- Słuchaj, chodzi mi o to, że nigdy nie masz czasu dla siebie. A chciałbym, żebyś miała. To wszystko.

Tracy nie trzeba było tego przypominać. Od wielu miesięcy najwyżej pod prysznic chodziła bez Tess na rękach albo w zasięgu wzroku. Dodajcie do tego poczucie klaustrofobii, jakie stwarza związek z niewidomym. Zawsze trzymam ją za łokieć. Chodzenie zmieniło Tracy w ruchomą wersję choinki. Na jej kończynach dyndały radośnie bombki: dziecko, torebka, torba z pieluchami i mąż.

Przez chwilę Tracy układała klocki dla Tess i jej niszczycielskiej ręki. Przetrawiała obawy.

- Jesteś pewien, że sobie...

- Tak, tak - powiedziałem.

- A jeśli...

Nie potrafiła nawet dokończyć tego zdania. Albo nie umiała wybrać jednej możliwości z szerokiego asortymentu katastrof.

- Spokojnie. Nic nam nie będzie - zapewniłem, rozdrażniony jej niepokojem. - To tylko krótki spacer. Znam tę okolicę. Przecież wiesz.

Mocowałem się z zapięciem nosidelka. Reakcja Tracy zachwiała moją pewnością siebie. Moja żona milczała przez chwilę, a potem się poddała. Kiedyś musiało to nastąpić.

- Założyłeś to do góry nogami - powiedziała i poszła ubrać dziecko, być może po raz ostatni.

Kilka minut później wyszedłem z Tess na ulicę. Nigdy wcześniej nie czułem takiego lęku jako niewidomy przechodzień. Tess była przypięta do mojego brzucha. Jej ciężar, jej obecność przy moim tułowi wzbudziły we mnie nowe uczucia.

Przypomniałem sobie, ile razy wszedłem na przeróżne niezauważone przeszkody. Słupy, rowery, parkomaty, ogrodzenia, zaparkowane samochody i tysiące innych rzeczy. O Boże. Wystawiłem nawet na próbę ulicznych mimów, którzy stoją bez ruchu i ożywają dopiero na dźwięk monety wrzucanej do kapelusza. Jeden taki gość widział mnie z daleka, ale tkwił w miejscu, pewny, że go ominę, dopóki nie było za późno.

Nigdy nie zawracałem sobie głowy takimi zagrożeniami, bo ryzyko związane z obijaniem się po świecie dotyczyło tylko mojego ciała. Teraz miałem mały, żywy zderzak, który mógł nie przeżyć moich pomyłek.

Szedłem ostrożnie, z namysłem, jakbym niósł worek spoconego dynamitu. Machałem laską starannie jak saper. Po dwudziestu minutach dotarliśmy do rogu naszej ulicy. Chyba się domyślacie, że nie była to frajda. Ani łatwizna. Pierwsza osoba, która nas minęła, ujęła to krótko.

- Jezu, to musi być trudne - powiedziała, przechodząc.

Może mówiła do mnie, a może do kogoś, z kim szła. Albo do swojego kumpla Jezusa, na co wskazywałby wołacz. Obcy ludzie modlili się już o nasze bezpieczeństwo. W ciągu kolejnych dwudziestu minut, czyli do następnej przecznicy, przynajmniej pół tuzina przechodniów odmówiło podobne modlitwy, zaproponowało pomoc, chciało odprowadzić nas do domu albo zapytało, czy zgubiliśmy mamusię.

To nic wielkiego, ale dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak wyglądamy. Ponieważ nie widzę innych ludzi, jak przechodzą obok, drapią się po kroczu w miejscu publicznym albo robią to, czego świadkami są widzący przechodnie, zapominam, że sam jestem widoczny. Nasz wizerunek odbiegał od marzeń młodego ojca. Tess była wstrząsająco słodka, miała na sobie czadowe, jasnozielone okulary przeciwsłoneczne i buciki w kwiatki, śliniła się z otwartych w szerokim uśmiechu ust i dysponowała całą tą tajemną mocą dzieci, która sprawia, że najbardziej mrukowaci obcy ludzie pieją i ćwierkają na ich widok. A mimo to do tej pory wszyscy widzieli tylko, że jest w niebezpieczeństwie z mojego powodu. Zrobiło mi się smutno. To pewnie tak, jakby człowiek chciał się popisać maleńką córeczką, a inni dostrzegali

tylko, że dziecko nie ma rączek. Żaden kostium marynarza nie będzie wystarczająco cudny, żeby odwrócić od tego uwagę.

W mojej głowie powstała krótka scenka. Sześćioletnia Tess pyta, czy jej koleżanka może zostać u nas na noc. Niestety Tracy wyjechała właśnie z miasta, więc kiedy tato koleżanki puka do naszych drzwi, żeby zostawić u nas dziecko, otwiera mu ślepy facet. Jako ojciec koleżanki miałbym w tej sytuacji opory.

Powoli skręciliśmy w Grant Street i opuściliśmy dzielnicę mieszkalną. Moja córka i ja mieliśmy się zaraz zapuścić w zatłoczone okolice Commercial Drive. Większa liczba ludzi oznaczała większą ilość odgłosów, którymi mogłem się kierować. To dobrze. Poza tym w oddali słychać było ruch uliczny, więc coś przynajmniej prowadziło mnie we właściwą stronę. Tłum ma też jednak swoje wady. Śpieszący się ludzie zwracają mniejszą uwagę na otoczenie. Regularnie ocierają się o mnie ramionami, a wtedy czasami tracę równowagę i się przewracam. Tutaj mogli nawet wpaść prosto na nas albo oparzyć Tess gorącym kawałkiem taniej pizzy. Są też psy. W tej okolicy przeważnie pitbulle. Często przypięte do stojaków na rowery albo drzemiące pod drzwiami, jak w swoim naturalnym środowisku, czyli u bram Hadesu. Zbyt często trafiałem laską w psa siedzącego w najmniej oczekiwanym miejscu. Zbyt wiele razy wielkie, zębate cienie warczały i szczekały u moich stóp. Tess mogła się stać ich zabawką.

Machałem przed nami wolną ręką, usztywniłem ramię i parłem naprzód, jak futbolista przebijający się z piłką przez linię obrony, tylko bardzo, bardzo wolno.

Po dziesięciu krokach ktoś zawadził mnie ramieniem. Odbiłem się i znów ktoś mnie zawadził. Tym razem straciłem kurs i wpadłem na kosz na śmieci. Kiedy się obróciłem, próbując odzyskać orientację, nogi Tess zahaczyły o betonową obudowę kosza. Mała zaczęła marudzić. Jej lęk był w pełni uprawniony i świadczył o zdolności przewidywania. Na obronę miałem tylko laskę, więc waliłem nią mocno i głośno. Nie działała przez to lepiej, ale uznałem, że hałas pomoże nam przejść albo przynajmniej obudzi zaspanych ludzi. Metoda faktycznie zdawała egzamin. Doszedłem bez-wypadkowo aż do następnej przecznicy. O ile mi wiadomo, przegapiłem tylko jedno: Tess zrzuciła sobie z nosa okulary przeciwsłoneczne.



Dogoniła nas jakaś kobieta. Znalazła okulary w skrzynce z pomidorami przed warzywniakiem Norma.

- Proszę - powiedziała. - Nie zauważył pan, że dziecko zgubiło okulary.
- Dzięki. Naprawdę nie widziałem.
- Jasne. Musi pan bardziej uważać.
- Słusznie. Ma pani rację.

Może kobieta się martwiła, że nie przyszło mi to do głowy. Tak czy inaczej, mówienie niewidomemu, żeby uważał, jest jak przypominanie mu, żeby patrzył przed siebie. Zwykle się zastanawiamy, jak to zrobić, a nie, czy w ogóle warto.

Podziękowałem jej raz jeszcze i spróbowałem włożyć Tess okulary. Jej usta i dłonie były wilgotne. Lepkie.

- Popluła się - wyjaśniła kobieta.

Przesunąłem dłońmi po nosidełku śladem długiej strużki śliny. Tess gulgotała i kopała. Znalazła własny sposób na przedarcie się przez tłum.

Nie miałem jej czym wytrzeć, więc postanowiłem się zatrzymać w kafejce na rogu i poprosić o serwetki. Albo wyczyścić nas strumieniem pary z ekspresu do kawy. Zbliżając się do stolików rozstawionych na chodniku, rozpoznałem jeden z głosów. Należał do Miła, starszawego Włocha, który, o ile mi wiadomo, prawie nie opuszcza tej knajpki.

- O Boże! - krzyknął Milo na nasz widok. - Masz dziecko!

Zazdrościłem mu tego głosu. Brzmiał tak, jakby wydostawał się nie z krtani, ale z megafonu. Usłyszałem szuranie krzesła odsuwanego po betonie. Milo wstał, podszedł do nas i uszczypnął lekko puzaty policzek Tess. Ten facet zobaczył coś więcej niż moja ślepotą i niebezpieczeństwa grożące małej. Po prostu zachwycił się dzieckiem i jego rozkosznymi cechami. Do diabła ze śliną. Było to odświeżające doznanie.

- Ooo, jaka śliczna! Lina, chodź tutaj! Lina, chodź i zobacz dziecko!

- Jakie dziecko?! Czyje dziecko?! - wrzasnęła ze środka Lina, właścicielka kafejki.

- A co za różnica? Po prostu dziecko! - krzyknął w odpowiedzi Milo i z powrotem zajął się policzkami Tess.

Lina dorwała się do małej i rozplynęła z zachwytu. Całowała stopki Tess i szczypała ją w policzki. Ja starałem się zachować równowagę. Moi znajomi z kafejki byli jak nawałnica.

- Mówię ci - powiedział Milo, nabierając powietrza - że to jest sakramencko śliczne dziecko. Bella! Lina, ty i ja moglibyśmy mieć takie dziecko.

- Nie wyobrażaj sobie! Jestem mężatką! Lina zawsze krzyczała.

- A nawet gdybyśmy się pobrali - ciągnęła - i nawet gdybym ci pozwoliła mieć ze mną dziecko, a na pewno bym nie pozwoliła, to ono by tak nie wyglądało! Takie śliczne dziecko nie mogłoby być twoje! Moje - tak, twoje - nie!

- Mana?

- Słyszysz? Mówi do mnie! Lubi mnie - stwierdził Milo. Połaskotał jeszcze małą, wybierając pewnie suche miejsca. - I patrz, ma okulary przeciwsłoneczne i...

Megafon umilkł. Napędzona przez espresso radość wyparowała.

- Okulary. O Boże, nie - powiedział cicho i poważnie. - Ona nie widzi! Mój Boże. Ona nie widzi, tak jak ty.

Trzeba było kilku minut, żeby go przekonać, że wszystko jest w porządku. Nie mógł uwierzyć, że dzieci noszą okulary przeciwsłoneczne dla mody i urody oraz ochrony i zdrowia, a nie po to, by nastraszyć przyjaciół.

Lina wytarła Tess, a przed wyjściem wypchała mi kieszenie chusteczkami. Miałem dość wrażeń, więc uznałem, że najwyższy czas wracać do domu. Po co kusić los?

Kiedy skręciliśmy w Graveley Street, przeszliśmy koło pubu i sklepu monopolowego, niecałe trzydzieści metrów od domu z podziemnego parkingu wyjechał nagle absurdalnie wielki SUV. Masa jego wypasionego wyposażenia i freudowskiej nerwicy przemknęła tuż przed naszymi nosami. I potrafiła nas.

Pojazd zbliżył się na tyle, żeby wyrwać mi laskę z dłoni i posłać ją na ulicę. Może faktycznie nie nadawałem się do spacerów z dzieckiem. Może nie nadawałem się do chodzenia.

Serce mi zamarło. Tess straciła panowanie nad sobą i kto wie co jeszcze. Nie wiedziałem, czy samochód ją zahaczył. Wszystko stało się tak szybko. Mała

wciągnęła powietrze, przygotowując się do ataku płaczu i na zawsze tracąc zaufanie do swojego ojca w roli opiekuna. Płacz jednak nie nastąpił. Cisza się przedłużała, więc wiedziałem już, że Tess otworzyła szeroko usta i wybuchła najgorszym, niemyym płaczem, takim, który na początku nie pozwala nawet wydobyć głosu. Przygotowałem się na ryk głośniejszy od SUV-a. I się doczekałem.

Tess zadrzała gwałtownie, wierzgnęła i zaniósła się śmiechem.

Jej radosny chichot wystarczył, żeby pobudzić moje serce. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego śmiechu. Tymczasem kierowca zatrzymał samochód. Przyniósł mi laskę. Była trochę bardziej wygięta niż zwykle. Gdybym był o krok bliżej domu, mój kręgosłup wyglądałby podobnie.

- No przepraszam, niestety - rzekł kierowca, wręczając mi mój nowy bumerang. - Nie zauważyłem pana.

Nim zdążyłem odpowiedzieć albo przypomnieć sobie, jak się wrzeszczy, facet wskoczył z powrotem do swojego czołgu i uruchomił ryczący silnik. Nie mogłem się nie zastanowić, czemu jego pojazd nie był różowy, jak wszystko, czego nie wolno mi dotykać. Przez uchylone okno rzucił mi słowa pożegnania.

- Ładny dzieciak - powiedział i pomknął przed siebie wraz z kilkoma latami mojego życia.

Tess nadal się śmiała, nieświadoma śmiertelnego zagrożenia sprzed chwili. A może doceniła już poczucie humoru swojego niewidzialnego niewidomego ojca. Tyle wysiłków i okazuje się, że to, co mnie przeraża, jej może dać radość. Powstała między nami nowa więź. Byliśmy wyjątkowymi śmiałkami. Mogliśmy odbyć razem wiele spacerów. Tata oznaczał super frajdę.

- Chodź, bączku. - Powoli ruszyłem z miejsca. - Chodźmy do Many, zanim ktoś znowu nas nie zauważy.

- Oub - powiedziała Tess, wierzgając przy tym nóżkami. Myślę, że mówiła szczerze.

Efekty dźwiękowe

- Co to było? - spytałem, nastawiając czujnie uszu.

- Niczego nie słyszałam - powiedziała Tracy.

Rozumiałem znaczenie jej tonu. Usłyszała dokładnie to samo co ja, ale udawała, że tak nie było. Jest to nieskuteczna metoda likwidowania prawdziwych zjawisk. Niektórzy nazywają to wyparciem. Inni nadzieją.

Większość wieczorów w naszym domu wyglądała podobnie. Gdybyście zajrzeli przez kuchenne okno, zobaczylibyście Tracy siedzącą obok mnie. Oboje przechodzilibyśmy terapię piwną albo składalibyśmy pranie, ale przede wszystkim zamartwialibyśmy się plastikową kulą leżącą na stole. Jak większość kul - szczególnie tych plastikowych - nasza miała futurystyczne aspiracje. Mają je wszystkie elektroniczne nianie. Ich projektanci chcą przekonać rodziców, że gdzieś tam czeka na nich przyszłość i że dzieci będą jej częścią. W międzyczasie naszym zadaniem jest odbieranie niezrozumiałych komunikatów urządzenia. Nasze wieczory nie tylko wyglądały podobnie. Ich ścieżka dźwiękowa też była podobna: nieodgadniona.

- Nie słyszałaś? Coś się poruszyło - powiedziałem.
- To ja. Poruszyłam się na krześle.
- Nie, to z czujnika. Dlatego się poruszyłaś. Pochyliłaś się, żeby lepiej słyszeć.
- Wcale nie - zaprzeczyła Tracy, odsuwając się daleko od urządzenia.
- Cholera. Budzi się.

Pociągnąłem spory łyk piwa i przygotowałem się na kłopoty. Jeśli Tess już się budziła, to trudno było przewidzieć, kiedy, jak i czy w ogóle znowu zaśnie. Krzesło Tracy zatrzęszczało lekko.

- To był taki dźwięk? - spytała moja żona.
- Nie. To był krótki odgłos przesuwania. Jakby ktoś poruszył kocem.
- Pewnie słyszałaś własny oddech przez nos. Zawsze tak oddychasz, kiedy nasłuchujesz.
- Co ty opowiadasz? - spytałem. A może jęknąłem. Prawdopodobnie przez nos. - Wcale nie nasłuchuję. Po prostu słucham.
- Tak uważnie, że aż się gapisz na głośnik.

Tracy miała rację co do mojej obsesji. Stawka była wysoka. Od kilku tygodni Tess każdej nocy budziła się co godzinę czy dwie. Marzyło się nam, żeby przespała

bodaj trzy godziny bez przerwy, bo okazało się, że jest to minimalny czas potrzebny dorosłemu na niezbędną do przeżycia drzemkę. Naszym zadaniem było stworzenie w domu warunków podobnych do tych panujących w łonie matki. Ciszy. Tylko jeszcze cichszej. Jak łono w łonie. Jeśli nie kuliliśmy się akurat w łóżku, to siedzieliśmy przy kuchennym stole, przerażeni każdym naszym odgłosem. Każdym dźwiękiem wydanym przez naszą córkę. Albo nie wydanym. Któż to wie?

Odkąd Tess przestała spać dłużej niż trwa odcinek serialu, wszystko w naszym domu wydawało się głośniejsze i budziło ją. Nie z winy elektronicznej niani. Wystarczyło zbyt gwałtownie podnieść ścierkę i jej szelest rozbrzmiewał piętro wyżej. Poruszałem się w zwolnionym tempie, z przesadną precyzją. Robiłem wielkie, ciche kroki. Jak mim, ale jeszcze ciszej. Schody już nie skrzypiały, one trzaskały niczym petardy. Kontakty nie pstrykały, tylko wybuchały w moich dłoniach. Czasami przyłapywałem się na myśli, czy naprawdę muszę odstawić piwo. Byłoby ciszej, gdybym nosił je po domu. Zrobiłem już tak z naszym psem, który w przeciwnym razie mógłby zacząć szczekać. Mops tkwił pod moją pachą jak piłka.

Cisza ta wywołała niefortunne efekty uboczne. Nasi przyjaciele zauważyli, że oboje okropnie mamrocemy pod nosem. Przez większą część lata nie mówiliśmy normalnie. Moja przepona się skurczyła i, sądząc z częstotliwości, z jaką studenci proszą mnie o powtórzenie czegoś, po dziś dzień nie wróciłem do siebie.

Nie poprzestawałem jednak na gapieniu się w odbiornik i nadziei, że Tess śpi. Ciężko pracowałem. Byłem przekonany, że nauczę się kierować swoje myśli do cyfrowego urządzenia i wykorzystywać je jako przekaźnik poleceń dla umysłu Tess. Niektórzy ludzie nazywają to zjawisko telepatią, inni - poważnym niedoborem snu. Ja nazywałem to wiarą. Wiedziałem, że gdybym nie przelał swojej woli do nadajnika, nie mógłbym narzucić dziecku rodzinnej mantry: „Spij, śpij, śpij”. Tylko moja moc utrzymywała Tess we śnie.

- Wiesz co? - powiedziała Tracy. W jej tonie pobrzmiwało zażenowanie. - Czasami przyłapuję się na tym, że siłą swojej woli każę jej spać i wierzę, że to działa. Dziwne, nie?

- Nawet bardzo. Kompletnie nienormalne.

Tracy mruknęła coś jeszcze, ale jej umysł wędrował daleko, wiadomości przychodziły z opóźnieniem. Usłyszałem, jak kosz z praniem przesuwają się po stole, a głowa Tracy opada ciężko na jego miejsce.

- ...może już mi odbija. Muszę się przespać - dokończyła moja żona.

W odpowiedzi na ten urwany komunikat spróbowałem znaleźć właściwe słowa, coś niosącego otuchę.

- Nie martw się, skarbie, nie masz zdolności telepatycznych - uspokoiłem Tracy. - To ja je mam.

Dłonią, w której nie trzymałem piwa, podkreśliłem głośność w odbiorniku, ale okazało się, że głośniejsz już nie można. Fatalnie. Bez dodatkowych decybeli nie mogłem wykryć dodatkowych dowodów na to, że Tess poruszyła się przed chwilą albo że właśnie się budzi, albo coś ją niepokoi, albo boli, albo, co najbardziej prawdopodobne, że mała próbuje się obrócić i udrożnić swoje drogi oddechowe, po tym jak smoczek złamał się na pół i utknął jej w gardle. Taki właśnie dźwięk usłyszałem. Nie słyszałem go nigdy wcześniej, ale wiedziałem, co oznacza. Jutro kupimy wzmacniacz i porządne głośniki.

- No tak, faktycznie - powiedziała Tracy, podnosząc odbiornik, jakby mogła coś przez niego zobaczyć. - Teraz też to usłyszałam.

- Co takiego?

- Miałaś rację. Chyba się budzi.

- Ja nic nie słyszałem.

Gapiliśmy się na urządzenie w poszukiwaniu oznak życia. Tym razem nic nie słyszałem.

- Słyszysz? - spytała Tracy.

- Ja? Nie.

- Znowu. Powinnam iść na górę.

- Nie idź, obudzisz ją!

- Ale na pewno...

- Nie idź tam!

- Ale słyszałam...

- Nic nie słyszałaś. To był samochód za oknem. Wierz mi.

- Idę sprawdzić, co u niej.

Jedyną rzeczą gorszą niż pobudki Tess było obudzenie jej przez przypadek. Chwyciłem głośnik i przycisnąłem go do ucha. Jasna cholera, jeśli Tess nadawała jakiś kod, tłukąc smoczkiem o barierki łóżeczka, to ja go usłyszę. Jestem ślepy. Znam się na tym. Słuchałem uważnie przez kilka sekund i w końcu wydałem werdykt.

- Słyszałaś wiatrak - oznajmiłem. - To wiatrak wydaje taki nierówny dźwięk.

- Jesteś pewny?

Odłożyłem urządzenie i się rozluźniłem.

- Skarbie - powiedziałem. - Znam każdy dźwięk w tym domu. To był wiatrak.

Tess się nie budzi.

Tracy prychnęła pogardliwie, parsknęła przez nos z niedowierzaniem. Zwykle robi tak na moment przed udowodnieniem mi, że ma rację.

- Przykro mi, ale nie znasz każdego dźwięku w tym domu.

- A właśnie, że znam.

- Wcale nie.

- Nie? A pamiętasz jak zerwaliśmy z łóżka sąsiadów? Obudziłem się w środku nocy, bo usłyszałem ich czujnik dymu. Z innego mieszkania.

Zawsze wykrywam nieregularności. Nawet te odległe, które nie mają nic wspólnego ze mną.

- Poczuleś palący się plastik - powiedziała Tracy - bo oni mieszkali pod nami.

Niczego nie usłyszałaś, panie Spędziłem-Dziesięć-Lat-W-Klubach-Pod-Głośnikami.

Udałem, że tego nie słyszę.

- O, znowu - zauważyła Tracy.

- Chodzi ci o ten szum?

- Aha.

- Mówiłem ci, że to wiatrak.

- Włączyłaś go? -Nie.

- Ja też nie.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem, jak moje zwinne ciało wbiega po schodach, żeby stawić czoło temu komuś, kto włączył tak poprawnie zidentyfikowany przez mnie wiatrak. Albo temu czemuś. W rzeczywistości podreptałem ostrożnie do pokoju Tess i zacząłem nasłuchiwać. Odkryłem, że w przewietrzonym pokoju nic się nie rusza i słyhać tylko coś, co wyłapanie przez bardzo czuły mikrofon przypomina wiatrak albo zmieniające pozycję dziecko. Natomiast Tess usłyszała, jak jej pozbawiony słuchu ojciec, wychodząc, stara się namierzyć klamkę. Usłyszała i się rozpląkała.

Niektórzy rodzice mają problem z przystosowaniem się do nieuchronnego bałaganu, jaki przynosi z sobą dziecko. Stosy ręczników i ściereczek. Dziwne zabawki zaprojektowane przez Doktora Who - świecące, śpiewające piosenki o farmerach albo kolorze czerwonym, a potem strzelające w twarz niby-śmiertelnymi promieniami, kiedy człowiek potknie się o ich kierownice. Zalew smoczków. Gdziekolwiek położę swoją dłoń niewidomego człowieka - na swoim biurku, talerzu, pod poduszką - znajduję gumowy sutek. Dziwnie jest odkryć, że mieszkanie zostało udekorowane ozdobami o kształcie brodawki. Nie wyobrażam sobie, jak wyglądał czasami nasz dom, ale Tracy była skrupulatna i nigdy nie pozwalała, żeby sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Leży to w jej schludnej naturze, a poza tym ze względu na mnie trzyma wszystko w przewidywalnych miejscach, ponieważ potrzebuję stałego układu przestrzennego, żeby przeżyć. Podobnie jak Tess. Kiedy szedłem przez salon z dzieckiem na rękach, Tracy biegła przed nami, oczyszczając tor jak członkini drużyny curlingowej.

Dom zamieszkały przez noworodka staje się bardziej zatłoczony i skomplikowany. To samo dzieje się w warstwie dźwiękowej. Elektroniczna niania była tylko jednym z wielu nowych zjawisk wypełniających moje uszy i pozbawionych sensu. Oczywiście doceniałem ten gadżet. Całym sercem popieram niewizualne wynalazki dla rodziców i technologie wspomagające ludzki słuch. Problem polegał oczywiście na tym, że chociaż czujnik pozwalał nam usłyszeć więcej - na przykład splukiwanie toalety w łazience sąsiadów oraz szybkie ruchy gałek ocznych Tess podczas rzadkiej fazy marzeń sennych - nie dawał żadnej gwarancji, że uda nam się zinterpretować wszystkie cholerne odgłosy. Cieszyłem się



jednak, że nasze ciała - Tracy i moje - miały teraz równe prawa i identyczne kompetencje w godzinach między dobranocką i świtem. Wszyscy rodzice są niewidomi na pół etatu. A dokładnie - w nocy.

Powód, dla którego wymyślono elektroniczną nianię, znalazł odbicie w jej projekcie. Powstał on po porwaniu dziecka Lindberghów w latach trzydziestych. Owszem, sprawdziłem pochodzenie tego urządzenia. (Zastanówcie się, czego wy byście szukali, gdyby wasz dzień trwał dwadzieścia trzy godziny). W każdym razie wynalazcy gadżetu nie mieli szlachetnej intencji umożliwienia ponownego podania zgubionego smoczka albo ukojenia każdego jęku czy drgnięcia. Matką czujnika była paranoja. Paranoja. Tyle udało mi się zrozumieć. Naturalnie miało to swój efekt uboczny: czujnik wymyślono, by chronił nerwy, a tymczasem nakręcał on tylko rodzicielskie lęki. Tracy i ja zamartwialiśmy się nocami na śmierć, nasłuchując przy odbiorniku zupełnie jak rodziny w latach czterdziestych, które zbierały się, żeby posłuchać programów radiowych. Żaden odcinek serialu Cień nie napędził mi takiego pietra jak audycja pod tytułem Milczące dziecko. Genialna. Nic się nie działo. Nic, tylko przedłużająca się cisza. Każdy rodzic powie wam, że cisza jest bardziej złowroga i zapowiada większą katastrofę niż płacz dziecka. Nocami, jeśli Tess akurat spała, debatowaliśmy z Tracy o tym, co się nie dzieje. W tym czasie narastało potworne napięcie, zwiastujące bliski kataklizm. Powstawały najbardziej fantastyczne scenariusze. Kiedy siedzieliśmy w piwnicy, aktualizując rodzinny blog, spodziewałem się usłyszeć nagle z nadajnika rechot dorosłej osoby. Albo gorzej. Cisza mogła trwać zbyt długo i być zbyt cicha. Jezu. Na samą myśl przechodzą mnie dreszcze.

Zanim Tess nauczyła się mówić, większość moich niepokojących doświadczeń w roli ojca wynikała z takiego czy innego rodzaju sposobu kontrolowania. Obserwacja jest zazwyczaj zadaniem dla oczu, ale moim głównym narzędziem musiały być uszy. Nie wszystko pachnie kłopotami i nie można bez przerwy mieć dziecka na oku. Poza tym Tess wydawała setki dźwięków. Dlatego właśnie moje uszy i system nerwowy, nadmiernie obciążone, stały się równie wrażliwe jak elektroniczna niania. Umysł oceniał, analizował, a następnie rozkładał na czynniki pierwsze każdą dostępną

długość fali. Nasłuchiwanie w naszym domu czerpało pełnymi garściami z mojego postmodernistycznego wykształcenia.

Powinienem tu zdementować pogłoski, że niewidomi słyszą więcej. To nieprawda. My po prostu słyszymy inaczej, szukamy słuchem innych informacji niż ludzie, którzy widzą. Wyłapujemy dźwięki pasujące do obrazów, które spodziewalibyśmy się zobaczyć, takie jak uśmiech sugerowany przez ton głosu albo usta pełne suchych liści zebranych na placu zabaw przez kilkulatka, mówiącego teraz w szczególny, zduszony sposób. Niewidomi słuchają tak, jak widzący patrzą. Szkoda, że obrazy nie zawsze są wyraźnie słyszalne.

Oto przykład. Tess nie była jeszcze przyzwyczajona do nowego, wysokiego krzeselka i do jedzenia, które nie pochodziło od jej mamy. Kiedy miała jakieś pół roku, zaczęliśmy podawać jej proste przeciery, tak jak nam kazano, a co cztery dni dodawaliśmy nowy owoc albo warzywo. Świetnie. Gdy mała doszła już do bananów i tofu - czyli posiłku generującego więcej mlaskania i siorbania niż jakikolwiek inny - zrozumiałem wreszcie, że wydawany przez nią odgłos „mmm” niekoniecznie oznacza „mniam”, ale może też wyrażać rozkaz: „Pośpiesz się z tą łyżką!” albo, jeśli głos małej zadrzy, ostrzeżenie: „Spadaj i przestań dźgać mnie łyżką w czoło!”.

Przeczytaliśmy, że twarde rzeczy pomagają na ząbkowanie. Ten okrutny proces w końcu się rozpoczął. Moim zdaniem ewolucja zadziałała tu idiotycznie. Inteligentny projekt? Matoł, który wymyślił, że dzieci powinny doświadczać takiego bólu tylko po to, żeby te cholerne zęby i tak im potem wypadły i wyrosły na nowo, w mojej klasie dostałby pałę. Tess zaczęła się ślinić, a jej twarz, klatka piersiowa i nogi pokryły się lepкими plamami. Kiedy mówiła „mmm”, pozbywała się śliny z ust, więc odgłos ten okazał się jeszcze bardziej funkcjonalny, niż mogłoby to sugerować odgadywane znaczenie.

Spośród twardych rzeczy, które według naszych książek można podawać dzieciom do żucia, najbardziej zachęcająca była piętka chrupiącej bagietki. Któregoś wieczora, po kolacji, Tracy oderwała spory kawał bułki i dała ją Tess. Poprosiła mnie, żebym rzucił okiem na małą i twarde jak kamień pieczywo, podczas gdy ona będzie myć naczynia. W naszym domu zwrot: „Ryan, rzuć na to okiem” oznacza, że mam

słuchać i w razie jakichkolwiek wątpliwości dotknąć tego, czego słucham. Dałem z siebie wszystko. Pewnie się domyślacie, że słuchanie, jak ślina zwilża chleb, jest równie odkrywczym jak słuchanie zmian kolorów podczas zachodu słońca.

Tess pracowała dziąsłami, nie produkując przy tym zbyt wielu odgłosów, i rozrzucała okruchy na blacie, co dawało jeszcze mniej efektów dźwiękowych. Słuchałem, ale nie słyszałem, że Tess pakuje do buzi wszystkie przeżute, wyplute i porzucone wcześniej resztki. Wypchała sobie policzki. Pięć kilo błota w trzykilogramowym worku. Słyszałem tylko łagodny, niewinny chłupot śliny i okazjonalne „mmm”. Nie było potrzeby sprawdzać czegokolwiek dotykiem. Kiedy usta były już pełne, mała spróbowała przełknąć ich zawartość. Zupełnie jakby przepychała przez przelyk furgonetkę piekarza. Po chwili usłyszałem kompletną ciszę. Zadowolenie. Trawienie. Może nawet refleksję. Może zamknięte usta, może uśmiech.

A potem usłyszałem odgłos krztuszenia się.

Tracy wykonała zwrot i zobaczyła, że Tess nie może oddychać. Następnie usłyszałem, jak przeskakuje kuchnię i tłucze małą po plecach. Mocno, ale wciąż niewystarczająco. Ten dźwięk rozpoznałem natychmiast i nagle pojąłem znaczenie przerażającego milczenia mojej córki. Nie wiedziałem, co począć. Wiedziałem, co robi Tracy, ale wydawało mi się, że robi to za słabo. Ścierały się we mnie sprzeczne impulsy: Tess trzeba było solidnie grzmotnąć, żeby wykrztusiła chleb, ale jak można bić własne dziecko?

- Mocniej! - krzyknąłem. - Uderz ją mocniej!

W tym momencie Tracy zdążyła już wyrwać Tess z krzeselka i obrócić ją do góry nogami. Zorientowałem się w tym, ale nie słyszałem wystarczająco silnych uderzeń.

- Musisz ją walnąć! - krzyknąłem, ale nadal nic nie słyszałem. Może Tracy, podobnie jak mnie, sparaliżował ten pomysł. - Mocniej! - przypomniałem.

Mimo dochodzącej mnie ciszy, sporo się działo. Tracy wetknęła palec do ust Tess i wydłubała stamtąd piątkę wielkości piłki golfowej. W książkach piszą, żeby się nie przejmować. Dziecko będzie żuć z upodobaniem. Żucie jest dobre dla dzieci. Oczywiście autorzy tych książek zakładają, że ktoś będzie to dziecko obserwował.

- Musisz mi powiedzieć, co się dzieje - zażądałem. -Co jest grane?

Tess się rozplakała, raczej ze zdziwienia niż z bólu, a ja nigdy wcześniej tak się nie ucieszyłem z jej wycia.

Następnego dnia jadłem tost na śniadanie, a Tess żuła ryżowy wafel. Było cicho. Zbyt cicho. Nasłuchiwałem, ale chrupanie w moich własnych ustach zagłuszało inne dźwięki. Brzmiało to, jakby ktoś demolował mi czaszkę. Dla bezpieczeństwa Tess będę musiał przerzucić się na owsiankę. Albo jeść jej śniadanie. Na razie żułem, przerywałem i nasłuchiwałem, potem znowu kilka ruchów szczęką i przerwa na zwiad. To nie jest zdrowy sposób jedzenia.

Milczenie Tess narastało. Spanikowałem.

- Tracy, Tracy, ona...!

Upuściłem chleb, zerwałem się i wyciągnąłem ręce, gotów sięgnąć wprost do gardła mojej córki.

- Nie, nic jej nie jest. Uspokój się - powiedziała Tracy. - Uśmiecha się do ciebie.

Tracy podawała Tess papkę z gruszek, czekając na przerwy między jednym a drugim „mmm”. Odrobina wpadła chyba nie tam, gdzie trzeba, a kiedy do parskania małej dołączyły radosne wymachy nóg na krzeselku, cóż, możecie sobie wyobrazić obraz w mojej głowie. Już widziałem siną twarz i spazmatyczne ruchy, mające na celu wyrwanie się ze śmiertelnego uścisku morderczej gruszkowej mazi.

Z moich przerażonych ust ponownie wydobył się początek zdania:

- Tracy, Tracy, ona...?!

- Jezu, nic jej nie jest - powiedziała lekko poirytowana Tracy. - Po prostu odkaszlęła. Uspokój się. Dzieci czasem kaszlą.

Usiadłem, niepewny, co zrobić z nagromadzoną w ciągu ostatnich pięciu minut adrenaliną. Nerwowo potarłem kciukiem krawędź stołu i odkryłem, że jest niepotrzebnie ostra. W moim umyśle zebrały się wszystkie niebezpieczeństwa naszego mieszkania. Nigdy wcześniej tak naprawdę ich nie widziałem. Rogi stołu sterczały na wysokości twarzy kilkulatka, ostre i wyraźne, podobnie jak rogi krzesel, komody i ławy. Przypomniałem sobie rozkład domu. Ława i jej ostre kandy znajdowały się akurat przy schodach prowadzących do kuchni. Wszystkie sterczące

fragmenty czyhały tylko na spadające dziecko. Lecąc z niezagrodzonych stopni trafiłoby w ławę samym czołem. Musieliśmy coś z tym zrobić, zanim mała uruchomi nogi i ręce. Potrzebowaliśmy gumy i siatek. Tyle rzeczy musiałem dla niej zobaczyć. Tyle krawędzi. Jak miałbym to zrobić za pomocą uszu?

Tess piła wodę z kubeczka. Nagle prychnęła i umilkła. Może oddychała, a może nie. Spałem się.

- Wszystko w normie - uprzedziła mnie Tracy. - Spoko. Jeszcze jedno kasznięcie, a dostałbym zawału.

- Nie mogę się uspokoić - wyjaśniłem. - Wszystko źle słyszę.

Może powinienem jeść w innym pokoju, przynajmniej dopóki małej nie wyrosną zęby albo nie nauczy się jeść nożem i widelcem. I obliczać własnych podatków.

- Jesteś jeszcze głodna? - spytała Tracy. Z ust Tess dobiegło kilka „mmm”. - Zjedzmy trochę płatków.

- Błagam, nie.

Płatki? Najbezpieczniejsze są płatki śniegu. Równie dobrze moglibyśmy ją karmić nabojami. Chciałem zatkać sobie uszy łyżką Tess. Garść płatków spadła na blat przed małą, a ja przygotowałem się na najgorsze.

- Może dawajmy jej po jednym? - zasugerowałem.

- To za wolno. Daj spokój.

- No dobra, po dwa.

- Mmm - mruknęła Tess. A potem nieco bardziej nagłaco: - Mmm!

Była to wersja oznaczająca: „Pośpieszcie się!”, jakby Tess postanowiła mi udowodnić, że moja gotowość dostarczania jednopłatkowych porcji, podyktowana lękiem i potrzebą monitorowania bezpiecznego wchłaniania odpowiednio nawilżonego pokarmu, nie nadąża za jej głodem i tempem jedzenia.

I nagle usłyszałem, jak Tracy uderza Tess po plecach. Mocno. Tess się zakrztusiła i wypluła jeden płatek. Resztką dostępnej mi adrenaliny rozsadziła błony bębenkowe.

- O Jezu - jęknąłem i opadłem twarzą na stół, zaplatając dłonie nad głową. - Dosyć tego. NIE WYTRZYMAM.

Tracy raczej się nie przejęła.

- Daj spokój - powiedziała. - Nic się nie stało.
- Mnie się stało! Nie mogę tego słuchać.
- Ona po prostu uczy się żuć. A ty się uczysz, jak to brzmi. Cierpliwości.

Podczas tego długiego lata, pełnego prychnania i odkasz-liwania, zapominałem czasem o najważniejszym fakcie w naszym świecie: o tym, że Tracy zawsze obserwowała małą, gotowa wkroczyć do akcji wszędzie tam, gdzie ja nie dawałem rady. Była tak bezustannie obecna w pośredniczeniu między mną a moją córką, że czasem tego nie zauważałem. Nie zauważałem jej. Kiedy Tracy i mnie udaje się stworzyć pełną symbiozę, moja żona staje się niewidzialna. Jest to zła strona jej wprawy w byciu widzącym partnerem. Tracy znika i pozwala mi rozwijać się w atmosferze kontrolowanej, ale niekrępującej samodzielności. Nie tylko Tess uczyła się czegoś od niej.

A jednak trudno się poczuć ojcem, kiedy człowiek potrzebuje tylu wskazówek. Kiedy nasz partner musi być jednocześnie naszym rodzicem. Jako niewidomy zawsze starałem się unikać ckliwości, obłędu albo czegoś jeszcze gorszego. Najczęstsza patologia polega na tym, że utratę wzroku zaczyna się traktować jako romantyczną tajemnicę. Och, innymi zmysłami na pewno postrzegasz świat jako piękny, zachwycają się niektórzy ludzie. Niestety, smog to smog. Założę się, że naprawdę słuchasz swojej żony, mawiają czasem kobiety, oddając się fantazji na temat poważnych rozmów z przyklejonymi do telewizora mężczyznami. Chciałbym w to wierzyć. Prawda wygląda jednak inaczej: zazwyczaj to Tracy odczytuje na głos moją pocztę albo opisuje, gdzie leżą moje buty. W tym nie ma nic tajemniczego ani romantycznego.

A zatem, jeśli o mnie chodzi, ślepotą pociąga za sobą dwa i tylko dwa specyficzne problemy: ograniczenie mobilności i utrudnienia w obcowaniu z informacjami odbieranymi wzrokowo, na przykład z drukiem. Z tego wynikają wszystkie inne zakłócenia. I dlatego w pilnowaniu Tess nie chodziło o patrzeć czy niepatrzeć, nadmiar bodźców dźwiękowych albo zdolność do nieinwazyjnego sprawdzania, czy mała przeżyła. Chodziło o umiejętność czytania. Tracy miała rację. Uczyłem się, jak słuchać Tess i jak odczytywać jej sygnały, a Tracy miała być

naszym tłumaczem, dopóki nie zrozumie, jakich dźwięków mogę się spodziewać, w jakiej kolejności i jakim natężeniu. Żeby się nauczyć wykrywania odchyłań, musiałem się zaznajomić z dźwiękową normą. Wszyscy rodzice muszą przez to przejść. Moje doświadczenia były po prostu nieco bardziej intensywne.

Zanim opanuję tę wiedzę, Tracy miała być moim dodatkowym czujnikiem.

Kilka tygodni po fazie obsesji na tle krztuszenia wróciłem ze spaceru z Tess. Takie spacerki same w sobie stanowiły ogromne zagrożenie, ale stopniowo, podobnie jak posiłki, przekształciły się w coś zwykłego i naturalnego. Tak być powinno. Rutyna. Jak zucie.

Tracy była na górze. Tess i ja usiedliśmy na kanapie. Rozpocząłem zmuszoną procedurę uwalniania małej z nosidełka oraz zdejmowania kolejnych warstw odzieży i ocieplenia. Usunąłem kapelusik, sweterek i buty. Rękawiczki i okulary przeciwsłoneczne. Tess protestowała ze złością charakterystyczną dla kogoś, przy kim uwija się niewidomy. Tyle słyszałem.

A potem coś poczułem. Palilo się. U nas, nie u sąsiadów.

Swąd zdawał się dochodzić z sąsiedniego pomieszczenia, czyli z kuchni - najbardziej prawdopodobnego źródła. Chwyciłem Tess i podbiegłem kuchenki. Swąd zelżał. Zgęstniał ponownie, gdy wróciliśmy pośpiesznie do pokoju. Odsunąłem meble od gniazdek elektrycznych. Dym nie dochodził stamtąd. Zgarnąłem rzeczy z ławy. Czasopisma i listy. Nic nie było gorące. Zawołałem Tracy, bo nie wiedziałem, dokąd zabrać Tess. Jednocześnie szukałem ubrań. Zebrałem je z ławy. Ruszyliśmy w stronę wyjścia. Wciąż miałem na sobie nosidełko. Wezwałem Tracy na pomoc i powiadomiłem ją o pożarze.

Tracy zbiegła na dół, wołając:

- Gdzie?! Gdzie?!

- Tu był pożar! Czuję dym!

Już miałem ubrać małą, kiedy Tracy wyrwała mi z rąk kapelusik i sweterek Tess. Zaczęła tłuc nimi o stół. To one się paliły. Okazało się, że rzuciłem ubranka na świeczkę, no i, wiecie, zaproszyłem ogień. Pewnie się dziwicie, że nie poczułem

ciepła, ale trzymanie płonącego sweterka przypomina trzymanie zapalniczki. Dym czuje się znacznie wcześniej niż gorąco na skórze.

Kiedy kryzys został już opanowany, ubranka Tess miały pełno dużych, przypalonych dziur. Na jej bucikach, w miejscach, które liznął ogień, zostały brązowe ślady. Poza tym wszystko było w porządku, ucierpiała tylko moda dziecięca. Ogień, podobnie jak zadławienie, to bardzo ciche niebezpieczeństwo.

- Nic jej nie jest - powiedziałem do Tracy. - Dostałem nauczkę. Tata nie będzie już rozrzucał ubrań.

Ta spontaniczna konkluzja nie przyniosła Tracy ulgi. Moja żona pomaga mi na wiele sposobów, ale nie umie wszystkiego przewidzieć i obrywa, kiedy tylko straci czujność. Założę się, że to męczące. Nawet głupią świeczką się nie nacieszy. Musi przeprowadzić szczegółową analizę. Ryan może rzucić na to ubranka. Albo dziecko.

- Wiesz co? - odezwałem się. - Ubierzmy ją w to i umieścimy zdjęcie na blogu. Ludzie będą sobie łamać głowy. Jak myślisz?

Tracy nie odpowiedziała. Słyszałem to głośno i wyraźnie.

### Niezwykłe przygody Dicka, Fane i Spota

Nasz zrzędlawy mops, Kair, jest jasnobrązowy. Miłośnicy mopsów nazywają ten kolor „przydymioną morelą”. Mamy psa od prawie dziesięciu lat i uprzedzę wasze pytanie: nie, na psa przewodnika Kair się nadaje tak samo jak bezoki kot. Co wcale nie znaczy, że mam nad nim władzę. Ten pies jest jak traktor, który ciągnie mnie w kujące krzaki albo nadzieje na hydranty. Ponieważ teraz to nie Kair, ale Tess jest najważniejsza w naszej rodzinie, zakładam, że pies postawił sobie za cel moją kastrację.

Podczas sześciu pierwszych miesięcy życia Tess, kiedy nasza córka rosła i rozwijała się poznawczo, Kair kompletnie jej nie interesował. Mops odwdzięczał się małej identycznym brakiem uczuć. Traktował ją jak łysą żonę, która ukradła naszą miłość. Nasze ręce były teraz pełne smoczków i gryzaków, a nie psich smakołyków czy śmierdzącej aksamitnej żaby Kaira, jego ulubionej zabawki do żucia. Nie wiedziałem, że psy potrafią wyczuć zdradę.



Kair rzucał Tess adekwatne spojrzenia. Możecie być przeciwni ucłowieczaniu zwierząt domowych, ale mopsy mają wyraziste, pomarszczone czoła i dysponują potężną dawką biernej agresji. To subtelna, uzdolniona aktorsko rasa. Potrafią przechylić łeb na bok i ze znużeniem oraz bólem wyrazić pytanie: „Och, czemu mnie tak traktujesz?”.

Z tym omdlewającym wejrzeniem oraz największą złością Kaira spotkaliśmy się, próbując zainicjować jakąś więź między nim i dzieckiem. Zamierzaliśmy umieścić jeden z kocyków Tess pod miską Kaira i w ten sposób skojarzyć zapach dziecka z ukochanym psim żarciem, ale Kair nie dał się nabrać. Przejrzystość naszych intencji była dla niego obelgą. Pies po prostu zeżarł kolację, zignorował kocyk, spojrzał wściekle na Tess i uznał kocyk za zaproszenie do zjedzenia jego właścicielki.

Trzymaliśmy małą z daleka od niego.

Ja preferowałem miejsce przy kuchennym stole. Tess siedziała wyprostowana na moich kolanach, zwykle trzymając grzechotkę w jednej ręce i gryząc drugą. Mimo niedoboru snu - naszego i jej - cieszyłem się tą chwilą. W tej pozycji, zajęta takimi cudami jak własne palce, moja kieszeń czy folia spożywcza, Tess pozwalała mi wyczuć swoje ruchy i odkrycia. Wykonywała nowe, fascynujące gesty, przesuwała przedmioty i wydawała z siebie różne dźwięki. Mój Boże, ile dźwięków. Grzechotką wystukiwała rytm, powtarzała go raz czy dwa, prychając przy tym pogardliwie, i już zajmowała się czymś innym, na przykład buteleczką wypełnioną suchą fasolą, plastikowymi pudełkami z ryżem, monetami albo guzikami, kombinacją rozmaitych efektów akustycznych. Potrafiła się tak tłuc godzinami. Może brzmi to nudno, ale Tom Waits mógłby tu nagrywać swoją sekcję rytmiczną. W naszej kuchni roilo się od różnych przyrządów... no, kuchennych.

Najfajniejsze, że cokolwiek robiła Tess, dzięki przenoszeniu się jej ciężaru na moich kolanach i dzięki jej ruchom w moich ramionach, mogłem zawsze prześledzić obrót głowy i reszty ciała, podążyć za nią i pocałować albo połaskotać. Trzymanie Tess dawało mi widok, co mnie bardzo cieszyło. Moje kolana były całym światem. Aż przestały. Ten świat wystarczał Tess, dopóki nie stało się coś dziwnego.

Tess odkryła Kaira.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to nieuniknione. Że prędzej czy później Tess musiała zauważyć inne interesujące rzeczy, inne niż Tracy i ja. Ale tak mówią przegrani. Powinienem być bardziej się starać o utrzymanie małej na kolanach, by wyrównać nasze szanse.

Ujmę to inaczej. Znacie tę starą piosenkę country - Mamo, nie wychowaj dzieci na kowbojów? Jasne, jest chwytliwa, ale to idiotyczna rada dla rodziców. Kto nie chciałby mieć w rodzinie kowboja? Szafa pełna czystych kapeluszy, zamrażarka pełna steków. W czym problem? Moja wersja tej piosenki odnosiłaby się do autentycznych bolączek z wychowywaniem niemowląt i leciałaby mniej więcej tak: „Mamo, nie pozwól, żeby twoje dzieci zobaczyły psa, kreskówki, lalki albo inne rzeczy, które mogłyby przyćmić twoją miłość”. Mówię wam, w mojej piosence jest prawda i cierpienie. Jak miałbym konkurować z przydymioną morelą? Mój pies jest ekshibicjonistą. Kto by na niego nie patrzył?

Tamtego strasznego dnia usłyszałem tupot łap Kaira, zbliżającego się do nas z lewej strony. Tess odwróciła głowę w stronę źródła dźwięku. Kair stukał dalej, a potem minął moje krzesło. Zanim jednak pojawił się z drugiej strony, Tess obróciła się wyczekująco. Nie tylko zauważyła przyjscie psa i prześledziła jego ruch, co samo w sobie stanowi ogromny postęp w postrzeganiu. Ona odgadła również, dokąd Kair pójdzie, w którym miejscu przestrzeni się pojawi, jeśli tylko na niego poczeka. Do tego momentu widziała świat wyłącznie jako serię odrębnych obrazów. Teraz dostrzegła obiekt i jego ruch, ale również na swój własny niemowlęcy sposób wyobraziła sobie przyszłość. Umysł zdołał jej opowiedzieć króciutką historię o tym, gdzie był pies, i dzięki temu odgadła, dokąd pójdzie. Patrząc, stworzyła swoje pierwsze opowiadanie. Mała pisarka tatusia.

Tracy była zajęta przy zlewie, ale też zauważyła nadejście nowej Tess.

- Widziałeś? Nigdy wcześniej tego nie robiła. Ona normalnie... obserwowała psa.

- Brawo, bączku! - pogratulowałem małej i poklepałem ją po plecach, dodając to, co powiedziałby każdy dumny ojciec po pierwszym kulawym solo swojego dziecka na tubie: - Znakomicie, bączku. Tata tak nie potrafi.

Naprawdę byłem pod wrażeniem i naprawdę przejęty, a jednocześnie towarzyszyło mi poczucie straty. Coś się zmieniło w moim poznaniu. Zmieniło się razem z Tess.

Kiedy Tess po raz pierwszy zauważyła ruch, ja zostałem elementem innej skali. Ta, którą znałem, należała do historii, więc poczułem się nie na miejscu. Poczulem ojcowski zawrót głowy.

No bo tak: siedziałem sobie przy kuchennym stole. Byłem tu, cokolwiek to znaczyło, ale jak się tu znalazłem? Cała moja przeszłość doprowadziła mnie do tego miejsca. W takiej sytuacji sporo można zobaczyć. Jakaś część mnie ciągle była nastolatkiem, który przeżył ponad tuzin wypadków samochodowych i tyle samo pojedynków z wózkami widłowymi. A jednak siedziałem tutaj, niby ten sam, ale jednocześnie ktoś prześladowany przez faceta twierdzącego, że Peter Jackson podstępnie umieścił mu w siatkówce czip i że tylko ja mogę powiedzieć o tym całemu światu (załatwione). Nosilem też w sobie tego młodego niewidomego kolesia, którym nigdy już nie mogłem się stać, tego, który przekonał horde pijanych rosyjskich marynarzy, że mimo ogolonej głowy nie jest amerykańskim żołnierzem mieszkającym w Korei Południowej i że nie ma zamiaru ich napaść ani przyłączyć się do poszukiwania kogoś, kogo można będzie napaść, ani kogoś do, jak to ujęli, „ruchania”. Mógłbym wam to i owo opowiedzieć. Kiedyś zgubiłem się w górach w stanie Utah i znalazła mnie Czeszka za kierownicą SUV-a dudniącego muzyką mariachi. Prowadził mnie człowiek przebrany za niedźwiedzia. Diler narkotykowy urządził mi wycieczkę po swoich rewirach Nowego Jorku. Jako niewidomy zgubiłem się i odnalazłem tysiące razy. Te historie zawsze mnie opisywały i dlatego je opowiadam. Żeby wiedzieć, kim jestem.

A teraz byłem facetem, którego dziecko zobaczyło psa.

To moja nowa opowieść. Miałem palące wrażenie, że jest ona ważna i niesamowita, a jednocześnie czulem męczącą frustrację, bo wiedziałem, że to właściwie drobiazg. Bajka dla dzieci. Nie czytałem czegoś takiego od czasów szkoły podstawowej, kiedy to Dick spotkał Jane. Dick i Jane widzą psa Spota. Biegnij, Spot, biegnij. Jak na ironię, dopiero jako ojciec zrozumiałem wreszcie, o co tak naprawdę

chodziło w tej historii. O naprawdę ważne rzeczy. Tess widzi. Tess widzi Kaira. Biegnij, Kair, biegnij.

To niepozorna historia. Niepozorna, ale głęboka i znacząca. Ukazująca siłę przemiany. Tak całkowicie inna niż życie przed Tess. Może ta minimalistyczna głębia wyznaczała nową skalę naszego życia i miarę nowego mnie. Taty.

Tess bez wątpienia rosła i dojrzewała z dnia na dzień. Tworzyła też własną historię. Życie zasługujące na własny opis. Dzieci dysponują tylko garścią czasowników. Jedzą, srają, płaczą, pluja, śpią, śmieją się i wierzgają. Przez pierwszy rok życia dziecka młody rodzic żyje wśród tych czasowników. W pewnym sensie jest to element procesu dezorientacji, do spółki z niedoborem snu i całą resztą złoczyńców. Czasem rano przyłapywałem się na tym, że siedzę z Tess i potrząsam jej grzechotką, dokładnie tak samo jak robiłem to dzień czy dwa dni wcześniej, albo słucham jej płaczu, odgłosów jedzenia i zastanawiam się, gdzie do cholery zniknęły moje czasowniki? Dziecko zjadło moje czasowniki. Czy ktoś mógłby otworzyć tu okno?

To by wyjaśniało, dlaczego rodzice w tak nieubłagany sposób opowiadają anegdoty. Każda nowa czynność naszych dzieci, choćby nie wiem jak banalna, wprawia nas w ekstazę, niejako budzi z długiego snu czy zamrożenia. Niczym turyści, którzy zrobili zbyt wiele zdjęć, zanudzamy swoją paplaniną obcych ludzi, świętujemy nasz powrót z nowych granic. „Mój Boże - mówimy - szkoda, że nie widziałeś, co nasz mały zrobił ostatnio z węzem ogrodowym! A dziś wydał zupełnie nowy dźwięk, zupełnie jakby powiedział «wieloaspektowy», a przecież my nawet nie używamy tego słowa w domu, prawda, kochanie?”. Rodzice - my wszyscy - wysyłają meldunki z innego wymiaru, gdzie dzieci obserwujące psy i płaczące węże ogrodowe są przebojem kasowym. Bo są. I to jakim!

A może po prostu trzeba to samemu zobaczyć.

Tymczasem w naszej kuchni historia toczyła się dalej. Tess zachichotała na widok psa. Kair wciąż nie miał pojęcia, że zyskał właśnie status gwiazdy jako trzeci żywy byt w świecie naszej córki.

Takie historie działy się prawie każdego dnia. Byliśmy świadkami przeróżnych rzeczy. Większość z nich wiązała się z odkrywaniem kontroli ruchowej, umiejętności celowania, wywierania wpływu i innych podobnych spraw. Za każdym razem, przy każdej zademonstrowanej umiejętności, Tracy i ja byliśmy porażeni tym, jak zdumiewające są te elementarne talenty. Kiedy ostatni raz zdarzyło mi się odkryć, że moje ciało potrafi coś zrobić? Więcej - czy to zmieniło mój stosunek do rzeczywistości? Nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

A przecież mogłoby mi się to przydarzyć. Przypuśćmy, że odzyskałbym wzrok. Inżynieria genetyczna jest już bliska opracowania zarówno sposobu zapobiegania retinopatii, jak i jej leczenia. Jasne, że bym się cieszył i pisałbym się na to. Jednak musiałbym też zapytać, co by to właściwie oznaczało. Oczywiście mógłbym zobaczyć Tess i tak jak ona pierwszy raz od lat obserwować psa idącego przez kuchnię, ale nie wiedziałbym już, kim jestem ani jak powinienem się zachowywać. Zrozumienie nieustannych bodźców wzrokowych i zarządzanie nimi stałoby się kolejną traumą, podobną do ślepoty. Coś jak zamiana ciał. Wyobraźcie więc sobie moment odkrycia przez Tess jej dłoni. Albo te pierwsze płynne, ruchome obrazy świadomości i psa, który przeszedł z jednego miejsca w drugie. O kurna. Nic dziwnego, że dzieci potrzebują drzemek.

Niedługo później Tess zaczęła wskazywać palcem. Głównie przydymioną morelę, potem inne rzeczy, potem praktycznie każdy przedmiot w naszym domu. Nowym ojcowskim zadaniem, jakie postawiła przede mną Tess, jakby wyciągając wnioski z obserwacji Kaira, było aportowanie tego wszystkiego i zbliżanie do jej zaślinionych ust. Dzięki tej nowej, niełatwej rozrywce czułem się często jak Master Blaster, stwór z trzeciej części Mad Maxa (tej z Tiną Turner i Kopułą Gromu). Na wypadek gdybyście nie widzieli tego filmu - szczęściarze! - wyjaśniam, że Master Blaster składał się z idioty o imieniu Blaster, niemego, durnego olbrzyma noszącego na grzbiecie Mastera, czyli wrednego karła poniewierającego Blasterem jak poganiacz mułem. Albo Tess swoim tatą.

- To, to - nalegała i rozkazująco dźgała powietrze palcem.

Nie miała pojęcia, że takie gesty nic mi nie dają, niezależnie od użytego zaimka, jako że kształt palca i kierunek giną w płynie wypełniającym moje siatkówki. Niezrażona Tess wskazywała dalej, nawet wtedy, gdy tak jak dawniej siedziała mi na kolanach. Teraz jednak była sfrustrowana i znudzona. Nasz zamknięty, utopijny plac zabaw już jej nie wystarczał. Tess wyrosła z moich kolan, a ja nie byłem w stanie za nią nadążyć. Zyskiwała zdolność postrzegania i zostawiała mnie daleko w tyle, zamkniętego w ślepotcie, której nie rozumiała. Dopiero język mógł to zmienić. Ale kiedy to się stanie? Kiedy nas połączy?

Zostałem w miejscu, a ona poszła dalej. Uczyła się, co jest „tam”, ja tkwiłem „tu”, gdzie Tess też kiedyś była, ślepa i zadowolona. Przyszła pora, żebym to ja dorósł i się zmienił. Musiałem temu jakoś sprostać, dotrzymać jej kroku.

Patrzcie, jak tata biegnie. Biegnij, tato, biegnij.

### AKT III

W świecie słów

Zagubiony w przestrzeni

Kiedy dzieci już odkrywają, jak śledzić poruszające się przedmioty, czeka je następna ważna, trudna i paskudna lekcja: dowiadują się, że te ruchome przedmioty mogą też znikać. Na przykład kiedy ukochana osoba wychodzi z pokoju - znika. Hokus-pokus. Nie jest jednak oczywiste, że zaginiona osoba może wrócić i wróci, jeśli nie liczyć sytuacji makabrycznych.

Po raz pierwszy samodzielnie zajmowałem się Tess w Dniu Matki. Owszem, Dzień Matki. Nazwa powinna służyć jako podpowiedź. Nasze udane spacerunki po okolicy wzmocniły moją pewność siebie oraz zaufanie Tracy. Byłem gotowy. Radziłem sobie. Tracy mogła teraz swobodnie pozwolić sobie na zasłużoną, mój Boże, aż godzinną przerwę. A nawet dłuższą o kilka minut.

Mogłoby się wydawać, że to zbyt krótkie, zbyt skromne wychodne dla Tracy, która dźwigała na barkach ciężar całego dnia Tess. Jasne. Nie będę się spierał, bo bardzo chciałbym dać mojej żonie więcej wolnego czasu. Zamknijcie jednak oczy i

przez godzinę zajmujcie się noworodkiem. Też będziecie liczyć minuty, zupełnie jak matka dziecka.

Wykupiłem Tracy wizytę w położonym w centrum miasta salonie piękności. Tam będzie mogła się rozkoszować zabiegami oraz zasłużoną ciszą i spokojem. Tess natomiast będzie w tym czasie kołysać się w nosidełku, dźwigana przeze mnie po okolicy. Master Blaster zwiedza miasto. Mała pewnie zaśnie i zacznie się ślinić. Też się zrelaksuje.

Przygoda, jak zwykle, zaczęła się od płaczu Tess w samochodzie. Mała wyła przez całą drogę do centrum, a kiedy przypiąłem ją do piersi, ryknęła jeszcze głośniej. Chciała do mamusi. Ja, oczywiście, nie byłem mamusią. Co gorsza, Tess widziała teraz, że przypięto ją do jakiegoś wielkiego idioty. Kiedyś byłem jej ulubionym pojazdem i szoferem, ale teraz stałem się narzędziem tortur, które więziło ją z daleka od pachnących, miłych ramion Tracy.

Właśnie tak postrzega to dziecko. Pocieszałem się, że jej zły humor minie, kiedy tylko mała zobaczy coś nowego i interesującego, na przykład... no, kto wie. Wszystko było możliwe. Skrzynkę na listy albo opakowanie po hamburgerze, a może wystawę sklepu obuwniczego. Może zawędrujemy do salonu tatuażu, gdzie będzie można obejrzeć krew i grymasy bólu. Przed wejściem do salonu piękności Tracy starała się uspokoić Tess, uśmiechnęła się i zagruchała po raz ostatni na pożegnanie. Zrobiła to jednak nieco niechętnie i bez entuzjazmu, co mnie przygnębiło. Zupełnie jakby wiedziała, że prędzej czy później wejdziemy tam za nią i skrócimy jej wypoczynek. Tracy była związana z Tess na swój własny sposób.

- Baw się dobrze, skarbie - powiedziała do małej, a może do mnie, po czym zniknęła za drzwiami. My zostaliśmy na chodniku.

- Widzisz? - powiedziałem. - Mamusia poszła tam na... Nad nosidełkiem uniósł się grzyb atomowy.

- Nie, nie, nie płacz! Mamusia poszła tam na moment! Wróci!

Tracy zza drzwi słyszała płacz Tess. Podobnie jak personel salonu piękności. Na dźwięk tego wycia oraz na widok spanikowanego ślepeca, który miał się zająć

dzieckiem, pracownicy salonu otoczyli moją żonę jak kogoś gwałtownie potrzebującego aromaterapii i masażu.

Instynktownie wyczułem, że najpierw trzeba zająć czymś dziecko. Zasiać ziarno zainteresowania, a potem umiejętnie stymulować zabawą i sztuczkami, tak żeby mała nawet przez moment nie zdążyła pomyśleć: „Ej, a gdzie jest mamusia? Zaraz, zaraz, mamusia CIĄGLE ZAWSZE NIGDY TUŻ NIE WRÓCI!”.

Muszę jednak przyznać, że nigdy nie byłem zbyt dobry w opiece nad dziećmi. Oczywiście tutaj nie pełniłem funkcji zwykłego opiekuna, bo Tess była moją córką i miłością mojego życia, ale nie miałem okazji wykazywać się stosownymi umiejętnościami od czasów szkoły średniej, kiedy to jeszcze widziałem. Zresztą nawet wtedy nie miałem pojęcia, co robić z dziećmi. Puszcząłem po prostu teledyski, jadłem chipsy i kładłem dzieciaki wcześniej do łóżek. Dużo wcześniej.

Nie zrozumcie mnie źle. Mieliśmy przy tym trochę frajdy. No, przynajmniej tak mi się wydawało. A to dlatego, że sąsiedzi, którzy zdecydowali się zatrudnić moją przyszczą osobę, byli rodziną spektakularnie religijną. W Halloween tylko oni rozdawali ulotki z listą kroków wiodących do zbawienia. Byli też bardzo mili i pewnego wieczora poprosili, żebym znalazł jakieś zdrowe, przyzwoite zajęcia dla ich dwóch córek, podczas gdy rodzice zabiegali o zbawienie na własny, dorosły sposób. Nie ma problemu.

Kiedy już pochłonałem dosyć skąpe racje żywnościowe i pokazałem dziewczynkom gwarantującą koszmarne sny dawkę klipów zespołu Skinny Puppy, zakończyliśmy dzień, wymyślając nowe modlitwy przed snem. Czyli około osiemnastej.

Ukląknę z dziewczynkami przy łóżkach i zacząłem re-cytować:

- Ojcze nasz, jesteś w niebie...

- Nie, nie - warknęła starsza. - Mówi się: „Ojcze nasz, KTÓRYŚ jest w niebie”, głupku.

- Serio? Nie sędzę.

- Właśnie, że tak!

- Ale ja jestem starszy, więc nie masz racji.



- Jesteś głupim głupkiem.

Miała dopiero osiem lat, a już zapowiadała się na wrednego kaprala.

- Może i jestem - stwierdziłem - ale mówi się tak: „Ojcze nasz, jesteś w niebie, Święć to imię twoje, a gdzie mieszka Święć? W niebie”.

Młodszej dziewczynce opadła szczeka. Zdjąłem właśnie zasłonę z rzeczywistości i ukazałem pierwsze tajemne imię.

- Bóg ma na imię Święć?

- Tak. Bóg ma wiele imion.

- Na przykład jakich?

- Zobaczmy - powiedziałem i wróciłem do modlitwy. - Ojcze nasz, jesteś w niebie, Howard to imię twoje”.

- Przestań! - wrzasnął przyszedły kapral. - Nie wolno tak mówić!

- Nie mogę mówić Howard?

Nigdy więcej już mnie tam nie zaproszono.

Tess była za młoda na improwizowaną egzegezę Modlitwy Pańskiej, więc na razie po prostu szedłem przed siebie. Szybkie tempo spacerowe zazwyczaj wystarczało, by ją uspokoić. Tyle tylko, że natychmiast stanąłem przed nieoczekiwaną przeszkodą.

Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy.

Nie znałem tej części miasta. Konkretnie, nie miałem pojęcia, co mnie otacza i w którą stronę najbezpieczniej pójść. A przede wszystkim, gdzie się podziały schody. Wiedziałem, że z parkingu weszliśmy na górę po schodach, ale potem chyba szliśmy chodnikiem, aż do salonu piękności. Chodnik w chmurach. Tess była już cała mokra od łez. Howard postanowił dać mi nauczkę.

Odwrociliśmy się od drzwi, tych samych, które pożarły mamę Tess. Machnąłem laską, żeby znaleźć krawężnik. Tess pewnie lepiej niż ja orientowała się, gdzie jesteśmy i dokąd powinniśmy pójść. Brakowało mi pomocy bodźców wzrokowych. Było bardzo jasno, a zbliżając się do światła, czułem ciepło na twarzy, blask ten rozpraszał jednak wszystkie ewentualne plamy, którymi mógłbym się kierować. Kiedy Tess krzyknęła głośniej, założyłem, że słońce świeci jej prosto w oczy, więc

się odwróciłem i ruszyliśmy powoli tuż nad przepaścią. Moje postrzeżenie przestrzeni było tak słabo wykształcone, że czułem się, jakbyśmy szli po linie, a przecież, zdaje się, staliśmy na środku pustego, szerokiego deptaku.

Tess opiewała swoją mamę. Nie byłem w stanie znaleźć schodów, więc mogłem tylko mieć nadzieję, że nasz dzień nie zamieni się w próbę do sceny upadku w filmie *Thelma i Louise*. Każdy ostrożnie postawiony krok oznaczał zwycięstwo i znaczne poszerzenie znanego wszechświata. Moje uszy wśród protestów dziecka gorączkowo nasłuchiwały jakichkolwiek odgłosów ruchu ulicznego. Nie bałem się, że zostanie z nas mokra plama - o ile mi wiadomo, samochody nie wjeżdżają po schodach - ale brakowało mi punktu odniesienia. Ruch uliczny pomaga znaleźć kierunek. Podobnie jak schody, korytarze i drzwi. Niewidomi i niemowlęta lubią ograniczoną przestrzeń. Dzięki niej wiemy, gdzie jesteśmy. W tamtym momencie chętnie zamieszkałbym w kołysce.

Wiele zygzaków później znaleźliśmy skrzyżowanie, lecz nadal ani śladu schodów. Najwyraźniej niebo zrównało się z poziomem ulicy i to bez nachylenia, rampy czy schodów ruchomych. Odwróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni i wracałem po własnych śladach. Nauczyłem się, że mogę sobie pozwalać tylko na bardzo krótkie wypady w nieznaną, jeśli się nie upewnię, jak zawrócić. Nie oznacza to jasnego i skutecznego schematu „dwa kroki naprzód, jeden w tył”. To by było fajne. Niestety, spacer ze mną wygląda raczej tak: sto kroków naprzód, sto dziesięć w tył, dwieście naprzód, sto czterdzieści w tył, zagubienie, oczekiwanie na pomoc. Nienawidzę spacerów.

Małe dzieci robią to samo. Uciekają rodzicom, potem wracają jak bumerang i to wcale nie tylko z miłości czy strachu przed karą, ale także w ramach ćwiczenia mózgu. W tym wieku dzieci się uczą, jak wytyczać drogę powrotną - jak wyobrażać sobie przestrzeń i jej pokonywanie - więc najgorszą rzeczą, jaką może zrobić rodzic, jest pościg. Dziecko widzi to zapewne w ten sposób: „Hej, skąd ty się tu do diabła wzięłeś, skoro tak się namęczyłem, żeby przed tobą uciec? Spróbujmy jeszcze raz”. I znów daje nogę.

Na tym kończą się podobieństwa między małymi dziećmi i niewidomymi. W idealnym świecie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę miałbym przy sobie asystenta, który szedłby za mną krok w krok.

Przyśpieszyłem nieco i skierowałem się w górę ulicy, żeby zabawić Tess widokiem... no właśnie, czego?

Kiedy moja córka jest spokojna i czymś zajęta, potrafi świetnie skierować Mastera Blastera w stronę tego, co wzbudziło jej ciekawość. Teraz jednak miałem do czynienia z odmiennym problemem: nie potrafiłem jej opisać otaczającego nas świata. Idąc, starałem się wskazywać na różne rzeczy i nazywać je, ale dotarło do mnie, że mój obraz miasta, napędzany przez dźwięki i zapachy, uległ poważnej atrofii.

- Patrz, bączku - mówiłem. - Patrz jaki duży... eee... budynek.

Uznałem, że to bezpieczny strzał. Przeszliśmy kilka kolejnych kroków, a ja zmusiłem swoje zmysły, żeby znowu znalazły coś dla Tess.

- Teraz patrz tutaj - ciągnąłem, machając niepewnie ręką. - Jeszcze jeden budynek, widzisz?

Wycie nie ustawało. Tess nie była zainteresowana i trudno mieć jej to za złe. Równie dobrze mogłem nas zabawiać serią kwadratów nazywanych „rzeczami”.

Poszliśmy jeszcze dalej, aż w końcu otarłem się biodrem o coś zimnego, metalowego i twardego. W mieście roi się od takich rzeczy. To coś nie ustąpiło, ale ja straciłem równowagę i niewiele brakowało, a niespodziewana siła rzuciłaby nas na plecy. Tess dała mi do zrozumienia, że nie przepada za slapstickowymi numerami.

- Hej, zobacz - powiedziałem, wskazując na zimny metalowy przedmiot. - To jest... eee... metalowe. I, no wiesz, zimne. Może to stojak na rowery. A może nie.

Pohuśtałem małą i odwróciłem się w stronę jedynej pewnej rzeczy, czyli przejeżdżających samochodów.

- Słyszysz auta? Może jedzie tam ciężarówka? Widzisz... eee... jakiś pojazd?

Ostatnio ten sam problem dał o sobie znać w innej sytuacji. Pewnego popołudnia Tracy weszła do pokoju Tess i zobaczyła nas pogrążonych w lekturze na Wielkim Fotelu Piosenkowym.

- Trzymasz tę książkę do góry nogami - oznajmiła, chowając ubranka do szuflad. Ustawiłem książkę poprawnie, przewróciłem kartkę i czytałem dalej.
- Ludzie jadą autobusem, jadą sobie w dal...
- To nie Jedzie autobus - przerwała mi Tracy. - Tylko O psie, co puszczał bąki.
- Aha.

W jednej chwili książka stała się gruba i pusta. Gapiłem się na kolorowe smugi i chciałem czytać, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Moja niechęć do pisma Braille'a wyparowała.

- A jak to leci? - spytałem w końcu Tracy.

- Jesteś przy rozdziale Kłopoty na wyprzedaży. Ojciec sprzedaje psa klaunowi. Na końcu jest napad na bank i balony.

- Dobra. W porządku. Czytamy, bączku. Był sobie pies, co puszczał bąki. Pewnego dnia zorganizowano wyprzedaż i przyszedł tam klaun i...

Zdołałem zapamiętać kilka zwierzątek z serii książeczek „Poczytaj mi, mamoo” i po jednym zdaniu z każdej strony historyjki Co widzisz, brązowy misiu? Potrafiłem nawet całkiem zgrabnie wycisnąć z siebie własną wersję Trzech małych świnek, ale tutaj wymiękłem. Jak, do cholery, połączyć pierdzącego psa z wyprzedażą, napadem na bank i klaunem? Nie chciałem, żeby Tess brała autobusy za psy, a bąki za coś, co tata wymyślił, kiedy udawał, że czyta jej książkę z obrazkami.

Dlatego przewróciłem po prostu kartkę i przez najbliższe pół godziny powtarzałem: „O rany!” oraz „Patrz, jaki... eee... kolor”.

Zagubiony w mieście czułem tę samą rodzicielską potrzebę, żeby nauczyć Tess czegoś nowego i odpowiednio to nazwać, ale moje możliwości były ograniczone. Ta historyjka miałaby nieskończenie mało słów.

I nagle coś usłyszałem. Odgłosy pukania i brzęczenia dochodzące z oddali, może z następnej przecznicy. Plac budowy. Mnóstwo dźwięków i wyraźnych obrazów w mojej głowie. Bonus. Jeśli Tess nie przestanie płakać, zagłuszą ją wiertarki udarowe. A na razie mogę mówić: „Patrz, wiertarka udarowa!”. Ruszyliśmy w stronę hałasu.

Kiedy się zbliżyliśmy do placu budowy, Tess przestała wycić i zaczęła chichotać. Młoty waliły, piły brzęczały, a koparka ryła ziemię. Teraz miałem do dyspozycji

paletę rzeczowników oraz czasowników i wreszcie mogłem pokazywać. Tess piszczała i wierzyła w nosidełku, a ja się odprężyłem, bo wiedziałem już, co mówić i gdzie jesteśmy. Od momentu pojawienia się Tess w naszym życiu te właśnie minuty były najmiłsze i dały mi wyobrażenie o tym, co tak naprawdę może oznaczać wychowywanie dziecka. Przekazywałem wiedzę. Objaśniałem coś mojej córce. Z każdym moim słowem jej świat stawał się większy, każda nazwa wyprowadzała ją z mgły w ludzką swoistość. Tess była oszołomiona, a ja potrafiłem nadać imiona temu oszołomieniu. Mogłem przykleić je do świata czubkiem palca wskazującego. Boże, co za fantastyczne uczucie. Polecam serdecznie.

Moje uszy nasłuchiwały. Nieco dalej znajdował się kolejny plac budowy. Kiedy wyczerpaliśmy i jego możliwości, namierzyłem następny, parę przecznic dalej. Za każdym razem, kiedy natykaliśmy się na barierki odgradzające nowy plac, Tess chichotała, a ja opowiadałem jej, co widzimy. Nie było już mowy o placu, przez prawie pół godziny zwiedzaliśmy w ten sposób miasto, aż wreszcie mała się zmęczyła.

To ostatnie słowo nie oddaje powagi sytuacji. Odgłosy wydawane przez wywrotki, dźwigi i brzęczący metal, a do tego ostre słońce i upał złożyły się na doznania, które przerosły możliwości Tess. Powiem tak: mała spadła w nieznaną dotąd otchłań rozpacz. Chciała do mamusi i to teraz, zaraz, już.

- Nie martw się, bączku - powiedziałem. - Wracamy. Znajdziemy mamusię. Pójdziemy szybko.

Obróciłem się na pięcie i przeanalizowałem w głowie plan ulic w poszukiwaniu najkrótszej drogi powrotnej.

Ale najpierw musiałbym wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Przedtem dryfowaliśmy od placu do placu i nie zapamiętałem wszystkich naszych ruchów. Budowlane odgłosy dochodziły z kilku stron. Moje znaki orientacyjne zniknęły.

Tłukłem laską i śpieszyłem się ze wszystkich sił, raz tu, raz tam. Wszędzie słyszałem identyczne dźwięki, więc szedłem i zawracałem, nie mogąc ustalić kierunku, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie, skąd przyszliśmy, serię skrętów

wykonanych przez moje ciało i czas między nimi. Osoba niewidoma jednak w gruncie rzeczy nie jest w stanie zrekonstruować takiej mapy, idąc jednocześnie przed siebie, ponieważ marsz zmusza mózg do archiwizowania nowej mapy. Piekło to wieczna wielozadaniowość. Trzeba też było radzić sobie z zagrożeniami w postaci słupów ogłoszeniowych i reklamowych. Przez cały ten czas Tess krzyczała i kopała, jakbym wykradł ją jej prawdziwej rodzinie, a mimo to nikt, żaden niewyraźny cień nie zatrzymał się i nie spytał, czy nam pomóc.

Czy można winić przechodniów? Raczej nie. Jeśli człowiek zapyta ślepego ojca z wściekłym dzieckiem, czy nie zgubili przypadkiem drogi, to będzie musiał ich prowadzić na przykład aż do Wisconsin.

Tess potrzebowała natychmiastowego pocieszenia i opieki. Po chwili popełniłem więc czyn, którego przyszło mi gorzko żałować. W trakcie poszukiwań rozpiąłem nosidełko i wyjąłem małą. Na dobre. Pamiętajcie, że nawet w sprzyjających okolicznościach nie potrafię założyć pieluszki, nie mówiąc już o zakładaniu uprząży rozjuszonemu dziecku.

Rozstanie z nosidełkiem wkurzyło ją jak cholera. Teraz miałem zajęte obie ręce, bo nieustannie sprawdzałem, czy coś się stało - czy coś ją gniecie, czy się nie poplula, czy nie ma pełnej pieluchy albo wypukłej wysypki - ale niczego takiego nie znalazłem. Wszystko wskazywało na pospolity atak dziecięcej furii. Mała najwyraźniej miała się dobrze, w przeciwieństwie do ślepego faceta, który teraz potrzebował dwóch rąk do niesienia wrzeszczącego dziecka i trzeciej do trzymania laski. Ostatnia opcja odpadała. Wetknąłem laskę pod pachę i poszedłem na całość.

Tak jest, bez laski.

Kto by pomyślał, że mogę iść jeszcze wolniej. W tamtej chwili opracowałem wyjątkowy system mikrokroków. Gdybyśmy jeszcze zwolnili, czas by się odwrócił i zgodnie z prawami fizyki kwantowej zabrał nas z powrotem do salonu piękności. Dreptałem naprzód, niosąc w ramionach Tess, a pod pachą laskę. Koło nas mknęły autobusy i ciężarówki. Otarło się o mnie kilka rozpędzonych rowerów. Zagrożenie wzrosło, ponieważ teraz nikt nie zauważał we mnie niewidomego. Złożona laska nie rzuca się w oczy. Na razie cofnęliśmy się raptem o niecałą przecnicę.

Razem z odgłosami kroków rozległy się głosy i jeden z tych głosów zechciał wskazać mi drogę do salonu piękności. Nareszcie.

- Trzeba iść tam - powiedział jakiś facet.

- Tam? - spytałem, pokazując palcem.

Facet złapał mnie za palec i obrócił w przeciwnym kierunku.

- Tam - powiedział. - Co, idzie pan do salonu piękności? Dziecku chyba się przyda masaż relaksacyjny.

Roześmiał się, rozbawiony własnym dowcipem, ale ja ledwo go słyszałem, bo moje ucho demolowały struny głosowe Tess.

- Daleko jeszcze? - spytałem.

- Trzeba przejść przez ulicę. Kurde, niezła z niego beksa, co?

- Tak, tak, beksa. A potem gdzie mam iść?

- No, chyba do salonu. To właśnie tam.

- Naprzeciwko?

- Nie wiedział pan?

Zrobiłem jakieś osiemnaście tysięcy kroków bez laski i w końcu znaleźliśmy się w pobliżu salonu. Tyle tylko, że wciąż staliśmy na dole, wśród samochodów, a nie na chodniku zawieszonym w chmurach. Krzyki Tess odbijały się echem od betonowego muru, na który musieliśmy się wspiąć.

- Widzisz, bączku? - powiedziałem. - To się nazywa mieć cholernego pecha. Widzisz? A widzisz ten mur? To się nazywa cholerny koszmar.

Mogłem teraz podać Tess sporo nowych informacji: moja cholerna laska była do dupy, moje cholerne oczy były do dupy, ręce bolały mnie jak cholera, a ja byłem kimś, kto za cholerę nie potrafi sobie poradzić poza własną dzielnicą.

I nagle zacząłem słuchać. Tak naprawdę słuchać. I dzięki temu zrozumiałem, co do tej pory robiłem źle. Nie zwracałem uwagi na Tess.

Przeszliśmy wzdłuż muru, tuż przed zaparkowanymi samochodami, próbując znaleźć przejście. Tym razem zatrzymałem się co jakieś dziesięć kroków i podnosiłem Tess, tak żeby (wraz ze swoją donośną desperacją) znajdowała się naprzeciw muru. Jej krzyki za każdym razem odbijały się echem od betonu. Aż w

końcu usłyszałem różnicę. Mniej stanowczy ton. Głos małej powędrował swobodnie w górę pustymi schodami i wskazał nam drogę.

Razem stworzyliśmy niemowlęcy sonar.

Kiedy tylko dotarliśmy przed znajome szyby wystawy, stuknąłem laską w okno. Nic równie skutecznie nie sprowadza pomocy. Tuż obok brzęknął dzwoneczek i otwarły się drzwi.

- Proszę poczekać! Szuka pan swojej żony? - spytał zdyszany kobiecy głos.

- O Boże, tak.

Chybotliwym krokiem wszedłem do salonu, niepewny, dokąd teraz pójść. Czulem, że wewnątrz jest duże, nowoczesne, lśniące i puste, bo głos Tess roznosił się po całym pomieszczeniu i odbijał od ścian. Pewnie dał niezłego kopa tym wszystkim odpoczywającym matkom. Nie musiałem pytać, gdzie znajdę Tracy.

- Może ją poniosę? - zaproponowała kobieta. - Chce pan?

- O Boże, tak, proszę.

Głos Tess ucichł w oddali. Kobieta zaniósła ją w głąb korytarza, a potem do jakiegoś pokoju. Kiedy tam wreszcie dotarłem, mała tuliła się już do mamy i spokojnie ssała pierś.

- Cały czas się tak zachowywała? - spytała Tracy.

- Nie, skąd - powiedziałem. - Jak tam twój masaż?

- Cudownie. Już prawie skończyłyśmy. Zapadła niezręczna cisza.

- Prawie? - upewniłem się.

- Aha. Został jakiś kwadrans.

- Jasne. Dobra - powiedziałem. - No to wezmę ją jeszcze na krótki spacer czy coś.

Mój tata pojechał do Kansas City i przywiózł mi tylko ten głupi guzik

Niektóre mamy podczas króciutkiej przerwy na kawę przejeżdżają całe miasto i karmią swoje ośmiotygodniowe niemowlęta w zatłoczonych żłobkach. Potem muszą przedrzeć się z powrotem do pracy, zanim ktoś się wkurzy i zacznie mędrkować na temat zalet sztucznego pokarmu. Ten ktoś jest zazwyczaj zatroskany, ponieważ ma wąsy, za to nie ma dzieci. Przynajmniej takich, o których by wiedział.



Są też plany dnia. Ogromne arkusze uwzględniające bliższą i dalszą rodzinę oraz znanych z widzenia sąsiadów, które to osoby można poprosić o opiekę nad dzieckiem. Niektórzy twierdzą, że opracowanie takiego systemu przyniosło im ulgę. Dobra, dobra. Tydzień później rodzice zaczynają doświadczać odroczonego poczucia winy związanego z porzucaniem własnego dziecka, zanim zdoła ono powiedzieć: „Jaki tatuś?”. Rewelacja.

Oprócz dwóch powyższych rozwiązań w grę wchodzi też pozostanie w domu. Wówczas rachunki gromadzą się z podwójną prędkością, a na ich pokrycie jest tylko jedna pensja. Mógłbym mówić dalej, ale tego nie zrobię, ponieważ nie dotyczył nas żaden z tych scenariuszy.

Zastanawiacie się być może, dlaczego w tej książce o pierwszym roku ojcostwa właściwie stale siedzimy z Tracy w domu. Rzeczywiście tak było. Zapytacie więc, kto chodził do pracy. Jakim cudem przypadła nam w udziale taka utopia i z jakiego katalogu ją zamówiliśmy?

Kiedy Tess się urodziła, na uczelni zaproponowano mi roczny płatny urlop rodzicielski. Dwa semestry. Wiem, wiem. Nie bijcie mnie. Pracodawca Tracy zaproponował jej, no cóż, zero. Tylko niezbędne minimum określone przez prawo, a to nie miało startu do mojego fantastycznego, wypasionego urlopu. Musieliśmy zatem dokonać wyboru. Ubezpieczenie obejmuje tylko jednego rodzica, ale już sam fakt, że mogliśmy wybierać, budzi optymizm. Mój pracodawca uznał, że ojciec może zajmować się dzieckiem na pełny etat i nie powinien z tego powodu ponosić strat finansowych. Bardzo liberalnie i postępowo. Super, nie?

Problem w tym, że nie mogłem zajmować się dzieckiem na pełny etat. Gdybym spróbował, pewnie niedługo nacieszylibyśmy się naszą córką. Jasne, mogłem dzwonić do siedzącej w pracy Tracy i prosić ją o pomoc, ale skąd moja żona miałaby wiedzieć, gdzie położyłem smoczek tudzież butelkę. Albo nasze dziecko. Przez telefon trudno odpowiedzieć na pytania typu: „Nic jej nie jest?” lub „Nie wiesz, gdzie jest pielucha Tess?”. Tracy wykończyłaby się nerwowo.

Nawet pani z opieki społecznej potwierdziła, że miewamy problemy. Spotkałem się z nią w kawiarni kilka miesięcy po narodzinach Tess. Pani odbywała swój

obchód. Dwa razy tygodniowo odwiedzała w naszej okolicy niewidomą samotną mamę. Chciała się upewnić, że dziecko jest zdrowe, czyste, nakarmione i tak dalej. Czyli zadbane. Pani z opieki zamieszała swoją latte i zapytała od niechcienia, czy ktoś przychodził do nas do domu albo czy zgodziłbym się na, jak by to ująć, czyjeś wizyty. Zabrzmiało to bezczelnie. Może nawet agresywnie. Moja poranna kawa zamieniła się nagle w przetarg na interwencję władz.

Na początku ta propozycja mnie zabolęła. Potem jednak zrozumiałem, co naprawdę widziała ta kobieta. Tess wisała mi na piersiach, a ja nie zauważyłem gila dyndającego jej u nosa ani zgubionego przy drzwiach smoczka, który leżał teraz u naszych stóp.

Tracy i ja zdecydowaliśmy ostatecznie, że oboje spędzimy rok w domu, choć bardzo będzie nam brakować dochodów mojej żony. Ale to nie problem. Miałem plan. W teorii był prosty jak wszystkie dobre plany: zamierzałem zarobić trochę grosza na boku. Wymyśliłem, że będę się zamykał w piwnicy, tuż koło pralki - która na okrągło usuwa z naszych ubrań różne płyny ustrojowe - i tam pisał. Codziennie, od szóstej rano do południa. Potem będę wracał na górę, do moich dziewczyn, albo zmieniał Tracy. Wymarzony układ. Pisarz i ojciec, nareszcie razem.

Nie ma to jak fajne złudzenie.

W jakimś bliżej nieokreślonym momencie po narodzinach Tess zmieniła się architektura naszego domu. Nikt nas nie uprzedził, że tak się stanie. Wcześniej zakładałem, że kiedy zacznę pracować w piwnicy, zachowamy podział między górą a dołem. Mowy nie ma. Tess i jej potrzeby, odgłosy i zabawy okazały się wszechobecne. Zajmowałem stanowisko i zawieszałem palce nad klawiaturą, a potem słyszałem płacz albo kichnięcie Tess dobiegające z piętra i musiałem sprawdzić, co się dzieje. Co gorsza, czasami Tracy zaśmiewała się z wygłupów Tess, a ja miałem poczucie, że omija mnie coś ważnego. Krążąc między dołem a górą, nie mogłem się skupić ani skończyć zdania. Nie mogłem się zdobyć nawet na myślenie o czymś innym niż Tess. Założenie, że za-szyję się gdzieś w domu i tam będę spokojnie pisać, było całkowicie naiwne. Podobnie jak drugie założenie: że umiem pisać.

Powiedzmy, że radziłem sobie z klawiaturą. No, to już lekkie nadużycie. Umiałem wciskać klawisze, ale wyraziłbym więcej, waląc w nie głową. Głowa też zostałaby wtedy lepiej wykorzystana. Mój umysł wędrował daleko stąd, daleko od pralki, przy której miałem zarabiać na nas i dom. Poza tym naprawdę chciałem pisać. Ten wewnętrzny przymus był silniejszy niż zwykle. Dołączył do niego nawet dodatkowy impuls biologiczny. Kiedy Tracy zabierała się do karmienia piersią, czułem się bierny i niepotrzebny. Zamęczałem ją pytaniami. Przynieść ci coś? Światło jest dobre? Chcesz poduszkę? Potrzebujesz czegoś? Jeśli to nie pomagało, rzucałem z prawdziwą rozpaczą: „To co ja mam robić?!“.

Tak, to jest właśnie skarga, którą słyszycie w oddali późną nocą. To wycie młodych ojców.

Podczas karmienia piersią bezpośredni, że tak powiem, wkład Tracy podkreślał tylko moją bezużyteczność, toteż chciałem coś robić. Pisać. Przynosić do domu bekon, być zaradny i potrzebny. Stanować połowę domowego równania. Problem polegał też na tym, że czasem ojciec wygląda, jakby unikał odpowiedzialności, podczas gdy tak naprawdę chce się po prostu wykazać. I to bardzo, bo trzeba się zająć znaczną liczbą czasowników. Ja wybrałem ten: „pisać“.

Na razie jednak gapiłem się na zamazane światło z laptopa. Dokąd wyparowały z mojej głowy wszystkie słowa? Jako pisarz byłem skończony. I nagle doznałem olśnienia, poznałem przyczynę problemu.

Tess zjadła mój mózg.

Musiałem poszukać innego powodu. I nic. Zero pomysłów. Sami widzicie. Kolejny dowód na poparcie teorii o braku mózgu. Miałem rację.

Pisanie kończy się na komputerze, ale zaczyna zupełnie gdzie indziej. Wyobraźnia działa w najbardziej zaskakujących momentach: pod prysznicem, podczas wyprowadzania psa czy jedzenia steku albo w tej przejściowej fazie między jawą a snem. Dajcie mi pastę do butów, a ja dam wam nowy rozdział. W ten właśnie sposób umysł kradnie czas potrzebny mu do pracy, więc kiedy wcześniej rano, wolny od dziecka człowiek siada wreszcie przed komputerem, ma już w głowie całe stosy słów, zdań i opowieści, które tylko czekają, żeby wyjść, zupełnie jak dzieci

przyciskające twarze do szyby i niecierpliwie odliczające minuty do dzwonka na przerwę.

Tak powinno być. I nagle zjawia się dziecko. Znika czas poświęcany kiedyś zawodowej wyobraźni. Każdą wolną chwilę zajmują myśli o dziecku, zabawy z dzieckiem i potrzeby dziecka. Cudowne sprawy. Człowiek myśli ciągle o kubkach-niekapkach, ale poza tym ma pustkę w głowie. Teraz nie mogłem ani karmić piersią, ani pracować. Problem zorganizowania sobie czasu w roli siedzącego w domu ojca okazał się znacznie trudniejszy, niż początkowo sądziłem. Mimo to zmuszałem się do siadania przy biurku i zapisywania jednego słowa po drugim. W końcu zrobiłem to, co robi każdy pisarz cierpiący na niemoc twórczą. Wpisałem w wyszukiwarce słowo „dupa”.

Aby stworzyć zadowalające pozory autentycznych poszukiwań, wpisałem również słowa „tata” i „niepracujący”. Brawo, pomyślałem. Wreszcie coś piszę i zdobywam informacje. Przynajmniej Tracy usłyszy odgłosy stukania w klawisze.

Tak oto odkryłem internetową społeczność północnoamerykańskich niepracujących zawodowo ojców. Błogi, czaty, nieustanną wymianę linków i, co najbardziej zdumiewające, otwarte zaproszenie na wielki zjazd w Missouri. Ojcowie postanowili spotkać się w realu i spędzić kilka dni w męskim gronie, żeby... no właśnie, po co?

Zarezerwowałem pokój w hotelu i bilet lotniczy do Kansas City. Tam miałem poznać podobnych mi ludzi. Miałem też nadzieję, że dowiem się, co, jak i dlaczego robią ojcowie, którzy zostali w domu z dziećmi. Albo czegoś w tym stylu. Na stronie internetowej nie podano programu. Tracy też chciała wiedzieć coś więcej.

- Wiem tylko, że będą tam różne warsztaty - wyjaśniłem.

- Na przykład jakie?

- O rany, zwyczajne. No wiesz.

- Nie, nie wiem - przypomniała mi moja żona. Właśnie pakowałem z wysiłkiem walizkę. Inni zwijają

w ten sposób burrito. Pchają co popadnie do środka, a potem szybko dociskają brzegi.

- Oj, no takie warsztaty dla ojców - powiedziałem. -Czemu to się nie zamyka?

- Dla ojców?

Tracy podała mi Tess i zaczęła na nowo układać moje koszule. Usiadłem na brzegu łóżka, huśtając małą na kolanie. Nie zauważyłem, że próbuje chwycić lampkę nocną. Tracy zauważyła.

- Uwaga! - spanikowała. - Trzymaj ją, ona zaraz...!

- Nie denerwuj się, przecież ją trzymam - powiedziałem, zmniejszając siłę huśtania. - Teraz lepiej?

Tracy odsunęła lampkę na bok.

- Nie masz zielonego pojęcia, co będziesz robił na tym zjeździe.

- Ja? No, nie mam.

Wyobrażam sobie, że w głowie mojej żony powstawała jej własna wersja wydarzeń. Tracy układała najbardziej prawdopodobną listę tytułów warsztatów na ojcowskim jam session w Kansas City. Na przykład: „Chlanie z nieznajomymi”, „Jak zaspać, będąc ojcem, który chlał z nieznajomymi” oraz „Ty, obsługa hotelowa, spa, kablówka i kryty basen”.

Ja jednak miałem poważne zamiary. Chciałem się nauczyć wszystkiego o byciu tatą, podpatrzeć jakieś techniki potrzebne na teraz i na potem. Zamierzałem czerpać z mądrości innych ojców, w nadziei, że może to mi pozwoli złapać kilka podkręconych piłek. Przecież istnieją na przykład dowody na to, że wszyscy ojcowie chwilowo ślepną, kiedy muszą uczesać swoje córki. Na pewno dostanę kilka porad.

Podczas gdy ja uszczelniałem swoje podróżne burrito, Tracy podsunęła mi scenariusz, którego nie wziąłem pod uwagę.

- A jeśli to wielbiciele Roberta Blyy\*? (amerykański poeta, pisarz i przywódca Ruchu Mężczyzn na terenie Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.) - zasugerowała groźnie.

Pomyślałem o Promise Keepers\*\* (Międzynarodowa konserwatywna organizacja chrześcijańska dla mężczyzn (przyp. tłum.). Może trafię na zjazd patriarchalnych fanatyków? Może będą śpiewać. Tracy ujęła to inaczej.

- A jeśli - ciągnęła - wylądujesz w lesie, w jakimś kręgu i...

Tylko nie bębny. Wszystko, tylko nie bębny.

- ...będziecie tam grać na bębnach? - skończyła. Poczułem strach.

- No cóż - stwierdziła moja żona - przynajmniej będziesz miał o czym pisać.

Większość uczestników zjazdu zameldowała się w hotelu późnym wieczorem i natychmiast poszła spać. Kilku zrobiło inaczej. Następnego ranka mieli oni spocone dłonie i schrypnięte od kaca głosy.

Śniadanie zorganizowano w formie zapoznawczego bufetu. W powietrzu często rozlegały się odgłosy przybijania piątki i robienia zółwika. Większość facetów znała się już najwyraźniej z wcześniejszych zjazdów albo z blogów. Panowała świąteczna atmosfera, jakby wszyscy zrzucili swoje przebrania. Obcy facet z białą laską wpatrywał się w plamy na stole i zastanawiał, co to za plamy, czy stanowią śniadanie i czy to w ogóle jest bufet.

Opuściłem dłoń, by zbadać sytuację. Palce natknęły się na kopczyk jajeczniczy. Ktoś zaproponował, że nałoży mi jedzenie na talerz. Na co miałbym ochotę? Chyba nie zdążyłem nawet odpowiedzieć, a już zalała mnie fala tatusiowa-tości. Pierwszy facet wysłał dwóch kumpli po kawę i sok, a trzeciego po talerz. Czyjaś wielka łapa wcisnęła mi do ręki plik serwetek. Potem skierowano mnie do obłożonego już stolika. W tym tempie zdążyliby wytrzeć mi nos, naprawić rower i zapisać mnie do harcerstwa, zanim zjem płatki z mlekiem.

Organizator mojego śniadania, Michael, pochodził z Kanady. Przyjechał aż z Wschodniego Quebecu. Był to jego czwarty zjazd, chociaż Michael siedział w domu z dziećmi od prawie ośmiu lat. Byliśmy jedynymi Kanadyjczykami wśród mniej więcej setki uczestników. W poprzednim roku zjawiał się jeszcze jeden, ale zniknął z sieci. Być może wrócił do pracy zarobkowej - tak właśnie tłumaczono tu wszelkie nieobecności.

Zacząłem się przysłuchiwać innym. Witano się w oryginalny sposób. Nikt nie mówił, gdzie pracuje ani nie nawiązywał do cudzego zawodu w stylu: „Czym się zajmujesz, Bob?” albo „Balthazar, co słyhać w świecie włókien szklanych?”. Tutaj wszyscy przedstawiali się, wymieniając liczbę dzieci i lat spędzonych z nimi w domu. Dane te przekazywano z dumą. Ci faceci byli jak piloci mówiący o

wylatanych godzinach albo weterynarze o dyżurach. W świecie silników, NASA i bejsbolu liczą się statystyki. W świecie ojców również.

Ktoś sięgnął przez stół, żeby mi uścisnąć rękę. Nie zauważyłem tego, więc facet po prostu złapał moją dłoń i nią potrząsnął. Był to odważny i zabawny gest. Szkoda tylko, że gość ubrudził sobie palce tłuszczem z mojego śniadania.

- Cześć, jestem Dave. Z Wisconsin. Mam w domu dwie dziewczynki, w drodze jeszcze chłopca. To twój pierwszy zjazd?

- Tak. - Uśmiechnąłem się. - Moja córeczka ma na imię Tess.

- Fantastycznie! Masz jej zdjęcie?

Prawie nie pamiętałem, jak wygląda, a na już na pewno nie miałem zdjęcia w portfelu albo podróznym burrito. Zapomniałem właściwie, że widzący ludzie noszą przy sobie fotki swoich dzieci. A jeśli ktoś poprosi mnie o dowód? Przyjechać na zjazd ojców bez zdjęć to jak przyjść na zebranie AA bez poczucia winy.

- Niestety nie - powiedziałem. - Ślepi nie myślą o takich rzeczach.

Dave szybko przedstawił mnie sporej grupie gości z różnych części Stanów. Podawał przy tym informacje o dzieciach i odsłużonych latach. Clark pochodził z Teksasu, miał czwórkę dzieci i od ponad dziesięciu lat siedział w domu. Wcześniej pracował jako prawnik. Kilku innych wzięło sobie urlop od pracy na uczelni. Ich partnerki lepiej zarabiały albo miały pewniejszą pracę, więc ojcowie zrezygnowali z posad, żeby zająć się dziećmi, dopóki nie pójda do szkoły. Zaczynałem się czuć jak oszust. Ja wciąż pracowałem w domu. Czy tu było to nielegalne? Żeby usprawiedliwić swoją obecność, czepiałem się myśli o niemocy twórczej. Przedstawiali się kolejni faceci. Otaczali mnie kierowcy ciężarówek, malarze ścienni, kierownicy biur i barmani. Trzeba było trochę podrażnić, żeby się tego dowiedzieć, ale w przeszłości reprezentowaliśmy szerokie spektrum zawodowe.

Po powitaniach i śniadaniu byliśmy już gotowi do działania. No, prawie. Oficjalne warsztaty miały się zacząć dopiero następnego dnia. Innymi słowy, zaczęliśmy od wychodnego. Najbliższe godziny zarezerwowano na zwiedzanie, zakupy i wszystko, co nie miało nic wspólnego z pieluchami ani nocnikiem.

Możecie sobie wyobrazić, że to oznaczało pewien problem. Jak Tracy, weekendowa samotna matka, zareagowałaby na mój czas wolny? Przecież przyjechałem tu, żeby się nauczyć, jak radzić sobie z obowiązkami, których miałem mniej niż ona. Pamiątkowy fartuszek z restauracji Grill Kansas nie wystarczy. Za ten wyjazd byłem jej coś winien, teraz jeszcze bardziej.

- To co? - spytał Dave, podczas gdy inni zaczęli się rozchodzić. - Chcesz iść z nami?

Jako samotny w obcym mieście mogłem albo dać się przejechać na autostradzie, albo umrzeć z nudów w hotelowym lobby. W obu przypadkach nie umiałbym znaleźć nocnika. To znaczy ubikacji. Potrzebowałem Dave'a.

Godzinę później czekaliśmy w ogromnym pomieszczeniu. Przywitała nas kobieta, która poprosiła, żebyśmy zostawili wszystkie swoje rzeczy w szatni. „Względy bezpieczeństwa” - wyjaśniła. Potem przeszliśmy korytarzem do maleńkiego pokoju i zajęliśmy ławki na wprost ekranu, zupełnie jak poborowi przed komisją. Może zrobią nam testy osobowości. Zgasły światła. Rozległ się pulsujący rytm amfetaminowego techno. Ekran rozjarzył się światłem stroboskopowym, przyspieszającym adekwatnie do wściekłego ryku czegoś, co przypominało silnik wyścigowy. Narrator wyrecytował długie menu korporacyjnych sloganów. Odgłosy w pomieszczeniu nasuwały skojarzenie z seminarium dla dyrektorów japońskich firm motoryzacyjnych, ale powitano nas, jakżeby inaczej, w zakładach Harleya-Davidsona. To właśnie w Kansas City montuje się motory, które ryczą na naszych ulicach i budzą nasze dzieci.

Na ekranie przedstawiano nam historię firmy, a ja siedziałem na ławce i zastanawiałem się, co nas tu, do cholery, sprowadziło. Nostalgia? Czy nasza przewodniczka zauważyła, że parking wypełniały w tej chwili minivany pełne fotelików samochodowych? Za moimi plecami dwóch gości olało film i dyskutowało na temat zalet naczyń do gotowania na wolnym ogniu. Obaj mieli dobre argumenty.

Zaraz potem zwiedziliśmy fabrykę, przechodząc koło serii robotów mierzących, tnących i spawających silniki. Kiedyś tę pracę wykonywali ludzie i chociaż próbowano wzniecić w nas podziw dla tej wypasionej technologii, poczułem smutek.



Przygnębiły mnie duchy spawaczy. W powietrzu unosiła się woń dymu. Iskry, elektryczne trzaski i syk acetylenu obudziły we mnie wspomnienia. Przez większą część mojego dzieciństwa tata pracował nocami jako spawacz. Woń i odgłosy tego miejsca przypominały mi tatę i jego tajemnicze nocne życie.

Byłem zachwycony, że tata pracuje na nocnej zmianie. Już sam ten zwrot był mroczny i robił wrażenie, zupełnie jak tata i jego praca w moich oczach. Możecie sobie wyobrazić, jaki byłem przejęty, kiedy pewnej nocy pozwolono mi go odwiedzić w warsztacie. Robił w nim drucianą siatkę ogrodzeniową. Mogłem wreszcie zajrzeć za zasłonę. Pamiętam, że moje dłonie tonęły w jego wielkich skórzanych rękawicach, a okulary ochronne zasłaniały mi całą twarz. Nie czułem się jednak skrępowany, tylko dumny, że mogę nosić uniform taty. Poszedłem do pracy. Tak jak wyobraża ją sobie mały chłopiec. Przez jakąś godzinę zbierałem kawałki drutu z brudnej podłogi warsztatu. Potem układałem je w kłębkach koło stanowiska taty. To wszystko. Moja pierwsza praca. Nie, nie chodziło o sprzątanie. Wierzyłem, że tata potrafi złączyć na nowo te kawałki. Mógł zrobić wszystko. Dlatego tak go potrzebowali w fabryce.

W zakładach Harleya coś mi przyszło do głowy. Uwielbiałem siedzieć w domu z Tess, ale na wspomnienie nocnej zmiany zdałem sobie sprawę, że równie mocno uwielbiałem tajemnicę pracy. Chciałem codziennie wracać do Tess i w ten sposób przybliżyć jej cudowny, wielki świat poza naszym domem. Kiedy mój ojciec wracał z pracy, był dla mnie olbrzymem. Czułem się bezpieczny, bo w świecie, z którego wracał, świetnie sobie radził i był kimś.

Czułem jednak, że jako niewidomy ojciec mogę oferować Tess niewielkie poczucie bezpieczeństwa. Wiedziałem już, że miganie się od ojcowskich obowiązków nie jest żadnym wyjściem. Może i chroniło Tess przed wypadkiem, ale nie dawało jej ani spełnionego ojca, ani więzi z nim. Na to będę musiał pracować codziennie. Przynosić jej moje doświadczenia. Dobre i złe. Na tym polega praca.

Tamtego wieczora zacieśnialiśmy więzi w apartamencie hotelowym. Nie pamiętam zbyt wielu szczegółów, tylko to, że co chwilę klepali mnie po ramieniu przyjacielscy kolesie. Po takim klepnięciu następowało zwykle pytanie: „Jezu, ale powiedz, jak ty właściwie zmieniasz pieluchę?”.

Ci ojcowie doskonale wiedzieli, jakie pole minowe mnie czeka. Co zrobisz, kiedy mała zacznie biegać? Wiesz, że będzie biegać, nie? Skąd będziesz wiedział, że otworzyła butelkę z jakimś detergentem? A jak ją znajdziesz na placu zabaw? Chłopie, mam dla ciebie trzy słowa: nauka korzystania z nocnika. Masz już jakiś system? Skąd będziesz wiedział, gdzie jest najbliższy kibel w centrum handlowym? Ci faceci znali moje pytania, ale nie potrafili na nie odpowiedzieć. Wypiłem mnóstwo piwa. Jeden tata wychwalał zalety krążków hokejowych.

- Dobrze ci radzę, trzymaj kilka w zamrażarce - powiedział. - Ja mam tam zawsze z pół tuzina. Idealne przy ząbkowaniu. I-de-al-ne.

Wyraz mojej twarzy zdradził wątpliwości.

- Sorry, bez urazy.

Skrzywiłem się na myśl, że Tess miałyby ssać kawałek przemysłowej gumy, a nie dlatego, że nie byłem w stanie oglądać naszej ukochanej dyscypliny sportowej.

Następnego dnia, na początku zajęć, nikt nie był w świetnej formie. Siedzieliśmy przy stolikach, w milczeniu sącząc kawę, przeglądając program warsztatów i próbując przełknąć drożdżówki. Czuję się, jakbym zamiast oczu miał jajka na twardo, więc - co logiczne - nie mogłem przeczytać programu. Nie miałem też ochoty prosić nikogo o pomoc. Trudno, niech wydarzenia tego dnia będą dla mnie niespodzianką.

Zaczęły się oficjalne powitania. Kiedy głos zabrał główny prelegent, spełnił się najgorszy możliwy scenariusz.

Kazano nam wstać.

To nigdy nie zwiastuje niczego dobrego. Szczególnie podczas prelekcji. Spełniłem się już aktorsko w roli szyjki macicy. Nikt mi nie mówił, że ojcostwo oznacza konieczność ciągłego odgrywania scenek z udziałem obcych ludzi. W tamtym momencie ledwie utrzymywałem równowagę, a już na pewno nie miałem siły na gimnastykę czy, nie daj Boże, gry i zabawy dla przełamania lodów. Rusz przed siebie, uściśnij dłoń trzem osobom na lewo od ciebie i przedstaw się im jako twoje pierwsze zwierzątko domowe.

Prelegent zaczął jednak od innych poleceń.

- Panowie! - ryknął. - Ci z was, którzy wzięli udział w zeszłorocznym zjeździe, pamiętają tę zabawę. Inni będą musieli się postarać, by dotrzymać nam kroku. Kiedy mówię „oczy”, wy otwieracie...

- Oczy! - wrzasnęli ojcowie, klaszcząc w dłonie. Czekałem na wyjaśnienie, ale się nie doczekałem.

- A kiedy mówię „uszy” - ciągnął prelegent - wy nastawiacie...

- Uszy! - wrzasnęli ojcowie i klasnęli dwukrotnie.

- A kiedy proszę o pomoc, wy podajecie mi... Zgadliście.

- Dłonie! - krzyknęli radośnie ojcowie, tym razem klaszcząc trzykrotnie.

Aby uzyskać pełną jedność i zgodność, prelegent kazał nam powtórzyć wszystko od początku. Oznaczało to sporo klaskania. Oraz anatomii. Teraz nie tylko musiałem poradzić sobie z kacem, ale i opanować rosnącą listę części ciała oraz liczbę korespondujących z nimi klaśnień, a ponadto wykonać to wszystko przed ekipami telewizyjnymi, które przyjechały tu sprawdzić, co jest grane. Gorzej być nie mogło.

- Świetnie! - darł się prelegent. - A teraz powiedzcie, kim jesteście!

- Ojcami! -Kim?

Witajcie w Krainie Koszmaru.

Prelegent zaczął od inspirującej anegdoty. Opowiadał o wydarzeniu sprzed ponad dziesięciu lat, kiedy to był jedynym ojcem wśród mam na placu zabaw. Początkowo go ignorowano albo traktowano podejrzliwie. Podejrzliwość wzrosła, kiedy pojawił się na placu w przeohydnym krawacie. Krawat - bezładna mieszanka kolorów i kształtów, spokojnie mogąca uchodzić za śliniaczek - był prezentem od syna na Dzień Ojca. Jak ojciec mógłby nie nosić go z dumą, skoro poprosił go o to syn? Rację miał J.M. Barrie w zakończeniu Piotrusia Pana. Dzieci są radosne, niewinne i okrutne.

Kiedy jednak matki zrozumiały, czemu nasz prelegent przebrał się za proszek do prania, były nim oczarowane. Facet schował dumę do kieszeni i dzięki temu zdobył ich akceptację. „Przeszliśmy długą drogę” - obwieścił. Opowiedział nam tę historię i polecił, byśmy byli z siebie dumni, a potem kazał nam klaskać i wymieniać części ciała.

Nie podzielałem obaw, do których odnosiło się jego przemówienie - obaw, że niektórzy niepracujący ojcowie czują się z tego powodu naznaczeni, gorsi albo zażenowani - ale musiałem przyznać, że jestem wzruszony. Wzruszyła mnie jego historia i jego krawat.

Miałem własną wersję takiego krawata. Kiedy Tracy szukała dla mnie prezentu na Dzień Ojca, zauważyła, że Tess sięga po coś na wieszaku. Był to różowy T-shirt z wielgachną podobizną mrówki na piersiach. Miałem go teraz w walizce. Czekał na swoją kolej.

Pamiętam też dzień, kiedy to ja wręczałem podobny prezent. Tamtego ranka moja mama odebrała w kuchni telefon. Miałem jakieś dziesięć lat i razem z młodszym rodzeństwem bawiłem się nieopodal przy stole. Mieliśmy pudło pełne nożyczek, papieru, wydmuszek po jajkach oraz kleju i byliśmy zajęci montowaniem gąsienic. Ze sposobu, w jaki mama rozmawiała przez telefon, wywnioskowałem, że rozmawia z ojcem, który właśnie skończył pracę.

Coś się stało. Mama była zaniepokojona. Powtarzała: „Dlaczego?“, „Jak oni tak mogli?“ oraz „I co my teraz zrobimy?“. Potem powiedziała coś o pieniądzach. Dodała coś jeszcze szeptem. W końcu odłożyła słuchawkę, odczekała moment i wzięła się w garść. Znowu była pogodna jak zwykle. Kazała oddać klej domagającemu się tego Rory'emu lub Mykolowi.

Miałem dopiero dziesięć lat, ale byłem najstarszy i wystarczająco duży, żeby wyczuć, co się dzieje w dorosłym świecie naszej rodziny. Tata stracił pracę. Byłem przerażony. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby mama się martwiła, a przynajmniej nie zauważyłem tego w jej twarzy i tonie głosu. Pierwszy kontakt z jej lękiem spowodował, że sam zacząłem się bać. Co teraz z nami będzie? Za co kupimy jedzenie? Czy trzeba mieć pracę, żeby nie stracić dzieci? Widziałem już to i owo w telewizji. Czasami ktoś przychodzi i odbiera dzieci rodzicom. Zwykle są to biedne dzieci.

I wtedy zobaczyłem, że mój brat Rory zabiera się do cięcia nowego arkusza czerwonego papieru. Chwyciłem go za rękę, żeby tego nie robił. Kiedy spróbował na nowo, wyrwałem mu nożyczki i strasznie go ochrzaniłem. Potem objaśniłem swój

zakres kompetencji i zabroniłem wszystkim ciąć oraz kleić. Tata stracił pracę. Potrzebowaliśmy papieru. Moje rodzeństwo było za małe, by to zrozumieć, ale ja już wiedziałem. Niepocięty papier jest więcej wart. Musieliśmy oszczędzać, żeby nie umrzeć.

Tamten arkusz czerwonego papieru był moim biletem do świata dorosłych zmartwień. Teraz wiem, że był też jednym z najhójniejszych prezentów, jakie dałem moim rodzicom. Takie rzeczy gromadzą się w rodzinie, właśnie takie popieprzone i śmieszne rzeczy. Razem tworzą archeologię naszej historii. Dzieciak daje ojcu kawałki drutu. Brzydki krawat. Cukierki na kaszel. Mój czerwony papier. Znaczenie tych prezentów poraża siłą miłości i dobrych chęci.

Może właśnie o tym powinien pamiętać każdy rodzic: że trzeba ufać swoim intencjom, skoro nie zawsze można zapewnić odpowiednie umiejętności. Pewnego dnia nasze dzieci zrozumieją, że chcieliśmy dobrze. Pewnego dnia Tess pojmie, że wcale nie zignorowałem piłki, którą do mnie toczyła. Że nie mogłem sam zabrać jej na plac zabaw. Pewnego dnia dotrze do niej nie tylko to, co robiłem, ale także to, co chciałem zrobić.

Po pierwszej prelekcji Dave zapytał, na które warsztaty się wybieram.

- Nie wiem - powiedziałem, choć powinienem był właściwie powiedzieć: „Nie wiem, jakie są tematy”.

- Ja idę na sesję dla ojców dziewczynek. Jak chcesz, to cię tam zaprowadzę.

Brzmiało to świetnie. Warsztaty faktycznie przeznaczono dla ojców dziewczynek, ale zdecydowanie nie miały charakteru ogólnego. Pół godziny później trzech mężczyzn - ja, facet z Omaha i student literatury francuskiej - stało przed całą klasą, a każdemu z nas przydzielono manekin z długą, zmierzwioną peruką. Gwoli oświecenia całej widowni pokazywaliśmy, jak zaplatać warkocze.

Dla mnie było to wyzwanie nie tylko z powodu ślepoty. Nie mam włosów. Nie wiem nawet, jak się je czesze, a co dopiero rozdziela i zaplata.

Facet z Omaha szybko zabrał się do pracy i choć zgodnym zdaniem wszystkich widzów jego warkocze były krzywe i postrzępione, zupełnie się tym nie przejął.

- No i dobrze. Może nie są idealne, ale mnie to zwisa, bo moja mała i tak nie chce już takich warkoczy. Muszę się dowiedzieć, jak pleść warkocz francuski. Muszę.

Widownia odpowiedziała wyrazami współczucia i przerażenia. Facet dotarł już do etapu warkocza francuskiego! Podobno niewielu ojcom udaje się to przeżyć. Jednak instruktor był zaniepokojony perspektywą przeskakiwania do warkocza francuskiego. Umiejętność krojenia steku nie wystarcza, żeby przeprowadzać operacje na otwartym sercu.

- Zróbmy ten francuski! - krzyknął ktoś z widowni. Inni go poparli. To już nie były warsztaty, tylko zarządzanie kryzysem.

Pod koniec dwudziestominutowych zajęć okazało się, że żaden z nas nie splótł poprawnie warkocza francuskiego. Co gorsza, instruktor widział naszą zbiorową rozpacz i obawę. Na kilka minut przed końcem zaimprovizował alternatywne rozwiązanie - naszą ostatnią deskę ratunku.

- Panowie, piorunem - powiedział. - Najpierw zróbcie koński ogon, a potem...

Przez piętnaście minut robiliśmy końskie ogony. Facet pracował teraz w nadgodzinach.

- Cholera, nie mogę tam upchnąć wszystkich włosów - powiedział pan Omaha.

- Po prostu powiedz córce, że reszta to grzywka - zaproponowałem. - Może wtedy bardziej jej się spodoba.

Pokazałem mu, że moja „córka” ma grzywkę na karku i nad uszami. Chyba wyglądała ładnie.

Instruktor był coraz bardziej sfrustrowany.

- Powiedzmy, że tak jest dobrze. Teraz bierzemy wło-sy...

Chwyciłem mojego manekina za grzywkę.

- Nie, za koński ogon. Bierzemy, podnosimy, wywracamy na drugą stronę, wciskamy we włosy tuż nad gumką i ściągamy na dół. O tak.

Instruktor zrobił to, co opisał. Cokolwiek to było, spotkało się z milczącym podziwem.

- Kurde, wygląda całkiem nieźle - powiedział pan Omaha.

- Mam to gdzieś - stwierdził inny facet. - Zrobię tak i powiem jej, że to nowy warkocz francuski.

Przed kolejnymi zajęciami salę wypełnił tłum. Tylko kilku kumpli od czesania zostało na miejscach. Nie miałem pojęcia, co będzie następne, ale najłatwiej było zostać i tak też zrobiłem. Może dostanę twarz do ćwiczeń i dowiem się, co robić z pęsetą.

Zrobiło się poważnie. Tłum wciąż gęstniał. Przyniesiono dodatkowe krzesła z innych sal.

Trener zajął miejsce i spokojnie powitał nas na zajęciach z kontrolowania gniewu.

Tyle mi wystarczyło. Za rogiem na pewno czaiło się odgrywanie scenek. Musiałem wyjść.

Na drodze stanęło mi kilka przeszkód. Przede wszystkim gęsty tłum mężczyzn między mną a drzwiami. Poza tym nie wiedziałem, gdzie właściwie są drzwi. Pozostawał jeszcze jeden, mniej palący, ale nie mniej realny problem - wymowa mojej szybkiej ewakuacji. Gdybym wstał i uciekł tuż po ogłoszeniu takiego tematu zajęć, wyszedłbym na podręcznikowy przykład mechanizmu wyparcia. Chyba już lepiej było jakoś to znieść.

Nasz trener mówił o potrzebie otwartej komunikacji w małżeństwie. O tym, że należy ustalać odpowiednie priorytety i że rozmowa jest podstawą związku. Mówił o aktywnym słuchaniu. A kiedy tak mówił, udawał jednocześnie, że nie ma nic nudniejszego niż mówienie o gniewie.

Potem zaczął wymuszać wyznania. Na początek poprosił faceta z końca mojego rzędu. Kolejka szła w moją stronę. Przeprowadziłem w głowie szybką inwentaryzację. Próbowałem przypomnieć sobie sytuację, w której naprawdę wkurzyłem się na Tess. Nie było to łatwe. Mój umysł szarpał się jak silnik, którego nie można uruchomić. Sam pomysł, żeby krzyknąć na dziecko, był mi organicznie obcy, więc natychmiast przestałem o tym myśleć, zupełnie jakby guzik bezpieczeństwa w moim mózgu odciął dopływ wyobraźni. Jasne, kiedy nie mogłem uspokoić Tess, bywałem sfrustrowany i zmęczony. Martwiło mnie, że nie mogę

więcej dla niej zrobić. Ale żeby się wściekać? Mowy nie ma. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Większość ojców przyznała się do drobnych problemów, które wzbudziły w nich nieproporcjonalny, choć przeważnie niegroźny gniew. Jeden facet ujął to następująco: może odkurzać przez cały dzień, ale kiedy jego żona wróci do domu, nawet się z nim nie przywita, tylko od razu zauważy jedno nieodkurzone miejsce. To wystarczy. Jeśli sytuacja powtarza się kilka razy na tydzień, człowiek ląduje na takich właśnie warsztatach. Moim zdaniem mieliśmy tu do czynienia z zarządzaniem nie tyle gniewem, ile kurzem, ale co ja tam wiem. Oto prawdziwa trauma.

Ze słów wsparcia i zrozumienia, jakimi zasypała go widownia, wywnioskowałem jednak, że facet jako pierwszy wyraził tak zwięźle pewną uniwersalną prawdę. Wściekli mężczyźni źle odkurzają, wściekli mężczyźni źle ubierają dzieci, wściekli mężczyźni kiepsko gotują. Wściekli mężczyźni są wściekli i czują się niedocenieni, poniżeni i ogólnie niewydarzeni. Poza tym zostawiają na dywanach ten głupi placek kurzu i kompletnie nie rozumieją, o co chodzi ich żonom.

Zwijalem się z zażenowania, słuchając kolejnych skarg. A jednak nie mogłem się od nich w pełni odżegnać. Coś brzmiało znajomo. W każdej historii była mowa o jakimś braku. Wśród opowieści o potłuczonych talerzach i terapii krzykiem rozpoznałem własne doświadczenia. Wiedziałem, co oznacza brak i płynąca z niego złość. W pewnym sensie przyleciałem do Kansas, bo byłem wściekły, że nie potrafię być takim ojcem, jakbym chciał, jakim spodziewałem się być. Siedziałem z tym gniewem o chwilę za długo i w końcu dała o sobie znać najgłębiej skrywana sprzeczność.

Byłem niewidomym ojcem, który próbował się zachowywać, jakby widział. Chciałem sprostać dawnym oczekiwaniom. Być ojcem, wokół którego uganiałem się po warsztacie na nocnej zmianie. I wtedy to mnie uderzyło, walnęło we mnie niczym harley-davidson: ślepotą odebrała mi tatę.

Podążyłem za tą myślą, po omacku szukając definicji. Co to właściwie znaczyło? Tak naprawdę ślepotą nie pozwoliła mi brać z niego przykładu. Sam nigdy z tego nie zrezygnowałem. Wściekałem się nie tylko dlatego, że nie mogę zrobić więcej dla



Tess, byłem przybity, ponieważ nie mogłem dać jej tego, co mój ojciec dał mnie. Mój gniew był w swojej istocie smutkiem. Śmiercią chłopięcego marzenia.

- Jest kilka prostych sposobów na opanowanie gniewu i odnalezienie w sobie jego przyczyn - powiedział trener.

Na początek zaproponował, żebyśmy umówili się z żonami na otwartą rozmowę o tym, co rani nasze uczucia. Jego zdaniem z gniewem najlepiej radzić sobie w sposób zaplanowany i z pewnym opóźnieniem. Widownia odebrała to z wyraźnym rozczarowaniem.

Kiedy gość wyjął umowę, którą mieli podpisać małżonkowie, wszyscy zaczęli zerkać na zegarki. Być może część z nas powinna była przypomnieć sobie nieco bardziej staroświecką metodę zarządzania gniewem. Kiedyś nazywało się to „tłumieniem gniewu”.

Postanowiłem, że z ostatnich zajęć przywiozę do domu coś konkretnego, coś, na czym mógłbym polegać, wyjątkowe narzędzie w moim nowym ojcowskim zestawie. Dzięki temu mógłbym po powrocie, metodą prób i błędów, wypracowywać własny model ojcostwa.

Tylko na jednych warsztatach zostało wolne miejsce. Nasza trenerka, Shirley, była entuzjastyczną i hałaśliwą kobietą z poczuciem misji. Dobrze zorganizowaną. Przed każdym z nas położyła woreczek z przyborami, które miały nam posłużyć do wykonania zadania. Czyli do przyszywania guzika.

- To nie jest zwykły guzik! - zaznaczyła Shirley. - Nie ma dziurek, tylko maciupęńkie kółeczko do przyszywania. Macie igły, więc musicie wiedzieć, co dźgacie. Mam rację? Amen, jasne, że mam.

Mówiła jak baptystka, z uroczym, silnym, południowym akcentem. Poza tym sposobem bycia przypominała sierżanta od musztry.

- Najpierw nawlekacie igłę. Nie igłę kolegi czy pana przed wami, choćby nie wiem jak prosił. Powiem prosto z mostu: kiedy jesteście w domu z igłą i nitką w ręce, jesteście SAMI!!

Uniosłem igłę i zacząłem celować w nią nitką. Mam mówić dalej?

Koło mnie siedział koleś, który dawał dzieciom krążki hokejowe do żucia. Szturchnął mnie łokciem w żebra - chciał interweniować, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

- Chcesz, żebym to zrobił za ciebie? - spytał szeptem. - Wymienimy się, jak skończę.

- Nie, dzięki - powiedziałem. - Sam to robię. Dam radę. Pomęczyłem się jeszcze chwilę, ale równie łatwo mogłem próbować przeciągnąć koc przez ucho igielne.

- Co to jest, panowie? - Shirley najwyraźniej podniosła coś, żeby nam to pokazać. Pewnie głowę faceta, który pomógł koledze w przyszywaniu.

- To - wyjaśniła Shirley - są porządne nożyce. Pozwólcie, że was spytam: po co tu dziś jestem?

- Żeby nas nauczyć, jak się szyje? - zaryzykował Dave.

- Nie! Jestem tu dzisiaj - nauczała Shirley - bo kiedy byłam małą dziewczynką, mamusia zapytała mnie: Shirley, gdzie trzymam porządne nożyce? Ja jej na to: W torebce, mamusiu. Mamusia zapytała znowu: A wiesz, czemu jeszcze żyjesz, Shirley? Hm? Bo nigdy, przenigdy tam nie zaglądasz! I właśnie dlatego jestem tu dziś z wami, panowie!

Jej przemowa nadawała się idealnie do mojego ojcowskiego zestawu. Prawdę mówiąc, w tej chwili chciałem być torebką.

Hokeista koło mnie nadal się męczył. A ja, nagle, przestałem.

- Sam to zrobiłeś? - zapytał.

- Boże, chyba tak.

- A niech to szlag - mruknął facet po mojej lewej. - Lepiej tego pilnuj.

Wyciągnąłem z metr nitki i odciąłem ją.

- A żebyś wiedział, kurde, że będę pilnował - powiedziałem, wiążąc na końcu ogromny supeł.

- Nie używajcie więcej niż czterdziestu centymetrów nitki! - wrzasnęła Shirley. - Inaczej nitka się popłacze i będziecie musieli zaczynać od nowa!

Mając do dyspozycji znacznie dłuższą nitkę, zrobiłem jeszcze większy supeł. Hokeista i kilku innych gości próbowało nawlekać z zamkniętymi oczami. Uznali, że dzięki temu pewnego dnia łatwiej wrócą do domu.

Okazało się, że przyszyć guzika, kiedy się nie widzi, wcale nie jest takie trudne. Owszem, mój guzik zwisał krzywo, a towarzyszący mu supeł można było wziąć za peruczkę, ale został przymocowany. Shirley, rzuciwszy kilka krytycznych uwag, musiała zaliczyć mi zadanie.

Kiedy wychodziłem z sali, hokeista nadal dźgał powietrze swoją nitką.

Tamtego wieczora uczczono zakończenie zjazdu popisowym daniem goszczącego nas miasta. Podali nam sterty grillowanych żeberk. Zjadłem tyle, ile mi kazano, żeby doświadczyć czegoś, co się określa jako „mięsne poty”. Czuję się koszmarnie, ale co z tego? W kieszeni miałem swój guzik i od czasu do czasu wyjmowałem go, żeby udowodnić, że zdałem test Shirley. Nadawałem się do roli ojca. Tess mogła gubić guziki przez następne dwadzieścia lat. Ja byłem gotów nieść pomoc. Może powinienem założyć ciężkie buciory, żeby dodać sobie tajemniczości.

- Kupiłeś coś dla córeczki? - spytał Dave, nakładając mi na talerz kolejne lepkie szczątki.

Powiedziałem mu, że po powrocie do domu dam Tess mój guzik. Guzik i tę historię. Moją pracę.

### Zoologia żłobka

Po cudownym roku moczenia się w ślinie i nasiąkania wonią musu z kurczaka, Tracy i ja wróciliśmy do pracy zarobkowej. Tess pojechała ze mną. Zaczynała studia w żłobku na mojej uczelni. Mówię serio. Wy też uznalibyście zabawę farbami i magnesami za program studiów, skoro opłaty za żłobek są wyższe niż chesne na wydziale fizyki. I wiecie co? Nie żał mi ani grosza. Mieliśmy szczęście, bo Tess załapała się na jedyne wolne miejsce w tym semestrze. Nie, nie musiała przechodzić rozmowy kwalifikacyjnej. Nie, nie musieliśmy sponsorować budowy sali do spania.

Kilka lat wcześniej, jeszcze przed poronieniem, zapisałem nas na listę oczekujących. A potem zapomniałem nas wypisać.

Oddanie córki po raz pierwszy w ręce opiekunów było jedną z najtrudniejszych chwil w naszym życiu. Wiedzieliśmy, że kiedy Tess przyzwyczai się już do rozkładu dnia, będzie się świetnie bawić z kolegami i koleżankami. Szybko oczywiste stały się też korzyści dla jej rozwoju. Umiejętności motoryczne i językowe Tess rozkwitły w towarzystwie i dzięki obserwacji rówieśników, a jej system odpornościowy zetknął się z każdym wirusem i każdą bakterią, jakie zna biologia. Jednak we mnie zrodziło się poczucie pustki. Nie miałem wrażenia, że porzucam Tess albo skazuję ją na całodzienne obserwowanie robali w piaskownicy. Natomiast nie bardzo wiedziałem, co zrobić z własnym czasem i sobą samym. Mój dzień był do chrzanu. Nie zostawiałem dziecka w żłobku. To ono zostawiało mnie w pracy. Chciałem wrócić do domu.

Uczucie to pojawiło się pierwszego dnia zajęć.

- Eee... yyy... panie Knighton - odezwał się jakiś student, podczas gdy ja rozkładałem materiały.

Zazwyczaj krzywię się, kiedy ktoś tak do mnie mówi. Myślę sobie: „Rany, tak zwracano się do mojego taty”. Tym razem jednak poczułem coś na kształt dumy. Być może teraz faktycznie wyglądałem na ojca. Plamy śliny na ramionach nie pozostawiają wątpliwości.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytałem.

- Super. Znaczą się... zapisali mnie na pana kurs, bo muszę go zaliczyć, no nie?

- Współczuję.

Myślami byłem w żłobku. A jeśli Tess polubi swoje opiekunki bardziej niż mnie?

- No więc chciałem powiedzieć, że przez parę tygodni będę na wakacjach.

- Aha - przyszło mi do głowy, że może źle go zrozumiałem. - Czyli chce się pan pożegnać?

- Może mi pan przysyłać notatki i takie tam?

- Na wakacje?

- Nie. - Roześmiał się. - Byłoby super, jakby pan mi je wysłał mailem, jak wrócę.

Wykonałem kilka obliczeń. Każdego tygodnia panie ze żłobka spędzą z Tess więcej czasu niż ja. Coś mnie tknęło, że to nieuczciwe. Siedziałem w tej klasie, żeby zarobić pieniądze, żeby zapłacić komuś za zajmowanie się moją córką, żebym ja mógł być w tej klasie.

- No i jeszcze te... no... książki?
- Owszem, słyszałem o nich.
- Znaczy, musimy je mieć?

Dotarła do mnie nowa bolesna ekonomia mojego życia. Każda chwila spędzona w klasie była chwilą odebraną Tess. Zanim zostałem ojcem, potraktowałbym takiego zakręconego studenta cierpliwie i nawet z lekkim rozbawieniem. Studenci są na swój sposób czarujący, kiedy tracą kontakt z rzeczywistością albo nie rozumieją, o co chodzi w studiowaniu. Jesteśmy tu, by ratować ich serca i umysły. Teraz myślałem tylko: „Zostawiłem moją córkę z obcymi ludźmi, a ty jedziesz sobie na wakacje?”.

Wszystkim pracującym rodzicom zagraża radioaktywna bomba z opóźnionym zapłonem. Jeśli odbierzemy za dużo czasu swoim dzieciom, podlegamy implozji i możemy was, bezdietnych, pociągnąć za sobą. Nawet jeśli jesteście na wakacjach, znajdziemy was i wyegzekwujemy spłatę długu - szybko i stanowczo. A potem wrócimy do domu na dobranockę. Uważajcie. Opryskliwi kierowcy autobusów, urzędnicy w banku, telemarketerzy - to wszystko mogą być rodzice, którzy stracili właśnie dzień ze swoim dzieckiem. Lepiej z nimi nie zadzierać.

W okolicach szesnastej nie mogłem się już doczekać, kiedy zobaczę Tess. Prawie biegłem do żłobka, a mówiłem już, że nigdy nie biegam. Jedną z największych przyjemności w moim życiu jest ten moment, kiedy wchodzę do pomieszczenia i słyszę, jak moja córka krzyczy: „Tata!” i pędzi, żeby mnie uściskać. Nie da się tego z niczym porównać. Możecie to nazwać nałogiem. Czasami mam ochotę gdzieś ją zostawić, tylko po to, żeby rzuciła mi się w ramiona, kiedy wrócę.

Wszedłem niepewnie do dużego pokoju, w którym bawił się cały tuzin koleżanek i kolegów Tess. Przygotowałem się na radość mojej córki. Przybiegła do mnie z zachwytem, kiedy tylko mnie zobaczyła.

- Tata, tata! - usłyszałem.

- Tatata! - powtórzyły inne dzieci.

Przykucnąłem z otwartymi ramionami. Maleńkie stopki przebiegły przez pokój i poczułem małe, drobne ciało tuż przy swoim. Małe łapki objęły mnie za szyję i uściskały z miłością. Odwzajemniłem uścisk i powiedziałem Tess, jak bardzo za nią tęskniłem.

Wtedy Tess się rozplakała na drugim końcu sali. Dziecko w moich ramionach wydało mi się nagle obce. Szczuplejsze niż Tess. I wyższe.

- Cześć, tata - gruchało, nie wypuszczając mnie z objęć.

Okazało się, że przytuliłem chłopczyka o imieniu Sumner. Tess wołała mnie, jakby słowo „tata” sprawiało jej ból. Stała przy oknie, prawdopodobnie na skraju rozpacz. Serce mi zamarło. Ból był nieodwracalny. Co gorsza, nie mogłem wyjaśnić wszystkiego Tess. Próbowałem to zrobić, kiedy już wypuściłem Sumnera i pobiegłem za córką, żeby ją przeprosić i uściskać, ale mała nie rozumiała, dlaczego wołałem najpierw okazać swoje uczucia innemu dziecku. Przepaść między moją ślepotą a jej zdolnością rozumienia była ogromna.

Usiadłem na bujanym krześle i siłą posadziłem sobie Tess na kolanach. Czasami najlepiej jest zapomnieć o wszystkim i iść dalej. Musieliśmy się zająć czymś przyjemnym. Czymś nowym.

Pokazałem jej tatuaż na moim ramieniu.

- Hej, zobacz! Co to jest, bączku?

Sumner pomacał już obrazek i palił się do udzielenia odpowiedzi.

- Ptaszek! - wrzasnął.

Dzieciaki zebrały się wokół mnie. Czy raczej zleciały jak rój os.

- A co mówi ptaszek? - spytałem Tess.

Starsze dzieci zaczęły ćwierkać i krakać. Młodsze wykonywały ptasie ruchy. Tess z dumą przypomniała wszystkim zebranym:

- Mój tata! Mój tata!

Tamtego dnia rodzice, którzy przyszli do żłobka, zobaczyli tuzin dzieciaków wspinających się na ślepego faceta, piszczących, ryczących i dźgających palcami w

jego wytatuowane ramiona i plecy. Zostałem ich ilustrowaną książeczką o dżungli i farmie.

W sumie żłobek nie był taki zły, jak się obawiałem. Rozdzielenie bolało, ale po miesiącu czy dwóch przywykliśmy do tego. Rodzice zawsze zamartwiają się jakością wykształcenia swoich dzieci. My nie. Tess uczyła się piosenek, czytała bajki i zbierała jagody w pobliskim lesie. W żłobku zorganizowano spotkanie ze strażakami i pokaz ich wozów. Nie miała jeszcze dwóch lat, kiedy wróciła do domu z biletem autobusowym w kieszeni i muszelkami zebranyymi na plaży. Wieczorem splukiwaliśmy z niej farby, błoto i liście, jakby mała została dziką, romantyczną artystką. Żłobek był spoko.

Natomiast chodzenie do żłobka - nie za bardzo.

Tracy wysadzała nas codziennie przed moim budynkiem. Na parkingu przypinała mi Tess do pleców w nowym, wypasionym nosidełku. Nie mam pojęcia, jak się nazywało, ale musiało wyglądać jak klatka bezpieczeństwa w samochodach Formuły 1. Uwielbiałem je. Zostało zaprojektowane z myślą o bezpieczeństwie Tess, ale to ja czułem się z nim pewniej. Gdybym się stoczył ze schodów albo wpadł do szybu windy, byłbym spokojny, że Tess odczuje wypadek jako sport ekstremalny.

Był jeden problem: Tess nienawidziła nosidełka. Prostowała nogi, żebyśmy nie mogli jej tam wsadzić i upierała się - na swój własny, łzawy, bezsłowny sposób - żeby nosić ją na rękach jak każde normalne dziecko. Albo jak torbę z zakupami. O tak, jej osobowość dawała o sobie znać. Tess nigdy w życiu nie powie: „Dla mnie to bez różnicy”.

Ponieważ Tracy musiała jeszcze dotrzeć do swojego biura w centrum miasta, Tess i ja codziennie przyjeżdżaliśmy trochę za wcześnie. Mogliśmy spędzić razem pół godziny przed otwarciem żłobka. Było to bardzo fajne, a poza tym tyle właśnie czasu zajmowało mi pokonanie kampusu. Niecałe sto metrów i kilka wind.

Pewnie obilo się wam o uszy, że rodzice często marzą o dodatkowej ręce. Nieważne, gdzie umieściłaby ją ewolucja. Ja chętnie wyhodowałbym sobie taką z tyłu głowy. Umieśniony koński ogon, cokolwiek, byleby mogło unieść kilka pieluch, chusteczki, ubrania, przekąski i zabawki. Tess chciała zabrać z sobą nawet ulubioną

łyżkę do butów. Ja potrzebowałem tej dodatkowej kończyny bardziej niż inni rodzice, bo prawą rękę mam permanentnie zajęta przez białą laskę. W tym sensie ślepotą przypomina też amputację. Laska w jednej ręce, Tess w drugiej - sami widzicie, że to oznacza logistyczny problem. Dołóżcie do tego dodatkowy bagaż, który musi z sobą taszczyć niewidomy - wypasiony laptop, słuchawki, ciężkie audiobooki - i zrozumiecie, czemu ociemniałym rodzicom powinno się refundować zakup jucznego muła. Tak właśnie wyruszaliśmy codziennie do mojego gabinetu, w którym mogłem przynajmniej zrzucić z siebie kilka kilo przed wyruszeniem na kolejną półgodzinną wycieczkę.

Pewnego dnia postawiłem Tess na podłodze, żeby otworzyć drzwi i odłożyć parę rzeczy. Kiedy zauważyłem, jak zamazany kontur mojej córki hasa po korytarzu, przyszło mi do głowy, że czas płynie z cudownie i okrutnie zawrotną prędkością. W ciągu zaledwie kilku tygodni Tess zaczęła chodzić samodzielnie. Była to właściwie kwestia dni. Zamknąłem gabinet i przygotowałem nosidełko. Kiedy się pochyliłem, żeby podnieść Tess, mała, gaworząc, wygłosiła łzawą deklarację niepodległości. Chciała iść sama. Umiała to robić.

Puchłem z dumy, przypominając sobie własne protesty przeciw pomocy obcych ludzi. Zauważyłem też, że kroki Tess są przerażająco ciche. Potrzebowaliśmy dzwonek. Ubranka obszytego dzwonekami.

Zarzuciłem sobie na ramię torbę z rzeczami Tess i puste nosidełko. Chwyciłem małą za rękę i ruszyliśmy przed siebie, ojciec i córka, nierównym, powolnym krokiem, zmierzając w stronę windy, gdzie dłonią znalazłem przycisk. Podczas tego przyjemnego pierwszego spaceru coś we mnie drgnęło. Poczulem miły smutek, a potem zdałem sobie nagle sprawę, że pewnego dnia - dosłownie - po raz ostatni postawię Tess na ziemi. Odtąd nie będę już mógł jej nosić.

Cud jej niezależności jest czymś całkowicie naturalnym. Tracy i ja mamy to szczęście, że nasza córeczka zdrowo się chowa i może chodzić. Zabolalo mnie jednak to, że Tess nie będzie już potrzebowała mojej ręki. Chciałem ją podnieść przy windzie, ale gwałtownie się wyrywała. Kiedy drzwi się otwarły, weszła do środka na własnych nogach i, jakby próbując odwrócić moją uwagę, wcisnęła śliczny czerwony



guziczek na samym dole. W budynku rozległ się dźwięk alarmu. W windzie rozległ się krzyk Tess.

Wcisnąłem różne guziki, dopóki alarm nie ucichł. I znów ruszyliśmy. W drodze na dół przywitaliśmy się z każdym piętrem. Zastanawiam się, jaką część życia spędziłem w ten sposób.

Wyszliśmy razem z budynku. Było mi coraz bardziej niewygodnie. Musiałem się przechylić na jedną stronę, żeby móc trzymać Tess za rękę. Jej torba i nosidełko przygniatały mnie do ziemi w dziwnym skręcie. Wyglądałem jak żołnierz w pełnym rynsztunku pod koniec marszu przez cały kraj. Natomiast Tess szła zadowolona. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, zaczęła nazywać znane sobie elementy otaczającego ją świata, takie jak drzewo, tata, drzewo i drzewo.

Być może zbyt się skupiałem na zachwycie jej słowami albo na bólu mięśni, bo nie zauważyłem, kiedy przestałem panować nad kierunkiem. Przewodnik stał się prowadzonym. To taki nawyk niewidomego. Nawet jeśli za rękę bierze mnie kilkulatek, zamieniam się w ludzką przyczepę.

I tak Tess wyprowadziła nas z budynku, po betonowej ścieżce powiodła zygzakiem w stronę lasu i zderzyła moją głowę z metalowym słupem. Nie mogła lepiej wycelować. Moje czoło znalazło się na tej samej wysokości co jedyny przycisk na słupie, a uderzenie czaszki uruchomiło alarm. W przeciwieństwie do dzwonka w windzie, ten miał pretensje do wycia, jakby ostrzegał przed nalotem.

Nie miałem pojęcia, że na terenie kampusu znajdują się takie słupy. Zainstalowano je dla mojego bezpieczeństwa. Gdyby jakiś student wpadł na pomysł, żeby molestować mnie w drodze na zajęcia, musiałbym tylko znaleźć ten przycisk, a wycie syreny odstraszyłoby złoczyńcę. Na Tess to podziałało. Puściła moją dłoń i uciekła z wrzaskiem.

- Halo? - zadudnił jakiś głos nad naszymi głowami. Zignorowałem go i zawołałem Tess, próbując ją namierzyć.

- Jest tam kto? Halo? - spytał ponaglająco głos.

- Tak, dzień dobry - odparłem niebu. Byłem poirytowany.

- Dzień dobry.

Krzyk Tess się oddalał, a ja stałem jak słup i witałem się z bezcielesnymi ludźmi z nieba.

- Wszystko w porządku? - spytał głos.

Należał on do strażnika mówiącego przez system nagłaśniający. A może na drzewie po prostu siedział jakiś strażnik i miał megafon. Zignorowałem go i rzuciłem się na oślep w pogoni za Tess.

- Potrzebuje pan pomocy? - spróbował ponownie głos.

- Nie, wszystko w porządku! - odkrzyknąłem w stronę nieba.

- Słucham?

Gość nie mógł mnie usłyszeć, bo syrena wyła nadal.

- Nic jej nie jest!

Tess zanosila się od płaczu.

- Co to było? - spytał głos.

- Naprawdę nic jej nie jest. Proszę przestać mówić. Przez chwilę wykrzykiwałem różne wersje zdań: „Nie

ruszaj się!" i „Wracaj tu!". Głos z nieba nie był tym zachwycony.

- Ochrona jest w drodze - ostrzegł.

Stukot mojej laski pewnie też brzmiał niepokojąco, jak trzask bata albo wystrzały z broni niewielkiego kalibru.

W końcu przy zaroślach osaczyłem i uspokoiłem Tess. Chyba była szczęśliwa, gdy wzięłem ją na ręce. Ciasno obejmowała moją szyję małymi łapkami i chlipała cichutko, kiedy przemierzyliśmy resztę leśnej ścieżki i zeszlismy betonowymi schodami na parking przy żłobku. Mżawka zamieniła się w ulewę i przemokliśmy na wylot. Poza tym przyszlismy za wcześnie. Nikt inny nie czekał jeszcze na otwarcie żłobka. Nie pojawili się też ochroniarze w bojowym rynsztunku.

Jakieś dwadzieścia metrów przed drzwiami Tess wypowiedziała jedno z niewielu znanych sobie słów, żeby nazwać to, co widziała. Biorąc pod uwagę, że znajdowaliśmy się u stóp Gór Nadbrzeżnych, słowo to miało szczególny wydźwięk.

- Miś. Zamarłem.

- Co takiego, bączku?

Poszukałem wzrokiem wielkiej czarnej plamy na parkingu i w pobliskich drzewach. Gdzieś tam znajdował się wielki kubeł na śmieci. Gdzieś.

- Tam? - spróbowałem. - Chcesz tam iść?

- Miś, miś! - powtórzyła Tess. Bardzo wyraźnie. Bardzo. Jedną z jej małych rączek oderwała się od mojej szyi.

Znalazłem ją i sprawdziłem, w którą stronę sięga. Tess faktycznie coś mi pokazywała. Coś za nami.

Obróciłem się. Wszystko wyglądało tak samo. Nieruchomy, zamazany obraz. Deszcz szumiał głośno, więc nie mogłem zaufać swoim uszom. Może węch? Sprawdziłem, czy nie poczuje woni niedźwiedzia. Nie mam pojęcia, jak pachnie niedźwiedź.

Tess się rozplakała.

- Już dobrze, bączku. Chodźmy tam.

Zacząłem biec w nadziei, że nic się nam nie stanie. Po kilku krokach Tess rozżaliła się jeszcze bardziej i wygięła całe ciało w przeciwnym kierunku.

- Miś! Miś! - krzyczała nerwowo.

- Tam jest miś? Chcesz tam iść?

I nagle zrozumiałem. Sprawdziłem jej dłonie. Były puste. Jedną wskazywała kierunek, z którego przyszedliśmy. Płacz małej zamienił się już w klasyczną histerię. Pobrzmiwała w nim raczej frustracja niż strach.

- Wzięłaś misia do żłobka? Zgubiłaś misia?

Tess uspokoiła się odrobinę, ale wciąż kwiliła: „miś”, zupełnie jakby się uparła, by mnie w końcu nauczyć podstaw angielskiego. Wcześniej zakładałem, że jej miś jak zwykle jest w torbie. Poza tym niedźwiedzie brunatne często odwiedzają nasz kampus, a ja często wymyślam najgorsze możliwe scenariusze.

Pewnie sądzicie, że kiedy zrozumiałem, o jakiego misia chodzi, przestałem się pocić. W takim razie nie wiecie, co dla kilkuletniego dziecka oznacza zgubienie ukochanej zabawki. Miś Tess - znany oczywiście jako Miś - spał z nią, jadł z nią, oglądał z nią powtórki Muppetów, a jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem,

miał usiąść przy głównym stole na weselu Tess i urządzić jej przyjęcie, kiedy przejdzie na emeryturę z tytułem profesora Uniwersytetu Stanforda.

Jednak na razie Miś się zgubił gdzieś w lesie między moim gabinetem a tym budynkiem. Nie miałem pojęcia gdzie. Nie potrafiłem nawet zauważyć prawdziwego niedźwiedzia.

- Przepraszam, bączku, ale nie wiem, gdzie jest Miś. Jakby na to czekała. Rozszlochała się jak nigdy dotąd.

Jej płacz niszczył mój system nerwowy.

- Ale zawsze możemy go poszukać - dodałem pośpiesznie. - Chodź, zobaczymy, czy się znajdzie.

Moje uszy nadal nie usłyszały choćby jednego kroku w pobliżu nas. Nie było kogo prosić o pomoc. Nikt nie mógł nam służyć swoim wzrokiem.

- Tess, wiesz, gdzie jest Miś? - spytałem. - Pokażesz tacie?

Mała się uspokoiła. Poczulem, że kiwa potakująco głową. I pociąga przy tym nosem.

- Świetnie! Tak, pokażesz tacie, dobrze?!

Teraz potrząsnęła przecząco głową. A potem pokiwała nią, chyba dla zabawy. Nie rozumiała, o co mi chodzi. Wciąż nie pojmowała, czym jest moja ślepota. Wiedziała tylko, że potrzebuję białej laski, ale nie wiedziała dlaczego. Pewnego ranka, w żłobku, kiedy wypakowywałem jej rzeczy z torby, uciekła z moją laską, cała rozchichotana. Ten śmiech wszystko wyjaśniał. Tata nie może bez tego wyjść. Dlaczego? Nieważne. Tata nie może wyjść, a co ważniejsze, teraz to ja mam władzę jego laski. Ale frajda.

Mogłem tylko wrócić po naszych śladach, machając wokół laską jak wykrywaczem metalu w nadziei, że trafię na miękką, mokrą przeszkodę. Jeśli to się nie uda, Tess będzie musiała chodzić na terapię.

Szliśmy powoli: krok, zamach laską, krok, zamach. Przez cały czas Tess domagała się powrotu zaginionego misia. Po jakichś dwudziestu minutach, kiedy z powrotem znaleźliśmy się na leśnej ścieżce, monolog małej urwał się raptownie.

- Miś tu jest? - spytałem.

Tess zachichotała. Albo znalazła misia, albo stertę białych lasek przy grupce niewidomych.

Zrobiłem kilka kroków i mała znowu się zdenerwowała. Wróciłem, czekając, aż się uspokoi. Ruszyłem w inną stronę i usłyszałem chichot. Musiałem pójść za daleko, bo Tess odwróciła się w przeciwną stronę i zaprotestowała.

Postawiłem ją na ziemi i wypuściłem z objęć. Po chwili poczułem mokrą plamę na łydce. Tess przytuliła do niej pluszowego misia.

- Dzielna dziewczynka! - pochwalilem ją. - Udało nam się!

Pochyliłem się i znowu ją podniosłem. Miałem nadzieję, że mi na to pozwoli, jeszcze ten jeden jedyny raz. Pozwoliła.

Zostawiłem ją w żłobku i ruszyłem powoli do swojego gabinetu, gotów zacząć nowy dzień, choć czułem się, jakbym od rana przeżył już kilka. Do pracy przyszły też recepcjonistki, które pracują w pobliżu. Przywitały mnie.

- Dzień dobry - odparłem. - Ale leje.

- Ano tak. I proszę uważać - powiedziała jedna z nich. - Podobno na terenie kampusu grasuje niedźwiedź.

Odnaleziony

Pewnego niedzielnego wieczora, zanim zasnąłem, zaczął sypać śnieg. Sypał mocno. Kiedy następnego ranka wyszedłem na spacer z Kairem, śnieg przykrył mi buty. Nawet Kair się poddał. Został w przedpokoju, pewien, że inaczej się utopi. Słyszałem samochody przejeżdżające powoli kilka ulic dalej, ale na naszym nieodśnieżonym chodniku nic się nie poruszało. Chyba byliśmy w pułapce. Rodzinny dzień w śniegu. Wróciłem do środka.

- Bardzo źle? - spytała Tracy z pokoju Tess. Właśnie się tam ubierały.

- Kiepsko, ale słyszałem auta na First Avenue.

- To dobrze. Mam dziś spotkanie zarządu i nie mogę go opuścić.

- Nie wiem tylko, czy da się wyjechać samochodem z naszej ulicy. Chyba się dziś stąd nie wyrwiemy.

- Nie ma problemu. Mogę podejść do pociągu albo autobusu.

Dobry plan, ale Tracy nie dodała, jak Tess i ja mamy się dostać do szkoły. Bez samochodu i kierowcy musielibyśmy się przedrzeć przez zaspę, złapać jeden autobus, a potem pokonać jeszcze szmat drogi, żeby złapać drugi z trzech autobusów. Nie wiadomo, czy będą dziś jeździć i czy da się dojść od jednego do drugiego. Na pewno nie w śniegu, z białą laską, torbami i małym dzieckiem.

Zdażyłem się już całkowicie przekonać do żłobka. Cieszyłem się, że tyle daje Tess i tak wiele dla niej znaczy. Doceniałem go jako ojciec. Żłobek nie tylko pozwalał mi na pisanie i myślenie o rzeczach niezwiązanych z rodzicielstwem, ale również uwalniał mnie od poważnego wyzwania. Wciąż nie umiałem sam się zająć Tess. Jeszcze nie spędziłem z nią sam całego dnia.

Włączyłem radio w kuchni. W wiadomościach podano, że jakimś cudem uniwersytet jest otwarty. Czyli żłobek też. Rozluźniłem się nieco. Musieliśmy tylko jakoś się dostać.

- Może powinniście zostać w domu?! - zawołała z góry Tracy.

Była lekko zdenerwowana tą myślą, ale mówiła z przekonaniem. Poczulem przyływ adrenaliny, zupełnie jakby Tracy zagroziła mi uszkodzeniem ciała.

- Nie, nie, nie - zaklekotałem niczym karabin maszynowy. - Odśnieżę samochód. Będzie dobrze.

Nasi sąsiedzi, Steve i Tat, trzymali łopatę pod schodami, więc policzyłem szczeble barierki między naszymi drzwiami i pogmerałem w schowku. W końcu znalazłem coś, co kształtem przypominało łopatę. Albo porzucony transparent. Szybko wcisnąłem guzik na breloczku Tracy i już wiedziałem, który samochód mam odśnieżyć.

Pół godziny później skończyłem robotę. Odkopałem samochód aż po żwir i nawet oczyściłem podjazd, żebyśmy mogli wyjechać na ulicę. Tu nie chodziło o ewentualny dzień wolny. To była kwestia życia i śmierci. Kopałem dla mojej córki.

Spakowaliśmy bagaże, wsiedliśmy do auta i Tracy wcisnęła gaz. Koła się obróciły i ruszyliśmy z miejsca. Dobra nasza. Dotarliśmy do ulicy. Samochód zarył przodem w biały obłok i stanął. Wyglądał jak wisienka na bitej śmietanie i był równie mobilny. Uwięziła nas potężna zaspą, którą sam zepchnąłem na ulicę.

- Nie da rady - stwierdziła Tracy. - Powinniście...

- Nie, nie, nie - zaklekotałem i wysiadłem z auta. Trzeba było po prostu odśnieżyć ulicę. Tracy otwarła okno.

- Kochanie, nie dojedziemy do First Avenue. Powinniście...

Wskoczyłem na maskę.

- Rozhuśtam auto. Dodaj gazu i na pewno ruszysz.

Inna sąsiadka, Pam, zapytała, czy nie potrzebujemy pomocy. Po chwili razem huśtaliśmy auto. Uznałem, że jeśli ta metoda zadziała, będziemy mogli ją podrzucić, gdzie będzie chciała, a do domu wróci taksówką.

Jednak huśtanie nic nie dało.

Pam i ja, kompletnie wyczerpani, dopchaliśmy samochód z powrotem na miejsce, a Tracy wypięła Tess z fotelika i oddała ją w moje ręce.

Powiem tyle: głupia Kanada, głupi śnieg i głupi brak środków na cholerne pługi śnieżne. Wszystko to razem oznaczało jedno - dziecko w niebezpieczeństwie.

A więc stało się. Mój dzień nadszedł. W drzwiach machałem do Tracy, która zaczynała właśnie długi, żmudny marsz w stronę przystanku. Drugą ręką trzymałem Tess, wyjąca rzewnie w oczekiwaniu najgorszego. W połowie ulicy Tracy powtórzyła, że wszystko będzie dobrze, i zniknęła nam z oczu.

Ja też byłem pewny. Pewny, że zgubiłem już laskę, smoczek Tess i prawdopodobnie psa.

- Wszystko w porządku, bączku. Będziemy się dziś świetnie bawić - oświadczyłem radośnie, po czym uniosłem małą wysoko. Nie zaszkodzi jakoś jej to udowodnić.

Kiedy zamknąłem za nami drzwi i postawiłem Tess na podłodze, uspokoiła się. Stała bez ruchu i w milczeniu, jakby się zastanawiała, co chce zrobić i w jakiej kolejności. Nakarmić psa pieniędzmi? Wepchnąć plasterki sera do odtwarzacza DVD? Od czego zacząć? Mamusia zabrania tylu rzeczy, ale tatuś nie zaprotestuje, bo nic nie wie. Na wszelki wypadek znów wziąłem ją na ręce.

- Co zrobimy najpierw, bączku? Chcesz obejrzeć program? Chcesz się pobawić w gotowanie?

Pielucha napęczniała w moich ramionach. Szybko się okazało, że mamy do czynienia ze stanem alarmowym. Tess odczytała moje myśli.

- Mama? - wyraziła nadzieję.

Natychmiast nastąpił kolejny przyływ. Ewidentnie coś zaszkodziło małej na brzuszek. Wyglądało na to, że ten tektoniczny łoskot będzie rewanzem za wszystkie pieluchy, których dotąd nie zmieniłem.

W obawie przed trzecią falą, chwyciłem wolną ręką szmatki, plastikowe torby, rękawiczki oraz ręcznik spod zlewu i pobiegłem na górę do pokoju Tess. Kiedy przygotowaliśmy się do poważnej operacji na przewijaku, mała wierzgała i marudziła, ale jednocześnie zainteresowały ją moje wysiłki. Musiałem sobie wyobrazić i poskromić rosnące fale oraz zapanować nad rządzącymi nimi prawami fizyki, jak również nad rozpadającą się pieluchą. Nie miałem zielonego pojęcia, co się dzieje, więc zastosowałem wyjątkowe środki: otoczyłem Tess zaporą z ręczników i umieściłem jej zadek na kilku warstwach świeżych pieluch. Dzięki temu mogłem wypróbować i odrzucać kolejne sztuki - skuteczny system pozbywania się jednej obesranej pieluchy za drugą. Ściereczki poszły w ruch. Brudne szmatki wypełniły jedną plastikową torbę, chusteczki i pieluchy -drugą. Przy nogach miałem wiadro wody z płynem do mycia i stertę ręczników, na wypadek, gdyby przydarzyła się kolejna eksplozja.

Kiedy skończyłem, uniosłem triumfalnie ręce i ogłosiłem:

- Załatwione!

Tess wstała radosna, jak przystało na gotową do zabawy dziewczynkę. Wstała i ponownie napełniła pieluchę.

Skończyły się nam zapasy. Czegoś takiego nie zaplanowałem. I chociaż założyłem jej pieluchę (mniej więcej), to chyba nie zrobiłem tego zbyt dobrze. Powstały przecieki. Całość wisiała jak zwiewny tren sukni ślubnej.

- Nie ruszaj się, bączku - powiedziałem, raczej błagalnie niż stanowczo. - Tata zaraz wróci.



Zostawiłem Tess na przewijaku i zbiegłem na dół po niezbędne rzeczy. Zanim dotarłem do kuchni, zawróciłem w obawie, że coś może jej się stać, kiedy mnie nie będzie. Tess dalej leżała na przewijaku, ale grzebała w pieluszcze.

- Nie ruszaj się - przypomniałem jej. - I nie dotykaj tego. Fuj.

Znowu zbiegłem na dół. Wetknąłem dłonie pod zlew i przekopałem zagracone szuflady w poszukiwaniu worków i ścierek. Tym razem, kiedy wróciłem do przewijaka, Tess już tam nie było. Nigdzie jej nie było.

Wszystko w pokoju śmierdziało, więc nie mogłem wytropić jej węchem. Zawołałem, ale nie odpowiedziała. Moje dłonie nie znalazły jej na kanapie ani w łazience. Wyobrażałem sobie oczywiście, że Tess napuściła wody do wanny i moczy się tam teraz, przeglądając dobrą książkę z obrazkami. Obszedłem pokoje, szukając jej z wyciągniętymi rękami niczym zombie.

W zdenerwowaniu zapomniałem o złotej zasadzie niewidomych rodziców: nigdy się nie śpiesz. Kiedy się śpieszę, staję się niebezpieczny. Tess pewnie nic nie jest, a ja mogę na nią wpaść jak rozpędzony czołg.

Okazało się, że stała cichutko u szczytu schodów. Zostawiłem tam otwartą bramkę i teraz się na nią wtoczyłem.

Moje ręce wyskoczyły naprzód i chwyciły Tess, zanim ta stoczyła się po schodach, razem ze ścierkami i workami. Tym samym płynnym ruchem zsunęliśmy się w dół ich śladem, jakbyśmy chcieli sprawdzić, czy to nie przywidzenie.

Mała była bezpieczna w moich ramionach, nie zamieniła się w mokrą plamę na półpiętrze.

Przytuliłem ją i przeprosiłem. Tess się nie rozplakała. Nawet nie pisnęła. Prawdę mówiąc, była dziwnie milcząca.

Obmaciałem jej dłonie. W jednej z nich znalazłem plastikową buteleczkę. Druga łapka ścisnęła coś, co Tess wetknęła sobie między zęby. Słomkę? W pewnym sensie. Zakraplacz do oczu. W połączeniu z buteleczką dawało to paracetamol dla dzieci. Mała znalazła go na komodzie i otwarła. Buteleczka była nadal pełna. Na szczęście Tess zignorowała płyn i zajęła się zakraplaczem. Można powiedzieć, że to taki prototyp gumy do żucia.

Odzyskałem paracetamol, ale mała nie chciała zrezygnować z nowego zajęcia. Wiedziałem przynajmniej, jaka już jest wysoka i jak daleko sięga. Wiedziałem też, jak głośno może bić serce dorosłego człowieka, zanim eksploduje.

A skoro już o tym mowa, to pieluszka Tess ponownie nabrała objętości.

Odtworzyłem nasz pokaz z ręcznikami i pieluchami. Po drugim udanym występie Tess powtórzyła swój numer. Nie była właściwie chora czy nieszczęśliwa, ale na pewno niespokojna i znużona. Tak czy inaczej, w dwie godziny wykonaliśmy osiem zmian pieluchy. Poranek minął, a my wciąż nie wiedzieliśmy jeszcze, jak spędzić ten dzień.

Tess najwyraźniej stawiała na błaganie. Miała z tego taką frajdę, że musiałem ją błagać przez prawie godzinę. Biegałem za nią po domu i prosiłem, żeby napiła się soku, mleka albo resztek jogurtu. A co tam, mogła nawet ssać śnieżkę. Ja stawiam. Chciałem po prostu, żeby połknęła coś mokrego, zanim wyschnie na wiór. Kiedy robiłem zwrot przy drzwiach, moja stopa trafiła na coś miękkiego. I mokrego. Na jakąś grudkę.

Tak, wicie o czym mówię.

Nie miałem pojęcia, ile tego jest i gdzie, ani czy nie roznieśliśmy tego po domu. Należało objąć kwarantanną cały obszar. Nigdy nie będę wiedział, czy wszystko posprzątałem. Sytuacja bez wyjścia. Okoliczności zapędziły mnie w kozi róg.

- No dobra, bączku - powiedziałem, zdejmując skarpetki. - Wystarczy. Idziemy na spacer. Włożymy ci buciki, oby nie tyłem do przodu.

Najlepszą strategią była jakaś statyczna zabawa. Okazało się, że wiadro to najprzydatniejsza rzecz na świecie. Wyszliśmy z nim na maleńkie podwórko. Wzięliśmy też łopatkę. Śnieg będzie naszym piaskiem i da nam zajęcie, dopóki nie przyjdzie czas drzemki. Mała kopała dziury w zaspach wokół śladów naszych stóp i przewracała małe śniegowe wieże, które dla niej budowałem. Muszę przyznać, że bawiliśmy się świetnie. Musiałem tylko ciągle zapewniać Tess jakieś zajęcie i kontrolować w ten sposób miejsce jej pobytu.

Zdawało to egzamin, dopóki mała nie uciekła.

Problem z wychodzeniem polega na tym, że (jeśli nie liczyć ubierania dziecka po omacku w kombinezon, czapkę, rękawiczki i buty oraz groźby kolejnych eksplozji głęboko pod geologicznymi warstwami odzieży) cholerny świat za drzwiami jest dla mnie za duży. Co gorsza, śnieg oznacza ciszę. Tłumi odgłosy kroków małych stopek.

Nie miałem pojęcia, gdzie jest Tess ani w którą stronę poszła. W lewo po chodniku? W prawo? Na ulicę? W głąb zaułka? Niczego nie słyszałem, nie widziałem żadnej plamy na tle podwójnie oślepiającej bieli śniegu. Mała zniknęła.

Powiem wam całkowicie szczerze, co się potem stało. Spanikowałem. Spanikowałem jak nigdy wcześniej, a to wiele mówi. Każda cząsteczka mojego ciała nakazywała mi biec, ale ja tkwiłem w miejscu, niezdecydowany. Jeśli pobiegnę w jedną stronę, to mogę się od niej oddalić. Co będzie, jeśli stracę tyle czasu? Sąsiad. Czy ktoś jest w domu? Czy mogę sobie pozwolić na szukanie pomocy? Jeśli będę się dłużej zastanawiał, stracę jeszcze więcej czasu. Jeśli mała jest na ulicy, to jakiemuś kierowcy trudno będzie zahamować.

Przez następne pięć minut krzychałem, błagałem i nęciłem powietrze obietnicami krakersów serowych. Żadnej odpowiedzi, żadnej reakcji. Tess nawet nie zachichotała, zachwycona swoimi nowo odkrytymi umiejętnościami. Nie tylko potrafiła mi uciec w każdą stronę, ale także poruszała się dużo szybciej niż ja. Zostałem całkowicie sam, z każdą chwilą coraz bardziej sam.

Czas się zakrzywił, kiedy tak stałem jak słup, krzychałem i miotałem się po ulicy. Znowu byłem tym dzieciakiem, który zgubił się mamie w domu towarowym i po raz pierwszy w życiu stanął oko w oko z Nieznanym. Zagubienie przerodziło się w poczucie całkowitego osamotnienia. Nawet kiedy mama znalazła mnie po pięciu minutach, wrażenie porzucenia nie ustąpiło. Zapuściło korzenie i na przestrzeni lat zaowocowało lękiem przed śmiercią. Teraz chciałem płakać jak tamten dzieciak, przekonany, że resztę życia spędzi w dziale plastikowych naczyń. Śmiertelny płacz. Dzieci przynoszą nam śmierć. Kiedyś stracę Tess, a ona straci mnie.

I nagle jakaś dłoń wzięła mnie za rękę. Rękawiczka.

- Tata, chodź - powiedziała Tess. Zostałem odnaleziony.

Moja córka szarpała mnie niecierpliwie. Chciała, żebym poszedł za nią.

- Chodź, chodź - powtarzała. Nigdy wcześniej tego nie mówiła, aż do teraz. Przyszła po mnie.

Podniosłem ją i przytuliłem. Odpowiedziała zachwycającą niecierpliwością małego dziecka, które chce się dalej bawić.

Może przez cały czas stała za mną. Może przeszła tylko kilka metrów. Może dwadzieścia. Może sto. Ale w końcu po mnie wróciła. Zrozumiałem, ile to znaczy. Musiały minąć prawie dwa lata, zanim tu dotarliśmy.

Tamtego popołudnia Tess znalazła na śniegu nowe słowo i jego moc. „Chodź”. Ten wyraz zakwitł na jej ustach, maleńki i doskonały. Dzięki niemu Tess mnie uratowała. Nie, to nie było jej pierwsze słowo, ale było to słowo właściwe, pierwsze z wielu następnych. Co zmieniło? Teraz mogłem się zgubić. Mogłem być ślepy, ale Tess już się czegoś o mnie nauczyła. Wiedziała, że trzeba mi pomóc.

Pamiętam, jak miałem cztery lata i stałem na nabrzeżu z moim tatą. To miejsce nazywało się Pender Harbour. Zatoczka przy Cieśninie Georgia, nad Oceanem Spokojnym. Poszliśmy na ryby przed kolacją. Rodzice niedawno wzięli ślub, chociaż nie bardzo wiedziałem, co to znaczy. Zauważyłem tylko, że ludzie się zebrali, żeby coś świętować. Nie mogłem sobie przypomnieć, jak to było, zanim ten facet się zjawiał w moim życiu.

Na nabrzeżu nic się nie działo. W roztargnieniu zwijałem linkę.

- Wiesz co? - powiedział tata, być może w odpowiedzi na jakieś moje pytanie, a może nie. - Teraz możesz mówić do mnie „tato”. Jeśli chcesz.

Skupiłem się na wędce, nie wiedząc, co powiedzieć.

Dopiero teraz to widzę. Otrzymałem coś niesamowitego, choć nie zdawałem sobie wtedy sprawy, co to jest i ile znaczy. Mój kumpel Dean miał tatę. Mieszkali nad nami i czasami się mną zajmowali, kiedy mama musiała iść do pracy. Dean używał słowa „tata”. Ja nie. Tyle wiedziałem. Tam, na nabrzeżu, to słowo wydało mi się niebezpieczne.

Nadal wędkowaliśmy w milczeniu. Byłem przerażony. Bałem się nazwać go tatą. Nowe słowo było tak potężne, że nie potrafiłem go po prostu przyjąć. A jeśli nie zadziała?

Może dlatego postanowiłem je najpierw wypróbować. Stałem i zarzucałem wędkę, czekając, aż upłynie dłuższa chwila i wypadnę naturalnie.

- Tato? - powiedziałem w końcu. -Aha?

- Tato, która godzina?

Tata odpowiedział. Pamiętam to jak najdokładniej, było wpół do czwartej. Nie wiedziałem, co to znaczy, i miałem to w nosie. Słowo zadziało. Poczułem, że działa. Słowa działają. Dzięki nim dzieją się różne rzeczy. Miałem tatę, bo wypowiedziałem to słowo.

Teraz Tess i ja znaleźliśmy własne słowo. Chodź. Mówiąc „chodź”, moja córka wzięła mnie za rękę i zaczęła rozumieć. Zniknął maleńki, ale znaczący fragment mojej ślepoty. Mogłem trochę odpuścić. Nawet jeśli znikną obrazy, słowa pozostaną. Tess dała mi właśnie jedno z takich słów. Związało nas ono nieco bliżej i powiedziało, że z czasem wszystko stanie się jaśniejsze. Krok po kroku, słowo za słowem. Będzie dobrze.

Wiem, że będzie, bączku. Trzymaj się.

*MW*